

IZABELA SZOLC

OPĘTANIE



SOLARIS

Olsztyn 2004

Copyright © 2004 by Izabela Szolc
All Rights Reserved

ISBN 83-89951-04-5

Projekt i opracowanie graficzne okładki:

Maciej „Monastyr” Błażejczyk

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Meszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”
Małgorzata Piasecka
ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn
tel/fax. (0-89) 541-31-17
e-mail: agencja@solaris.net.pl
www.solaris.net.pl

Licho nie śpi.

Część pierwsza

OBRAZY

„Ten, kto wierzy, nie zna cudów. W dzień nie widać gwiazd”

Franz Kafka

1. Anno Domini 2000.

Idąc, widzi po lewej stronie park, oddzielony od jej części chodnika trzypasmową ulicą. Po prawej - opuszczoną wytwórnię filmową; dalej kościół. Mija te miejsca bez zbytniego zainteresowania. Nie zauważa też maryjnej kapliczki, nie większej od domku dla ptaków, przybitej do samotnego drzewa.

Kobieta wygląda jak opętana. Może mieć równie dobrze lat czterdzieści, co sześćdziesiąt. Wczesnojesienny wiatr wydyma płaszcz zbyt ciepły jak na tę porę roku. Spod rozchylonych pól wygląda jedwabna spódnica malowana w japońskie wzory - nie jest poprzecierana ani wyburzała, ale na pewno pamięta lepsze czasy. Nieznajoma nosi przyciemnione okulary korekcyjne. Obcasy jej butów są powykrzywiane. Z mankietów wspomnianego płaszcza wysuwają się błękitnawe nadgarstki; ich wewnętrzna część jest jedną zastarzałą blizną.

W krokach kobiety nie ma ani odrobiny niezdecydowania czy braku pewności. Idzie, idzie, idzie, prosto do tylko jej znanego celu, choć powykręcane buty muszą jej sprawiać ból.

Przez trzypasmówkę przerzucono betonowy wiadukt. Kobieta podchodzi i zaczyna wspinać się po szarych schodach, nadal pewnie, wręcz mechanicznie. Część stopni jest pokruszona jak zęby starca, suchy cement osypuje się po nich niczym zamarznęty deszcz. Z boku sterczą stalowe zbrojenia.

Ze szczytu wiaduktu otwiera się widok na morze samochodów, sunących w hałasie i

pyłe. Śmierdzi rozgrzany asfaltem. Słońce odbija się od masek; raz na jakiś czas promień światła pada na wywoskowany dach i puszcza na wznoszący się beton ogromnego zajęczka. Kobieta nie zwraca jednak na nic uwagi. Idzie teraz niespiesznie, sunąc jednocześnie palcem po balustradzie. Jej ręka gładzi pieszczotliwie wycięte w grubym plastiku wyrwy, kruszy płaty łuszczącej się farby.

W połowie długości wiaduktu kobieta zatrzymuje się. Opuszką przykrywa narysowaną białym korektorem piramidkę z okiem w środku; taką samą jak na banknocie dolarowym. Rysunek wygląda na w miarę świeży.

Tego szukała.

Zdejmuje płaszcz i porzuca go niczym wąż niepotrzebną skórę. Zsuwa buty, przy czym jej twarz wyraźnie mówi: co za ulga! Stoi na jednej nodze, żeby nie wdepnąć na pokruszone szkło, którego jest tu pełno. Nie chce się skaleczyć, bo i po co? Zwinnym susem, którego można się spodziewać raczej po dwudziestolatce (zaś dwudziestolatką kobieta nie jest na pewno!) wskakuje na poręcz. Siada z nogami zwieszonymi nad pustką. Jest jeszcze betonowy występ szerokości około czterdziestu centymetrów - kobieta opuszcza się na niego. Nikt z kierowców jej nie zauważył. Nie ma też żadnego przechodnia. Czasami przychodzą tu dzieci, by pluć z wiaduktu lub rzucić ogryzek jabłka i patrzeć, jak ten się rozprysnie na wylosowanym samochodzie. Ktoś kiedyś rzucił kawałek płyty chodnikowej...

Jak dotąd nikt się tu nie zabił skacząc samobójczo. Jakie to dziwne. Naprawdę nikt?

W dole, pomiędzy trąbiącymi samochodami osobowymi, miota się miejski autobus. Jest też jakaś wielka ciężarówka z brezentem na grzbiecie, która jawnie łamie przepisy: samochodom o jej tonażu nie wolno tędy przejeżdżać w środku dnia. Jest samo południe. Dokładnie godzina dwunasta.

Kobieta odpycha się dłońmi od barierki i skacze, spada w dół. W locie próbuje rozłożyć ręce, upodobnić się do anioła, ale nic z tego. Nagle, nieoczekiwanie, zaczyna przeraźliwie krzyczeć.

Spódnica ze zleżałego jedwabiu rozpięła się, pokazując grube pończochy przywiązane do uda zwykłym sznurkiem. Taki sznurek musiał spowalniać krążenie krwi. Teraz jednak nie...

KREW ZACZYNA WYPŁYWAĆ.

Czarno-biała fotografia: mała dziewczynka - najwyżej dwuletnia - spaceruje po parkowym trawniku zaścielonym nieprzekwitłymi jeszcze mleczkami. Nikogo wokół niej nie ma. Zamiast ciszy - brzęczenie późnowiosennych owadów. Dziewczynka spogląda na swoje stopy obute w ażurowe buciki, ciasno zasznurowane. Każdy krok poprzedza głębokim

namysłem i przyjmuje go z głęboką satysfakcją. Ubrana jest w wydziergany na drutach, jasny kombinezon z dwoma pomponami dyndającymi na troczkach przy szyi; na głowę założono jej niemowlęcą czapkę. Buzia dziecka wygląda spod pofalowanego daszkiem czepka. Prosty nos, cofnięty podbródek; całość regularnych rysów znamionuje przyszłą piękność. Już teraz jest skupiona wyłącznie na sobie i to osobliwe „bycie samym” ją zaspokaja. W półcieniu nakrycia głowy oczy uchwyconej z profilu dziewczynki są niewidoczne.

Nagle szkło, za które wsunięta jest fotografia, pęka. Dwie głębokie rysy przecinają chłodną taflę na krzyż. Fragmenty szybki utrzymują się jednak na swoim miejscu w brązowej ramce: nowa rzeczywistość obdarzona starożytną pamięcią.

2. Anno Domini 1987. Znowu wiadukt.

wiadukt po raz pierwszy...

Mieliśmy po osiem lat. To znaczy ona miała osiem, a ja już prawie dziewięć. Zbliżały się moje urodziny. Może to z tej okazji zaprowadziła mnie na wiadukt?

Nie widziałem w nim nic specjalnego, ale ona wydawała się oczarowana tym miejscem. Udawałem zachwyt, by jej nie urazić. Od samego początku miała nade mną władzę. „Zobacz, zobacz” - podskakiwała, pokazując mi szumiące w dole samochody.

Nigdy nie udało mi się zrozumieć Carol. Byłem na to za prosty, zbyt normalny... Carol podskakiwała, bo wzrostem sięgała niewiele ponad ochronną barierkę, ale i tak była w lepszej sytuacji niż ja - ze swoim wzrostem mogłem jedynie na ogrodzeniu oprzeć brodę, niczym wyrośnięty pies. „Wyrośnięty pies”, tak wtedy powiedziała i śmiała się ze mnie. Czasem wydaje mi się, że jeszcze wszystko było przed nami, ale to kłamstwo. Złudzenie. Karty już dawno leżały na stole. Carol, moja ośmioletnia przyjaciółka w czerwonych dzwonach, złotej kurteczce i sportowych butach, zawsze wyglądała jak kobieta podszywająca się pod dziewczynkę.

- Więc niedługo skończysz dziewięć lat - nawiązała do moich urodzin, nie odrywając wzroku od sunących w dole pojazdów.

- Tak.

- To okropne, Danielu! Okropne.

Dzieci zwykle uwielbiają dodawać sobie lat, celebryją swoje kolejne urodziny, by tylko

dośćnąć dorosłość, która jawi im się jak wielkie czekoladowe ciastko. Czas martwego tabu i wolności: „wreszcie wszystko mi wolno”. Jednak i tutaj Carol okazywała się osobą wyjątkową.

- Dlaczego? - Zapytałem zbity z pantafelów, i nawet zacząłem nerwowo dłużyć w nosie.

- To znaczy, że niedługo umrzesz.

- ???

- Umrzesz. Ludzie starzeją się i umierają.

Nie byłem stary! Daleko, cholera, było mi do starości! Oczywiście, zdarzało mi się przebierać w zgniłozieloną bonzurkę zmarłego dziadka, którą matka trzymała „na pamiątkę” w szafie. Chodziłem wtedy po pokoju ciągnąc bezwolnie jedną z nóg i udając starca. Nie przeszkadzało mi, że ubranie, wykończony gdzieś satynową, złotą listwą, drapało jak diabli.

No i błogosławiłem fakt, że moja matka wychodząc na remikę z przyjaciółkami sknerzy pieniądze na baby-sitter.

- Nieprawda.

- Idiota!!! - Ryknęła, a wiatr poniosł jej krzyk ponad unoszące się nad miastem spaliny (które pachniały wspaniale, tak jak i opary benzyny. Miałem osiem lat i byłem młodocianym narkomanem. Narkomanem, który zaczytywał się w „Lwie, czarownicy i starej szafie” C. S. Lewisa i najbardziej kochał czarownicę).

- OK - zmieniłem front. - Jestem jeszcze dzieckiem i daleko mi, sama wiesz do czego.

- Mógłby cię przejechać samochód. Albo porwać jakiś nieznajomy. Porwać, zabić i zgwałcić. Zgwałcić i zabić.

Znałem ją dopiero od miesiąca - czy to mnie usprawiedliwia?

- Też umrzesz.

- Nie.

- Umrzesz!

- Nie!

- Tak!

- Danielu, ja zmartwychwstanę.

Ze względu na rozłam w rodzinie nigdy nie wiedziałem czy jestem baptystą (jak tata, który odszedł z przyjaciółką mamy, więc może to się nie liczy?) czy katolikiem (jak mama, ale uważająca się za ateistkę). Jednak i tak zatknęło mnie aż z wysłuchanego świętokradztwa.

- Zmartwychwstać może tylko Jezus... Przerwała mi niecierpliwie, jakby wspomniana kwestia w ogóle nie podlegała dyskusji.

- Czy wiesz, że gdyby zrzucić stąd kamień, można byłoby zabić kogoś tam na dole? Któregoś z kierowców. Albo dałoby się skoczyć stąd w dół i samemu się zabić. Śmierć będzie taka sama.

Nie zważając na moje protesty wspięła się na barierkę. Zamarłem ze strachu. Wtedy ona ruszyła po konstrukcji z metalu i betonu, stawiając stopę za stopą niczym modelka. Balansowała ciałem jak baletnica na równoważni.

- Carol, proszę. Carol... - Czułem się, jakby świat zamarł; jakby wszelki ruch ustał. A przecież dostrzegałem kątem oka pędzące w dole auta.

W odruchu desperacji schwyciłem ją za kostkę, tuż ponad rozszerzeniem nogawki.

- Czyś ty zgłupiał! - Pisnęła z przestraszeniem. Próbując złapać równowagę przez chwilę biła rękoma jak ptak, a potem kucnęła i kurczowo schwyciła się barierki. Zzieleniała na twarzy. - Mogłam spaść! - warknęła.

- Właśnie dlatego cię złapałem, że mogłaś spaść. Popatrzyliśmy oboje na barierkę. Jej górna część miała szerokość buta dziewczynki.

- Twoi rodzice byliby strasznie zmartwieni, gdyby cię znaleźli tam na dole.

- Moi rodzice nie żyją.

Powiedziała to i uciekła. Przeskakiwała po dwa, trzy betonowe stopnie. Jej nogi w czerwonych spodniach migały jak języki łakomego ognia. Nawet nie próbowałem gonić Carol, nie miałem szans.

Matka nie pozwoliła mi zaprosić jej na urodziny. Nie pozwoliła zresztą zaprosić nikogo. Sama odśpiewała mi zachrypniętym głosem „Happy Birthday”. O tort nie śmiałem zapytać i dobrze. W końcu kiedy już dobrze zmierzwiła moją czuprynę, podarowała mi książkę. Miała pozałamywane rogi, a na tylnej okładce doklejkę z antykwariatu. Był to „Książę Kaspian”.

- To dalsza część „Lwa, czarownicy i starej szafy”... Danielu?

- Tak mam?

- Może już pora, żebyś polubił Lwa Aslana.

Pokiwałem głową. Miałem coraz mniej czasu na czytanie: przyszła wiosna. No i była Carol.

3. Anno Domini 1979 (Historia rodzinna).

Rodzice Carol nazywali się Herb i Susan. Poznali się drogą korespondencyjną. Herb miał dwadzieścia siedem lat i zaczynały mu rzednąć włosy. Susan miała lat dwadzieścia dwa. Była śliczna jak marzenie. Kiedy stali obok siebie wyglądali jak brat i siostra. List, a dokładnie ogłoszenie matrymonialne, wysłała do katolickiej gazetki pani Kempke, opiekunka Susan. Herb - wybrany spośród młodych, płodnych i samotnych ogierów - zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy przyjechał na oficjalne spotkanie. Pani Kempke była uderzająco brzydką kobietą o pociągłej twarzy, której skóra niepokojąco przypominała pergamin. Jak miał się później przekonać, zawsze, nawet w najbardziej upalne miesiące, ubierała się na czarno. Pani Kempke pochodziła z Europy. Niepokoiła go, ale musiał ją sobie zjednać, żeby dostać się do skarbu. Do Susan.

Nawiasem mówiąc Herb i Susan nigdy nie zdążyli wziąć ślubu.

- Pani Kempke? - Powtórnie zapytał Herb.

- Pani Kempke. - Powtórzyła Susan nazwisko swojej wychowawczynie. - Zajęła się mną, kiedy umarli rodzice. Byłam mała.

- Jak ma na imię pani Kempke?

- Julia.

- Julia Kempke. Cholernie zabawne - oznajmił Herb.

To Julia Kempke wyszła naprzeciw zakurzonemu chryslerowi w tamto pierwsze południe. Samochód dopiero co opuścił pierwszą w miasteczku elektryczną myjnię, ale zbierało się na zmianę pogody i niesiony wiatrem piach oraz pustynny kurz osiadał na wszystkim. „Susan z ogłoszenia” mieszkała na jednej z tych częściowo opuszczonych farm, w odległości czterdziestu minut drogi od miejskiego centrum handlowego.

Pierwszą myślą Herba, kiedy zaparkował, wbijając prawie przednie koła w skrzypiącą werandę, była prośba do Boga: „Oby ta chuda niewiasta kołysząca się na bujanym fotelu nie miała na imię Susan”.

- Herb? - Spytała wiedźma.

Spostrzegł, że kołnierzyk jej sukienki pocięły mole. Przez głowę przemknęła mu myśl: jak ona w niej wytrzyma?! Była zima, tuż po Bożym Narodzeniu, które obchodzono tutaj jak zwykle przy mrożonej herbacie i w oczekiwaniu na jakiś nocny chłód. Susan wychowała się w miejscu, które nie znało śniegu. W miejscu, w którym świąteczna choinka był sennym marzeniem.

- Tak proszę pani - odpowiedział grzecznie i stanął obok samochodu. „Och, proszę Boże. Proszę Boże... „

- Susan!

Usłyszał dudniące w trzewiach domu kroki, a potem trzasnęły obciążone siatką drzwi werandy.

- Dzięki Kumplu - wyszeptał mężczyzna. Miał spocone ręce, jednak dziewczyna spodobała mu się wyjątkowo. Dziewczyna, która mogła zostać jego żoną, albo i nie. Susan.

- Zabierz małą na lody - powiedziała pani Kempke.

Obserwowała ich z miną dzikiego ptaka, kiedy Susan podwijając liliową spódniczkę wsiadając do wozu. Na blond włosach miała wstążkę z identycznego materiału, kolor kontrastował z barwą jej oczu. Herb uruchomił zapłon i wrzucił bieg. Nieśmiało zaczynało doń docierać, że być może właśnie teraz kończą się czasy nerwowego ocierania podbrzuszem o prześcieradła po powrocie do domu z nocnej zmiany. W wynajętym mieszkaniu - odkąd padła jego oswojona sowa - jedynym towarzyszącym mu dźwiękiem było tajemnicze skrzywienie podłóg. Tak, danie odpowiedzi na ogłoszenie w gazetce, którą znalazł na świątecznej mszy w rozsypującym się katolickim kościele, nie było bezsensownym pomysłem.

O miasteczku, gdzie jechali, a którego Herb był stałym mieszkańcem mówiło się, że jest świecąca plamą na pustyni, a to z powodu atomowych zabawek i katolickich dusz, które zjechały tu po wielkiej europejskiej wojnie.

- Byłeś w Wietnamie? - Wybiła go tym pytaniem. Nie, nie walczył w Wietnamie. Trochę się tego wstydził, ale tylko trochę.

- Mam chory kręgosłup i jestem piekarzem. Piekarzy nigdy nie zabierają na wojnę.

Kiwnęła głową, że rozumie. Milczała aż do rogatek miasta.

Zaparkowali przed cocktail-barem. Okolica - jak i całe miasteczko - wyglądała, jakby czas zatrzymał się tu na latach czterdziestych: żadnych hipisów, pijaczków i kobiet bez stanika (nie licząc Susan, co Herb zdążył już zauważyć przełykając ślinę).

Zanim wysiedli Herb zapytał:

- Dlaczego chcesz wyjść za mąż?

- MUSZĘ MIEĆ DZIECKO - odpowiedziała. Tatuś? Świetnie! Czemu nie miałby zostać tatusiem? Od czasu śmierci pierzastej Jezabel naprawdę czuł się samotny. Zresztą, żeby zrobić dziecko, trzeba... Właśnie. W dodatku może nie od razu się to udać, więc będą próbować...

Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, która nie od razu odleciała. „Nie” - tłumaczył sobie. - „Niemożliwe, żeby była w ciąży. Nie. Skąd to podejrzenie?”

- Chcę lody. Malinowe - powiedziała Susan.

<BĄDŹ POZDROWIONA, PEŁNA ŁASKI, PAN Z TOBĄ, BŁOGOSŁAWIONA
JESTEŚ MIĘDZY NIEWIASTAMI >

Monotonne brzęczenie; jakby ten upiorny dźwięk starał się wypełnić całą pustkę krajobrazu. O tej porze dnia piasek niemal zdawał się przeglądać w pozbawionym chmur niebie. Słońce zachodziło.

Spod kół starego chryslera wyskakiwały kamyki niczym przerażona szarańcza.

- Dalej nie powinniśmy jechać - stwierdził Herb. Wyteżając wzrok można było dostrzec ciemniejszą linię gruntu, niegdysiejszy ślad po jakimś ogrodzeniu.

- A co nam się może tu stać?

Dobre pytanie. Sekretem poliszynela było, że rząd majstrował tutaj COŚ, zanim przeniósł się z tym CZYMS na atol Bikini... Pozostało brzęczenie, a kiedy zrywał się pustylny wiatr, ludzie z okolicy czuli na językach metaliczny posmak.

- Nie chciałbym stracić resztek włosów. - Herb zachichotał nerwowo i przesunął palcami po potylicy, parę nawoskowanych kłaczków podniosło się i stanęło jak druty. - Podobno mieli tu Bombę Atomową - naprawdę wypowiedział to tak, jakby było pisane z dużych liter.

Błysk szykującego się do odejścia słońca wpadł do oczu Susan i rozświetlił zieloną tęczę. Nie zamrużyła nawet. Uśmiechnęła się, sama do siebie:

- Nie podnieca cię to? Mmm, Herb? - Głos obniżył jej się o oktawę. Jakiś czas temu ściągnęła sweterek, a że nie nosiła stanika, mężczyzna mógł zobaczyć wyraźnie rysujące się pod cienką tkaniną sutki. Zapukała paznokciami w szpanerską, drewnianą kierownicę:

- Chodź, podjedźmy bliżej. Bliżej.

Koła samochodu przekroczyły cień nieistniejącego ogrodzenia. Jechali powoli, a wiatr rzucał piaskiem w szyby.

- Herb, tutaj. Tu będzie dobrze.

Poczuł, że ma ciasno w spodniach. Ta mała podobała mu się. Podobała mu się nawet wtedy, gdy przy pierwszym pocałunku poczuł przenikliwy zapach syropu na kaszel.

Miała obłądne nogi. Szarpiąc się ze spódnicą kopnęła w drzwi, a te się otworzyły.

- Hej, wpuśćmy tu trochę pustyni.

Herb szarpnął za klamkę drugich drzwi i wóz stał otwarty na przestrzał.

- Tak mi się podoba.

Ich języki splotły się niczym starożytny gady w boju.

Czarny podkoszulek sięgał jej teraz ponad brzuch, niżej błyszcząły białe, bawełniane

majteczki. Skromne, bez koronek i kokardek. Część wypchnięta była do góry przez włosy łonowe, dalej zapadały się poziomą linią.

- Herb, przytul mnie.

Herb miał imponująco owłosione pośladki. Mężczyźni tak drżały ręce, że trudno mu było wyłuskać ją z bielizny; zresztą ta podniecała go wyjątkowo właśnie swoją skromnością.

Zarzuciła jedną nogę na zagłówek fotela. Jęknęła z podniecenia, Herb mimowolnie również. Wcisnął ręce pod kobiece pośladki i przygarnął ją do siebie. „Poczęstuj się Herb”.

Zachłannym ruchem, który rozśmieszył Susan, podrzucił koszulkę do góry. Obnażyła piersi i zasłoniła jej twarz. Sapnął i wszedł w kobietę, która otworzyła usta i wciągnęła powietrze - czarna bawełna podkoszulki zapadła się w miejscu ust na kształt małego „o”.

Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Góra - dół. Przez chwilę czuł jak piaskowe drobiny uderzają w jego pośladki. Słyszał brzęczenie, którego nie potrafiła zagłuszyć krew z coraz większą siłą uderzająca o skronie, a później...

Później nastąpiła Ciemność.

4.

Staje przed nami zło skuteczne; zło istniejące; zło, które jest osobą; zło, którego nie możemy już kwalifikować jako degradację dobra. Mamy tutaj do czynienia z absolutną afirmacją zła. Przeraża nas to i powinniśmy się tego bać.

Kim jest władca świata? Jezus mówi: „Królem świata jest diabeł”. Wszyscy znajdujemy się pod ukrytym panowaniem, które nas nęka, kusi, czyni nas chorymi, niepewnymi, złymi itp. Następnie, jeśli przyjrzyjecie się wielu scenom ewangelicznym, to zauważycie: opętany tu, inny opętany tam, a Jezus uzdrawia tego, uzdrawia tamtego, itd.

Bycie narodzonym oznacza bardziej bycie w ramionach szatana niż w ramionach Boga. Chrystus wybawia z tej niewoli, czyni nas wolnymi i dziećmi Bożymi. Zatem szatan jest nieprzyjacielem numer jeden.

Jakie jest jego dzieło? Jest to dzieło kuszenia, wykorzystywanie nas samych przeciwko nam samym. Jest on wrogiem, kusicielem w najwyższym stopniu.

Wiemy więc, że ten ciemny i niepokojący byt istnieje naprawdę, oraz że ze zdradziecką przebiegłością wciąż działa. Jest ukrytym wrogiem, który sieje błędy, niepowodzenia, upadki,

degradacje w historii ludzkiej.

Ewangelia nazywa szatana również „zabójcą już od początku”, nazywa go „ojcem kłamstwa”. Jest podstępny i zdradziecką istotą zastawiającą pułapki, zmierzającą do zachwiania moralną równowagą człowieka. On jest perfidnym i przebiegłym czarodziejem, który umie wkradać się w psychikę każdego. Potrafi znaleźć otwarte drzwi, przez które wchodzi: przez zmysły, fantazję, pożądanie, które dzisiaj nazywają bodźcem, czyż nie? Znajduje otwarte drzwi w utopijnej logice i nieuporządkowanych stosunkach społecznych: przez złe towarzystwo, złe widzenie świata. Wkrada się w nasze działanie, aby wprowadzić tam odstępstwa, na pozór zgodne ze strukturami fizycznymi lub psychicznymi i instynktownymi, głębokimi i pobudzającymi naszą osobowość, a w rzeczywistości tak bardzo niszczące (oto jest podstęp pokusy). Wykorzystuje naszą tkankę, aby przeniknąć do naszej psychiki.

Nasza doktryna, kiedy chcemy mówić o diable, staje się niepewna, ale kiedy chcemy mówić o nas kuszonych przez diabła, wtedy staje się bardziej niż pewna. Nasza ciekawość pobudzona jest pewnością różnorodnego istnienia. To również ważne: nie istnieje tylko jeden diabeł. Pamiętajcie o opętanym z Gerazy: „Jakie jest twoje imię?”. „Nazywam się Legion”, co oznacza armia.

Armia diabłów zaatakowała tego nieszczęśnika, którego Chrystus wyzwolił. Złe duchy weszły w wielkie stado świń i rzuciły się w jezioro Genezaret, ku wielkiej rozpaczce biednych hodowców i miłośników tych zwierząt.

Odpowiedzieć sobie trzeba teraz na dwa pytania. Pierwsze, to: „Czy są znaki? Czy są znaki i jakie, obecności diabelskiej?” A drugie pytanie: „Jakie są środki obrony przed tak podstępnym niebezpieczeństwem?” Można by o tym długo rozprawiać, ale posłużę się skrótem.

Odpowiedź na pierwsze pytanie wymaga wielkiej ostrożności. Jakie są znaki? Nawet jeśli znaki obecności szatana wydają się niektórym, także spośród Ojców - na przykład Tertulianowi, zupełnie przekonujące: „To oczywiście, że to diabeł!”, to nie jest to takie łatwe do stwierdzenia. Szczęśliwy on, że posiadał tak bystre oko! My natomiast możemy przypuszczać, że mamy do czynienia ze zgubną działalnością diabła tam, gdzie negacja Boga staje się zdecydowana. Tam jest nieprzyjaciel, ponieważ my jesteśmy prowadzeni ku Bogu, a spotykamy się z negacją radykalną, ostrą, trudną i skrupulatną, jak to tylko jest możliwe. Negacja radykalna. Czy słyszeliście o śmierci Boga? Kto mógłby wymyślić podobną rzecz?

Tam, gdzie kłamstwo jawi się obłudnym i silnym wobec ewidentnej prawdy, gdzie brakuje miłości, gdzie ona wygasa, gdzie jest egoizm zimny i okrutny - za tym musi stać nacisk diabła. Także tam, gdzie imię Jezusa jest kwestionowane z nienawiścią świadomą i hardą. Św. Paweł mówi: „Kto neguje Jezusa Chrystusa anatema sit (niech będzie

potępiony)”. Potępienie odnosi się do nieprzyjaciela, który stoi za negującym człowiekiem. Tam, gdzie duch Ewangelii jest fałszowany i zaprzeczany, i gdzie ostatnie słowo należy do rozpaczy, tam jest zwycięstwo diabła.

Ta diagnoza, którą ośmielamy się teraz zgłębiać i potwierdzać, jest zbyt rozległa i trudna. Niepozbowiona jest jednak dramatycznego zainteresowania, któremu również literatura współczesna poświęciła sławne strony. Istnieje obszerna literatura na temat diabła, stworzona przez wielkich pisarzy, wielkich autorów. Niektórzy sięgali po pióro dla wystawiania go, a inni natomiast dla zdemaskowania diabła w jego postaci najbardziej zawoalowanej, najgłębszej.

Drugie pytanie brzmi: Jaka jest przed nim obrona? Jaką obronę mogę zastosować, aby uchronić moją duszę, moją nieskazitelność, przed zakusami szatana? Odpowiedź jest łatwiejsza do sformułowania, choć pozostaje trudna do realizacji. Możemy powiedzieć tak: to wszystko, co broni nas od grzechu, ochrania nas samo przez się od niewidzialnego wroga.

Łaska jest ostateczną obroną. Oto widzimy, jak bardzo obecnie zaniedbywane jest przystępowanie do sakramentów, zwłaszcza do sakramentu pokuty. To wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ z tego powodu brakuje nam wystarczającej łaski do przeszkodzenia najeźdźcy, który nas napada. Niewinność. Niewinność staje się twierdzą. Dziecko jest silniejsze od nas wobec diabła, ponieważ jest niewinne. Każdy pamięta, jak bardzo pedagogika apostołska posługiwała się symboliką żołnierskiego uzbrojenia dla ukazania cnót, które mogą uczynić chrześcijanina niepokonanym.

Św. Paweł opisuje całe uzbrojenie rzymskie: noś hełm zbawienia, noś pancierz, noś miecz, itd. Ponieważ osłony, czyniące mocnymi, są wielorakie. A chrześcijanin, aby być czujnym i silnym i aby walczyć, musi odwołać się do jakiegoś specjalnego ćwiczenia ascetycznego, które pomoże mu oddalić niektóre ataki szatańskie. Tego również uczy nas Jezus mówiący do apostołów, którzy nie zdołali wypędzić złego ducha: „Cóż, tego diabła trzeba wypędzić modlitwą i postem”.

Zatem, ze świadomością obecnych przeciwności, w jakich dusze, Kościół, świat się znajdują, starajmy się nadać głębszego znaczenia i skuteczności zwyczajnemu wezwaniu z naszej głównej modlitwy: „Ojcze nasz, wybaw nas od złego!” A temu przyda się nasze apostołskie błogosławieństwo.

Papież Paweł VI, AD 1972

5.

Wydaje mi się, że w moim życiu Carol była od zawsze. Siostra bliźniaczka, stworzona w tym samym miłosnym uścisku... Czy może inaczej - nie pamiętam momentu, w którym zobaczyłem ją po raz pierwszy. Nie pamiętam tamtego miejsca, pierwszego słowa. Zupełnie tak, jakby zawsze była moim cieniem albo, co bardziej prawdopodobne, ja byłem cieniem jej. Musicie mi wybaczyć tę kompletną amnezję. Moje serce musiało być martwe i nieczułe w okresie „przed Carol”, a moja głowa pusta. Może byłem martwy, a ona mnie wskrzesiła? Może byłem polnym kamykiem, z którego ona uczyniła dopiero człowieka? Wszystko mogło się zdarzyć. Absolutnie wszystko. Nie jest to nawet tak odrobinę niezwykle jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Wszyscy żyjecie w takiej rzeczywistości, na świecie, którego początku nie znacie. Skąd się wzięliście? Kim jesteście? Dokąd idziecie? Nie mówcie, że te pytania nie dają wam żyć! Oczywiście, czasem ktoś odpada z szeregu i ginie, bo nie potrafi znieść tej niepewności. Cała reszta walczy z nią: czytając Biblię czy inne Pisma, spoglądając w gwiazdy albo dość prozaicznie - pieprząc się i obżerając. Rozumiem was, zrozumcie i mnie. Wejdźcie, wskoczcie w moją historię jak w głęboką wodę. Nie podam wam ręki i nie będę wprowadzał was do tej krainy serc i snów powoli jak dziecko do brodziku, bo ani nie potrafię, ani nie chcę. Ja też czuję strach. Staram się zapomnieć o moim zagubieniu. Pomyślcie teraz intensywnie o tym strumieniu czasu przed waszym urodzeniem... Czuję ten opór w waszym umyśle, kwaśny smak w ustach. Widzicie gęsią skórę na przedramionach? Oto poznaliście stan, w którym się znajduję, kiedy myślę o historii sprzed Carol. Czy macie pewność, że przed waszym urodzeniem w ogóle istniał jakiś świat? Ja też nie mam tej pewności. Z jednej strony to przerażające, z drugiej - czuję się wyróżniony.

Ustalmy więc, że poznałem Carol, kiedy byłem chłopcem, a ona - dziewczynką. Zdradzona, samotnie wychowująca mnie matka szarpała się z opieką społeczną; był jakiś facet, z którym się rozwiodła i który od czasu do czasu coś na mnie płacił, ale tak naprawdę nawet nie miała pewności z czyjego nasienia wyszedłem. Nie była kurwą, nie była złą, nie była nawet głupia. Była lustrem, w którym odbijał się świat. Czasem mnie kochała, a czasem nie - więc to nie mogła być miłość. Wzruszałem ją i to mi na dłuższą metę wystarczało. Wystarczało, żebyście żyć (wiecie, dziękowałem jej, że nie usunęła ciąży). Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, jaki byłem samotny. Z Carol też musiało być wtedy nie najlepiej. Nie pozwalano jej się bawić z innymi dziećmi (co było złudne, bo i tak w okolicy, w której się urodziła, nie było nikogo odpowiedniego).

Aż pewnego dnia cała bariera zniknęła; jakby nigdy jej nie było. Opiekunka dziewczynki, wiedźmowata pani Kempke, postanowiła nagle, że mała dłużej nie może wychowywać się na pustyni. Przeprowadziły się więc do mojego miasta. Była to druga stacja dla Carol, choć nie

ostatnia. Potem pani Kempke znalazła dla Carol chłopca, z którym ta mogłaby się bawić. Chłopca zbyt wyobcowanego ze swego środowiska, by mógł nieść ze sobą jakieś zagrożenie... Carol podeszła do mnie, kiedy włóczyłem się przez puste dni i podała mi dłoń, byśmy mogli się razem pobawić. Razem wyskoczyliśmy w powietrze, a ciśnienie wydarło z naszych płuc oddech.

I krzyk.

Usłyszcie mój krzyk, kiedy udacie się dziś wieczorem do swoich łóżek.

Możliwe, że było to zanim spotkałem Carol. Z matką wprowadziliśmy się do nowego mieszkania, podłej rudery; poprzedni lokator nie zapłacił czynszu i właściciel zajął jego rzeczy. Rzucił je na strych. Tam, pośród ciemności, pajęczyn i zapachu kurzu, znalazłem tabliczkę. Początkowo nie wiedziałem czym jest, ale się domyśliłem. Dzieciaki potrafią sobie wiele rzeczy dopowiedzieć.

Tabliczka Quija. Rzecz do Wywoływania Duchów. Zabrałem ją do swojego pokoju.

Składała się z dwóch deseczek: prostokąta i małego trójkąta. Na większej wypisano alfabet, mniejsza, kierowana ręką ducha miała wskazywać odpowiednią literę. Ciąg liter układający się w zakazane słowa. Listewki idealnie do siebie przylegały, sprawiały wrażenie, jakby były naelektryzowane.

Czytałem wtedy tak sobie, raczej gorzej od swoich rówieśników. Przesuwałem palcem po kolumnach gazet, za którymi przy śniadaniu matka kryła zapuchniętą twarz. Poszarzałe kartki uwalane jajecznicą. Nie mieliśmy prenumeraty. Zdarzało się, że matka czytała gazety po kilka razy. Stare wiadomości odnajdywała jakby na nowo. I kolejny raz, kiedy schludnie pocięte na kwadraty leżały w toalecie.

Nie wiedziałem, o co chcę zapytać ducha. I jaki to miałby być duch? Kogo? Nie zastanawiałem się nad tym, czy duchy w ogóle istniały. To było za trudne. Zbyt niepokojące.

Nim zdołałem o cokolwiek zapytać, Quija drgnęła w rękach niczym pisklę w gnieździe. Otworzyłem usta, a wtedy ona zrobiła to po raz kolejny, jeszcze bardziej zdecydowanie. Czułem jak ciśnienie krwi chce mi rozerwać opuszki palców.

Trójkąt przysunął się do litery „W”.

A później zatrzymał się przy „I”.

Pauza i dalej: „E”. „Wie?”

W gwałtownym odruchu zaskoczenia tablica podskoczyła mi na kolanach. Żołądek podszedł do gardła. „W-I-E-C...”

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich matka. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia (a

może oburzenia), zapadnięte policzki pokryły szkarłatem... Drewno skrzypliwie zaszurało o siebie, w powietrzu uniósł się mdlący zapach ozonu, a tabliczka wypłuła z siebie „Z”.

Matka pisnęła i rzuciła się do przodu, wytrącając mi Quija z rąk.

„W-I-E-C-Z...”

Duch ulotnił się.

- Daniel!

Podniosłem oczy na rozdygotaną rodzicielkę. Chwyła moją twarz w rękę, zacisnęła mocno, ściągając, aż wykrzywił ją grymas.

- Nie wolno ci tego nigdy więcej robić!

- Ale duch...! On tu był!

- Duchy nie istnieją. - Ostrożnie, ujmując w dwa palce, wzięła przeklętą Quija. Chciała wyrzucić tabliczkę na śmietnik.

- W ten sposób, Danielu, możesz sobie ściągnąć na kark tylko Diabła.

Wyszła, mamrocząc pod nosem przekleństwa na poprzedniego najemcę oraz właściciela. „Jak można zostawiać takie rzeczy przy dzieciach! To gorsze od zapalek, frytkownicy pełnej gorącego oleju...”

W ogóle nie wiedziałem, o co mamie chodziło.

„W-I-E-C-Z...”

Nazajutrz zaprowadziła mnie na cmentarz. Było zimno i ponuro. Nie wybiegły nam na spotkanie wiewiórki, które zwykle napraszały się odwiedzającym nekropolię. Dziwne zwierzątka w dziwnym miejscu. Pstryknąłem palcami w kieszeni wiatrówki, laskowe orzechy zagrzechotały cichutko.

Podobno był to największy cmentarz na świecie. Groby ciągnęły się aż po horyzont. Chłód przenikał mnie do szpiku kości, kiedy wyobrażałem sobie, co kryją; a raczej czego ukryć nie mogą. Matka miała bladą twarz, obojętną. Narastała we mnie złość na nią.

„*Jeśli nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego*” - przypomniało mi się ze szkółki niedzielnej.

Cmentarz Calvary. Największy. Górowała nad nim scena Ukrzyżowania - kamienny Chrystus rozkładał ramiona, a Jego oczy błędziły po zachmurzonym, powleczone smogiem niebie. Trzymetrowa Maryja wyciągała ku Niemu puste, tęskniące dłonie. Maria Magdalena stała i patrzyła.

Matka kopnęła kamyk. Czułem, że ma ochotę na gryzącego papierosa - robiły się jej od tego małe pryszczki na brodzie. Dym przenikał nasze kolejne mieszkania, jakby ktoś palił w nich niewidzialne liście.

Nagrobki były i stare, i nowe. Najstarszych strzegły anioły o pustych twarzach. Oblicza kierowały w stronę miejsca, z którego się nie wraca. W końcu zorientowałem się, że łączy je jeszcze jedno: w jakimś bezsensownym akcie wandalizmu wszystkie miały utracone skrzydła. Kalekie anioły, gdzie tylko okiem sięgnąć...

- Oni są martwi. Zwyczajnie martwi - powiedziała matka. Pokiwałem głową, bo tego pragnęła.

- Jeśli kogoś kochasz, to nie pozwól mu odejść. Nie wróci - szepnęła później do własnych myśli.

Rozgrzebałem czubkiem buta cmentarny żwir (nowsze alejki były wyasfaltowane).

- Kochasz mnie? - spytałem.

Nie odpowiedziała. Udałem, że wiatr uniósł moje słowa.

Zapaliła papierosa.

Nim wyszliśmy z Calvary zmówiła modlitwę, i mnie kazała uczynić to samo. Moja dziwna, kochana matka.

Matka sprząłaby mi tyłek, gdyby dowiedziała się, że włóczyłem się po domach przeznaczonych do wyburzenia. Jednak nie zrobiła tego, a teraz było za późno... Miasto, w którym się urodziłem i wychowałem było stare. Owszem, jego wiek u przeciętnego Francuza czy Hiszpana budziłby śmiech, ale nauczyliśmy się izolować od tych opinii. Miasto dbało o swoje zabytki, jednak stare i brzydkie domy zwyczajnych ludzi - robotników - często niszczały. Żal mi ich było. Jeszcze jako chłopiec każde takie opuszczone miejsce byłem skłonny nazywać świątynią. Wyobrażałem sobie jego niegdysiejszych mieszkańców. Marzyłem o nich.

Do domu przy Karolewskiej 17 przyprowadziła mnie Carol. Kamienica była jednopiętrowa, o zakratowanych okienkach, do wnętrza wchodziło się z ulicy przez małą bramę; głębiej dało się dostrzec spróchniałe deski w oficynie. Nic szczególnego, ale kiedy tylko znalazłem się w jej wnętrzu, poczułem się jak odkrywca na szczątkach prehistorycznego gada, którego szkielet woda wyrzuciła na piasek. Moją uwagę przykuł stary, błękitny i zepsuty budzik z czeskimi bodajże napisami oraz leżące na gruzowisku mleczone skorupy talerzy. Wyglądało to, jakby ktoś przyniósł je tu celowo i systematycznie wyflukł wszystkie co do jednego. Carol pokazała mi ślad na prostej ścianie. Tu stał kredens, powiedziała, ktoś go zabrał, a wcześniej porcelana wypadła z niego i brzęk! - W mojej bujnej chłopięcej wyobraźni opisałem to sobie od razu jako zwiastun śmierci. „Chodźmy stąd”, poprosiłem towarzyszkę. Skinęła głową, że się zgadza, ale najpierw... Musieliśmy odbyć rytuał, dla

którego tu przyszliśmy.

Na murze pośród zacieków zwisała sobie w kokonie gąsienica. Niewiele już brakowało, by przepoczwarzyła się w motyla. Na razie wyglądała obrzydliwie, ale była bezbronna. Nie miała skrzydeł, na których mogłaby odlecieć. Była bezbronna i zawieszona między niebem, a ziemią. Kiedy tak uważnie przyglądałem się owadowi, Carol w równym skupieniu obserwowała mnie.

Jeśli ją zabijesz, powiedziała, do końca życia będę twoją przyjaciółką. Jeśli zabiję gąsienicę? - spytałem. Tak, jeśli ją tym rozgnieciesz - podała mi kawowy spodeczek w drobne żółte kwiatki, który umknął pogromowi, nie licząc jednej szczyrby na brzegu.

Zacisnąłem pięści. Do końca życia?

Zerwałem kokon i docisnąłem spodek, aż trysnęła zielona posoka. Rozgniotłem gąsienicę, zabiłem motyla za skarb, którego dźwiganie od początku było dla mnie za ciężkie. Stało się - powiedziała Carol i odetchnęła z ulgą.

Co się stało, to się nie odstanie.

Na ścianie, obok wielkiej rysy pozostawionej prawdopodobnie przez nieuważnych tragarzy kredensu, błyszczała zielona plama, przyciągająca przez dzień czy dwa małe muszki.

Znalazłem się w dniu Końca Świata.

Nieraz podczas wspólnych spacerów mijaliśmy ten sklep. Wołał nas. Nie potrafiliśmy mu się oprzeć. Byliśmy tylko dziećmi. Ja przynajmniej byłem tylko chłopcem. Już z daleka słyhać było nawoływanie papug i innych egzotycznych ptaków. Było mi ich żal, dopóki nie dowiedziałem się, że przyszły na świat już w niewoli. Nawet gdyby je przewieźć do rodzimej Australii czy Afryki nie przeżyłyby na wolności. Klatka była dla nich jedynym rozwiązaniem. W sklepie był jeszcze szpak gwarek - „Nie na sprzedaż” - który wykrzykiwał na mój widok „Głupiec! Głupiec!” Zachwycało mnie to, bo byłem jedyną ludzką istotą, na którą tak reagował. Gadał tylko z papugami. Właściciel sklepu dostał go w spadku, bodajże po bracie... Tuż po przekroczeniu wyartego progu wzrok zatrzymywał się na stojących ukosem do drzwi akwariach. Rozróżniałem skalary i - w największym z basenów - chińskie miniatutki jaskrawo ubarwionych karasi. W myślach brałem je za złote rybki, jednak nie miałem ich o co poprosić. Złota rybko, niech tatuś wróci? Złota rybko, niech mamusia napisze bestseller? Złota rybko, przyniesiesz mi tamtą kolejkę elektryczną? Byłem chłopcem bez wiary w kolor łusek. Swego czasu trzymano tu także piranie, ale ich karmienie budziło zbyt wiele niezdrowych emocji. Sam spadkobierca szpaka stwierdził, że tego nie znieś i pozbył się krwiożerczych ryb. Pewnie je sprzedał, choć mógł je wylać i do kibla - tak go brzydziły... Ja

nie przepadałem za rybami. Mniej nawet ceniłem towarzystwo ryb od towarzystwa innych ludzi, chociaż kiedyś trzymałem trzy sztuki w szklanym słoju - wygrałem je w Czarnego Piotrusia. Dwa gupiki i jeden czerwonawy mieczyk, którego już nazajutrz znalazłem pływającego brzuchem do góry. Ostatnia ryba zdechła po tygodniu. W słoiku trzymałem też wodnego ślimaka - zdawał się gwizdać na otaczającą go śmierć. Zacząłem patrzeć na niego jak na potwora, później obarczyłem winą za śmierć współlokatorów i wrzuciłem do kibla wzorem właściciela piranii. Kiedy nieopatrznie zwierzyłem się matce z tego, co zrobiłem (dopały mnie wyrzuty sumienia - zwykła rzecz w tym wieku) usłyszałem, że już nigdy nie pozwoli mi trzymać żadnego stworzenia. Słowa dotrzymała, więc kiedy chciałem pooglądać małe króliki albo myszki, to chodziłem z Carol do pana S., właściciela zoologu. Pozwalał nam przesiadywać w sklepie godzinami, bo był dobrym człowiekiem i lubił dzieci.

Głaskałem długie, aksamitne uszko białego królika, kiedy Carol przywołała mnie gestem do suchego akwarium z łaciatymi myszkami. Nigdy takich jeszcze nie widziałem, były strasznie małe i tuliły się do siebie, czegoś szukając... Nie domyślałem się, czego myszy mogą szukać.

- Dziś kupię jedną - powiedziała Carol i sięgnęła do kieszeni dzinsów po zaoszczędzone drobniaki. Największym nieszczęściem hodowlanych myszek było to, że nie były drogie. Urodziły się już jako ofiary. Ofiary znikomych naukowców w laboratoriach. Ofiary drapieżników z ZOO, które karmiły swoimi ciałkami. Ofiary domowych węży. Ofiary Carol. Gdyby nie to, że były w plamy, myślałbym o nich jak o hostii, do czego nikomu i nigdy bym się nie przyznał.

Pan S. wziął monety od Carol. Potem wyciągnął za ogonek myszkę; zrobił to na chybił-trafił. Piszcziała, ale nie wyginała się, nie szukała oparcia dla pazurków. Włożył ją do tekturowego pudełka, a pudełko podał dziewczynce. Nie powiedział jak myszką trzeba się opiekować, więc chyba wiedział, co ją czeka.

Tłusta kotka okociła się pod werandą domu Carol. Miała trzy kociaki. Sama jasna, dzieci miała buro-czarne. Chciały jeszcze ssać jej sutki, ale już odpychała je łapami. To była taka gra: one się garnęły, a ona je odpychała. Żadne nie miało z tego powodu pretensji. Kocie życie było proste, nie skomplikowane, jak ubzdryngoliła sobie to ogromna część pisarzy. Carol postanowiła się w nie wtrącić i uprościć je do minimum. To był jej rytuał, jeszcze gorszy od mojego zabicia gąsienicy. Carol wypuściła myszkę między kocięta. Ofiara zdążyła zastrzyc wąsami, próbowała wesprzeć się na tylnych łapkach; myślałem, że serce jej stanie ze strachu. Kocięta zmieniły jej futro w krwawy strzęp. Zrobiły to tymi swoimi zwodniczymi miękkimi łapami, które były kieszeniami dla sztyletów. Mysz jeszcze wtedy żyła.

- Zabijamy dziecko - powiedziałem do Carol.
- Nie. Pozwalamy, by dzieci zabijały dziecko.
- Może.

Może było tak, może nie. W końcu sama kocica znużona rejwachem zeszła z plamy słońca, złapała mysz za grzbiet i skręciła jej kark.

Nie były to czasy, kiedy każdy dzieciak miał swój rower. My z Carol wynajmowaliśmy dwutakty za parę brzęczących ćwiartek. Tratowaliśmy powietrze, rozjeżdżaliśmy asfalt. Szczególnie upodobaliśmy sobie ogromny miejski park, w którym upał tak nie doskwierał. Można było kupić loda od ulicznego sprzedawcy; polepione palce umyć w jednej z tuzina fontann. Bez dwóch zdań - był to najszczęśliwszy okres w naszych życiach.

Wiedziałem o tym, miałem tę wiedzę ukrytą głęboko w podświadomych zakamarkach mojego umysłu. Ta myśl budziła grozę i podniecenie. Tyle lat - całe dorosłe życie - czekało gdzieś za rogiem, w przyszłości, a wszystko co najważniejsze, miało się ziścić, kiedy byliśmy mali! Po co więc żyć dalej - po pierwszej miesiączce czy nocnej zmazie.- ze strachu przed śmiercią, bo chyba nie z ciekawości? Nie byłem odosobniony w swojej wiedzy - jest ona powszechna. To dlatego ludzie tak kochają dzieci, zwracają do nich swoje twarze jak słoneczniki do słońca. „Przypominacie nam krainę baśni!” I to dlatego tyle dzieci jest porywanych, zabijanych, gwałconych - z zawiści tych, których czas przeminął. Oczywiście są też wędrowcy zatrzęsieni pomiędzy jednym i drugim, niby muszka w żywicy - ludzkie wampiry, które piją energię z obtartych na rowerze kolan, stóp, pomiędzy palcami których znajduje się pełno piasku z piaskownicy, bezbronych gładkich pach. *Te wampiry dążą za nami, dziećmi. Czasem rozpoznajemy je, częściej nie; bowiem jesteśmy tylko dziećmi - wiemy to co najważniejsze, ale cała ogromna reszta pozostaje przed nami zakryta.*

Na ławce przy jednej z bocznych alejek parkowych - przy tej, która znajdowała się u wzgórza, aż stworzonego do szaleńczych zjazdów rowerem - siedział podenerwowany mężczyzna. Miał nalaną twarz i spaloną skórę, jakby na co dzień wykonywał jakieś roboty na wysokościach. Elektromonter? Tego rodzaju ludzie nie przesiadują zwykle po parkach. Zapewne miał tego świadomość, ale od czasu, gdy odkrył to zielone, gwarne miejsce, tę żyłą dziecięcego złota, a sny o wypukłych brzuskach przybrały na sile, nie mógł się opanować i stał się mniej ostrożny. Grupa uczennic zjechała z górki z furkotem spódnic. Facet aż podniósł się na ten rajski widoki i zaraz usiadł, niczym ogłuszony. Groteskowo wystawał mu z ust kraniec mięsistego języka...

- To obrzydliwe - pamiętam, że powiedziałem na głos.

- Co? - Zainteresowała się Carol. - Ten pedofil. Tam...

Potrząsnęła głową:

- Myślisz, że mógłby być moim wielbicielem?

- Co ty wygadujesz?!

- Och, zobaczysz.

- Carol! Carol!

Ruszyła rowerem w dół, a w momencie kiedy mijala ławkę puściła kierownicę i wyrzuciła ramiona w górę tak, że jej trykotowa koszulka opięła się na spłaszczonych sutkach i żebrach. Mężczyzna musiał poczuć zapach słodkiego potu.

Słońce zachodzi i cień zasnuwa parkową ławkę. Siedzącego nań mężczyznę ogarnia wreszcie znużenie, które przyszło na miejsce podniecenia. Dzieci zawołano na kolację, gwar ucichł. Pedofil wyciera spocone czoło jednorazową, klinicznie czystą chusteczką, i wtedy właśnie ktoś zachodzi go od tyłu i muska po karku. Mężczyzna odskakuje z wrzaskiem. Obraca się. Zza ławki wychodzi dziewczynka - jej piersi jeszcze nie zaczęły pączkować, ale czuć już hormonalne napięcie, które wypełni jej ciało. Jasne włosy mają niespotykaną barwę światła - wyglądają, jakby utkały je na kołowrotku leśne wróżki. Igra w nich ciemność zakrywająca twarz maską słonecznej purpury. Mężczyzna głośno przełyka ślinę, chcąc ukryć zmieszanie wciska ręce do kieszeni białych, płóciennych spodni i wypina biodra. Jego głos ma podwyższoną nutę:

- Uff, mała... To dopiero mnie przestraszyłaś!

- „Siostrzyczkę małą mamy,

piersi jeszcze nie ma.

Cóż zrobimy z siostrą naszą,

gdy zaczną mówić o niej?

Jeśli murem jest,

uwieńczymy ją gzymsem ze srebra;

jeśli bramą jest,

wyłożymy ją deskami z cedru”. - Recytuje dziewczynka, nie spuszczać zeń oczu. I uśmiecha się - on zna ten uśmiech z obrazków Made in Taiwan - z dziecięcej pornografii. Małe Tajki, czekoladki dla podstarzałych chłopców, patrzą na nich jak na bogów. Głodnych

bogów. „Zjedz mnie!”.

- Należysz do jakiejś sekty? Dlaczego nagabujesz starszych panów po parkach? - zażenowanie wynikające z faktu, że to dziecko tak trafnie go oceniło i celnie odkryło zamiary, miesza się z drugą falą podniecenia. Najsilniejszego, jakiego dotąd doznał. Jasny gwint! O psia kostka! Ta mała go pragnie, juuuuhu...

- Nie jesteś stary - miauczy dziewczynka. - „Posłuchaj, córko, spójrz i nakłoń ucha, zapomnij o twym narodzie, o domu twego ojca! Król pragnie twojej piękności: on jest twym panem; oddaj mu pokłon!”.

Przechodzi mu przez głowę, że mała może jest prowokatką z policji, ale to chyba niemożliwe? Podatnicy nie zgodziliby się, aby ich małoletnie córki gliny wystawiały na wabia zboczkom. Cóż, on przynajmniej ma świadomość, że jest „zboczkiem”. I ta świadomość go podnieca! Jego kutas ma wciąż dziesięć lat i chce bawić się w doktora, no i niestety, rozmiary członka utknęły gdzieś w drodze do dojrzewania. Żadna dorosła kobieta nie chce na niego spojrzeć...

Nagle odpręża się - będzie traktował małą blondyneczkę jak dar z nieba. Prezent od Pana Boga, bo przecież ona najwyraźniej tego chce... Informuje go o tym słowem i dotykiem. Pytanie brzmi tylko: jak trzeba będzie Diabłu za to zapłacić? Jestem zabawką, to ja jestem zabawką! - Przypomina mu się historia o Hiobie. Chce powiedzieć nie, ale mała zabiera go już do swojej mrocznej krainy.

Stamtąd nie ma powrotu.

I nagle widzi lód na soczystej letniej trawie, a blond dziewczynka rośnie i rośnie, wirując przy tym wokół własnej osi jak fryga, a kiedy się zatrzymuje, dobrze orientujący się w bajkach pedofil wie, że stanie się obiadowym kąskiem dla Królowej Śniegu.

6. *Anno Domini 1979.*

Susan

Susan obudziła się przed świtem. Leżała i wsłuchiwała się w pozornie uśpiony świat. Kiedy tarcza słońca zaczęła się podnosić, za oknem rozległa się kakofonia pisków i jęków - a przynajmniej tak wydawało się dziewczynie. Chwilę później parcie na pęcherz stało się nie do zniesienia. Cicho wstała, nie szurając pantoflami ani nie trącając krzesła z porzuconym nań ubranie, by nie obudzić pani Kempke. Wzięła z nocnej szafki zawnazs przygotowaną -

porządnie wymydloną i wyparzoną - aptekarską buteleczkę. Staroświecka łaźienka - wybudowana już przez pierwszych, reformujących lokatorów - znajdowała się tuż przy panińskiej sypialni. Susan opadła na klozet, pod strumień gorącego i mocno pachnącego moczu podstawiła buteleczkę. Po wszystkim naczynie napełnione było w trzech czwartych. Musi wystarczyć, pomyślała Susan. Owinęła je papierem toaletowym i ukryła na dnie torebki. Ubrała się i uczesała. Zjadła śniadanie z zaspaną panią Kempke (Kempke zdecydowanie prowadziła cykl życia sowy, a nie skowronka).

- Jadę do miasta - powiedziała Susan.

Julia Kempke nie raczyła odpowiedzieć. Nie poruszyła się też znad filiżanki smolistej kawy, kiedy zobaczyła, jak dziewczyna pociąga swoje wydatne usta tanią, karminową pomadką.

Oblizuje wargi i nakłada ją po raz wtóry.

„Świecka” pomocnica w gabinecie doktora Rothe ostrożnie odebrała od Susan butelkę z moczem, wyraźnie brakowało jej pielęgniarskiego wigoru, ale ostatni taki wigor zakończył się rozpadem małżeństwa lekarza.

- Chce się pani od razu umówić z doktorem?

- Chciałabym poczekać na wyniki.

- Mocz na posiew bakteryjny? - pryszczata dziewczyna w różowym sweterku pośliniła nasączoną klejem etykietę i przykleiła na szkło. Czekwała ze sterczącym długopisem, co na niej wypisać. Susan pomyślała, że gdyby ona miała zajmować się takimi rzeczami, najpierw wypisywałaby zlecenie badania, a dopiero potem je lepiała. Odpowiedziała tamtej:

- Nie. Proszę o próbę ciążową.

Wzrok asystentki przeskoczył z czerwonych ust na pozbawioną obrączki lewą dłoń Susan. Serdeczny palec świecił nagością.

- Ach tak.

- Właśnie tak.

- Zapłaci pani teraz?

Susan pogrzebała w portmonetce:

- Kiedy mogą być wyniki?

- Zadzwoń do pani - kobieta zebrała się na pełen litości uśmiech. Litości i wyższości - co od początku ludzkości zwykle szło w parze.

- Nie zadzwoni pani. Nie mamy telefonu. - Susan pomyślała, że niepotrzebnie tu przyjechała, swoje wiedziała już od parunastu dobrych dni. Idiotka. Dziwka. MATKA.

Pomyślała, że powinna powiedzieć doktorowi Rothe, aby lepiej dobierał sobie personel pomocniczy. Nie powinien się obrazić słysząc to od niej, w końcu miał wobec Susan pewne obowiązki, jak ona miała pewne przywileje. Został pół roku temu, ze względu na swoją medyczną przeszłość, wyznaczony przez panią Kempke do zdeflorowania „naszej Susan”. Dawid Rother. Może tak miało być, że pierwszy penis, którego widziała był obrzezany. Tamtego dnia doktor Rothe bardzo grzecznie, cichym głosem z obcym akcentem poprosił ją do gabinetu. Byli sami - asystentka dostała wychodne, a blada Julia Kempke została ze stosem archiwalnych numerów „Glamoura” w poczekalni. Nie musicie się śpieszyć, powiedziała. Susan pomyślała, że może opiekunka znajdzie w magazynach jakiś dobry przepis na ciasto. Było to bezpodstawne, bo Kempke nie potrafiła gotować, a Susan nie wolno było robić żadnych gospodarskich rzeczy. Miała zostać MATKĄ, traktowano ją jak Królową Pszczół.

Doktor poprowadził ją niczym Oblubieniec Oblubienicę na fotel ginekologiczny, gdzie ją dokładnie zbadał i przy okazji wyjaśnił, co zwykli ze sobą robić kobieta i mężczyzna i do czego zwykle to prowadzi (jakby od najmłodszych lat tego nie wiedziała). Wcześniej poprosił ją, aby zdjęła ubranie i założyła szpitalną koszulkę. Była krótka i wiązana na plecach. Susan nie potrafiła jej sama zasnuować, doktor się do tego nie kwapił, więc większość czasu przesiedziała przytrzymując ją na piersiach i denerwując się, że może się zsunąć.

Po fotelu doktor Rothe ulokował ją na lekarskiej kozetce. Była wąska, a papierowe prześcieradło, przyklejało się dziewczynie do pośladków. Doktor przeprosił i zdjął lekarski fartuch, który ponoć krępował jego ruchy. Poluzował kołnierzyk koszuli i podwinął rękawy. Zobaczyła, że na przedramieniu ma wytatuowany numer. Tusz nie zdążył zbieleć.

Dawid Rothe wyszedł na chwilę za parawan, a kiedy zeń wrócił, gotowy był do dzieła. Miał ładne gołe nogi, prawie nieowłosione. Założył na penis prezerwatywę, po której pociągnął środkiem nawilżającym. Nie zapamiętała jego nazwy, był w białej tubce z czerwonym paskiem, którą wyjął z przeszklonej szafki. Kazał jej rozsunąć nogi i tym samym środkiem nasmarował ją na dole, wsunął do środka jeden palec z odrobiną lubrekinu, który błyszczał i wyglądał na rękę jak wąż. Kazał jej podsunąć kolana do brzucha i rozsunąć stopy, potem uda.

- Ta pozycja sprawi, że będzie mniej nieprzyjemnie - powiedział.

Gówno prawda.

Pobrudzone krwią prześcieradło złożył i schował do sejfu, który ukrywał się za kopią „Kąpiącej się” Renoira. Doktor Dawid Rothe ogarnął się i zawołał panią Kempke, by pomogła Susan się ubrać.

- Pani Kempke, jestem w ciąży - powiedziała Susan zaraz po powrocie z miasta.

Julia Kempke zatrzymała się w połowie skrzypiących schodów, bo tam dotarła do niej, a dokładniej do jej pleców, dobra nowina. Obróciła się powoli, by nie spaść i nie połamać starych kości - jednak jej twarz po raz pierwszy od dawna wyrażała podniecenie. Oświetlało ją padające z otwartych drzwi, w których stała Susan, wyłaczające pustynne światło. Dziewczyna nie mogła się zdecydować, czy w tym oświetleniu opiekunka wygląda jak kosmiczny chrabąszcz czy neogotycka dama, której rodowód sięgał „Wielkich nadziei” Karola Dickensa i ślubnej sukni pani Heavisham. W końcu zdecydowała się na to drugie.

- Czas już był... - powiedziała w zamyśleniu. - Zawiadomię Wspólnotę. Będziemy się modlić.

- Pani Heavisham... To znaczy pani Kempke? - zagadnęła Susan, ale tamta poszła już do swoich spraw. Nie zauważyła psa, który trzymał pysk przy stopie Susan. A może zauważyła i uznała to za normalne?

- Chodź psie, dam ci mleka - powiedziała Susan do szczeniaka springer-spaniela. Suczka, bo była to dziewczynka, pomachała kikutem przyciętego ogona i podreptała za panią do kuchni. Susan znalazła ją warującą przy nagrzanym oponie rozsypującego się forda pani Kempke. Nie chciała odejść.

Nie wolno jej było odejść.

Przyjechali w przeciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin: Trzynastu Apostołów. By nie zwracać na siebie uwagi niepotrzebnym gwarem, zawsze pod osłoną ciemności. Dla zasad: zawsze od strony pustyni. Pustyni podobnej do tej, na której Jezua pościł przez czterdzieści dni. I był kuszony przez Szatana.

Szatana, którego zesłał Bóg.

Susan nie musiała z nimi obcować, do jej obowiązków należał teraz, nawet wyraźniej niż wcześniej, tylko odpoczynek - dla dobra DZIECKA. Wieczorami opuszczała dom i szła przed siebie. Wiedziała, że nic jej się nie może stać. Czekwała, aż kolejne światła - światła samochodów - pokażą się na pustyni. Trwało to przez trzy dni. Przed nocnym chłodem chroniła ją suczka, która przytulała się do rosnących piersi, „wzbierających mlekiem”.

Trzeciej nocy Susan przyjrzała się psu. Był śliczny. Śliczna.

- Nazwę cię Berenika, od pięknej prawniczki Heroda Wielkiego - Susan zachichotała.

Podniosła się z trzymającego ciepło i nory węży piasku i zawołała:

- Berenika, pokażemy się gościom pani Kempke. I doktor będzie na pewno...

7.

Było to na terenie spłachetka starej żwirowni, zapomnianej już w ubiegłym wieku, zupełnie jak niektóre cmentarze. Trochę slumsowych metalowych bud i pusta, brudna przestrzeń jak ze złego snu tego miasta...

Już z daleka widzieliśmy, że z ptakiem jest coś nie tak. Zataczał koła, rysując po gruncie jednym rozłożonym skrzydłem; gołąb-cyrkiel. I kwilił.

Był to gołąb turecki, popularnie nazywany cukrówką. Ktoś trafił kamieniem w siodełko na jego grzbiecie. Gołąb umierał.

Zeszłej nocy padał deszcz, więc jego pióra i ogon utoczyły się w błocie. Obsiedliśmy go - po jednej stronie ja, po drugiej Carol. Wpatrywała się w ptaka z godnym naukowca zaciekawieniem. Zaciskała usta, marszczyła czoło. Ptak robił coraz mniejsze i mniejsze koła, aż usiadł w rozmokłym gruncie. Przy dziobie miał krew, tu i tam powyrywany puch; ziarno żwiru weszło mu do oka i trzymało się na obrzeżach złotej tarczy niczym dodatkowa źrenica. Było mi go żal; zbliżał się do końca i początku lęku.

Carol pojęła moje uczucia. Raz i drugi trąciła cukrówkę palcem. Ptak próbował podskoczyć, poruszyć się niemrawo. Bić oboma skrzydłami, wznieść się - bezskutecznie niczym samolot pechowych inżynierów z początku wieku. Otwartym dziobem spazmatycznie łapał powietrze; aż przestał. Jego oczy pokrył szron.

- Zabiłaś go - zerwałem się na równe nogi. Nie wiem skąd znalazłem tyle odwagi, by ją ocenić.

- Nieprawda - odpowiedziała. - Już był martwy. Tylko o tym nie wiedział.

Rzuciłem się na Carol z pięściami. Była ode mnie większa, jak to zwykle w naszym wieku dziewczynki są większe od chłopców.

- Uspokój się, no uspokój... - Na próżno. Przeistoczyłem się w szczeniaka wilka. Gdy zawiodła siła, pozostawał płacz.

- Och, Carol.

Wtedy ona schwyciła mnie jeszcze mocniej i zaczęła zlizywać łyzy z moich policzków.

- Dobrze - powiedziała. - Słone.

- Pokażę ci coś dobrego - rzekła, strzelając językiem w sposób w jaki nie przystoi młodej damie. Morderczyni cukrówek.

Nakazała mi patrzeć, sama zaś wzięła gołębia w obie dłonie. Ciężył jak kamień, choć

przecież w jego ciałku powinno zostać jeszcze trochę ciepła. Niczym pod wpływem prądu elektrycznego stanęło mu piaskowe pierze na szyi. Głowę miał zwieszoną, jak ciężko zmęczony człowiek. Wyraz oczu odbierał nadzieję, że jest to sen. Gołąb turecki był martwy i basta.

Widziałem, że korci ją, żeby ptasiego trupa dobrze sobie obejrzeć. Nie zrobiła tego ze względu na mnie. Zebrała rozłożone skrzydła do puchatych boków. Podniosła cukrówkę do ust. Przez chwilę przeraziłem się, że chce jej odgryźć głowę. Carol jednak bardzo delikatnie zaczęła wdmuchiwać ogrzane we własnych ustach powietrze do pokrwawionego dzioba.

- A fe - wyrwało mi się. Miałem w końcu tylko dziewięć lat.

Na to nie zwróciła już uwagi. Przez dłuższy czas nic się nie działo. To znaczy powietrze przesycone zapachem Carol wysuwało się bezradnie z ptasiego dzioba, nie znalazłszy sobie drogi do maleńkich płuc.

Zawiał wiatr, i taki sam okruch żwiru jak ten w oku gołębia, wpadł mi pod powiekę. Zacząłem ją trzeć pięścią, a kiedy w końcu przestałem, Carol trzymała w dłoniach gołębia, któremu było jak najdalej do kamienia. Ptakowi, prócz skrajnego przerażenia nic nie dolegało; z tego samego powodu oddech miał przyspieszony.

Wokół dzióbka - krew z innego życia.

Nie wyrwał mi się z ust okrzyk „Niemożliwe”.

Zdezorientowany chciałem ucieszyć się i przejąć gołębia z jej rąk, ale wtedy Carol podrzuciła ptaka do góry. Podjął ten wysiłek: jego skrzydła, które musiały być przecież ściernięte, złapały powietrzny rytm. Cukrówka odleciała.

- Szczęśliwy? - spytała zaczepnie Carol. Wyglądała na zadowoloną.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Nie powiedziałem zgoła nic. Nic.

Trzy dni później znalazłem tego samego ptaka i w tym samym miejscu - zdechłego.

Z każdym kolejnym dniem było go mniej i mniej. Aż z martwego pozostał tylko pył.

Nie powiedziałem Carol, że wiem. Kłamczucha.

8. *Sierpień, Anno Domini 1979.*

Herb

Nieodmiennie Herb wracał do domu z butami pobrudzonymi mąką. Na czarnej skórze wyglądała jak gwiazdny pył.

Po rozmowie z Susan zrezygnował z wynajmu mieszkania w mieście („teraz, kiedy pojawi się dziecko, wszystkie pieniądze się przydadzą”) i skorzystał z gościny pani Kempke. Odpowiadało mu to, choć Nietoperzyca gotowała jak upiór i nie potrafiła dobudzić się rano. Trudno mu było przyznać nawet samemu przed sobą, jak bardzo czuł się samotny przez te ostatnie lata... Mieszkanie z oswojoną sową to nie jest życie dla mężczyzny.

Parkował zakurczonym chryslerem, trącając solidnym błotnikiem werandę. Wysiadał z samochodu i uśmiechał się szeroko. Do Susan. Stała i czekała na niego. Jej włosy rozświetlało słońce, prawie zupełnie jak na jakimś starym melodramacie, który oglądał z nudów w samochodowym kinie. Myślał „prawie”, bo film był czarno-biały, a aktorka czekająca w nim na kochanka była brunetką, a nie złotą blondynką jak Susan. Złotą blondynką z zielonkawymi, lekko skośnymi oczami. Herb był zakochany i nawet trochę się tego wstydził. Zakochany bał się dotykać ciała kobiety, by nie zniszczyć tego, co tam kiełkowało. Było Tajemnicą.

Susan ze względu na swój stan nie chciała brać ślubu. Mówiła, że to hipokryzja stanąć przed kapłanem, kiedy nosi się w brzuchu dziecko. Wierzył jej. Wierzył jej nawet, kiedy go zaskakiwała i robiła niektóre rzeczy inaczej niż wszyscy...

Czekał, aż dziecko się urodzi, by mógł ją szczupłą i jeszcze piękniejszą poprowadzić do ołtarza. Herb był romantykiem, nie ma co. Sam podejrzewał, że w oczach Wszechmogącego Boga są już ze sobą związani, cokolwiek by się stało. Do rozwiązania były jeszcze długie dwa miesiące. Dzieciak miał urodzić się pod znakiem Wagi albo Skorpiona. Raczej Skorpiona, jak podejrzewał Herb, w jego rodzinie kobiety miały tendencję do przenoszenia ciąży, on sam urodził się później niż to zaplanowano. Jego mentalność zakładała, że kobieta jest Łonem, natomiast mężczyzna Programem, które to Łono określa. Feministkom by się to nie spodobało, ale Herb i Susan mieszkali bardzo daleko od jakiegokolwiek miejsca, gdzie tego rodzaju kobiety się spotykają.

„Jego” kobieta witała go codziennie, kiedy wracał do domu z piekarni, z butami pobrudzonymi mąką. Stała i ufnie czekała, trzymając rękę na coraz większym brzuchu. Kiedy Herb podchodził, pachnąc potem po ciężko przepracowanym dniu i szukał ukojenia, przytulała go i całowała. Sprytnie ustawiała się w półobrocie, by przy pieszczotach nie przeszkadzała im ciąża.

Czasem wydawało mu się, że śni sen.

Że to wszystko wokół jest teatralną dekoracją.

Mocnym makijażem na nieznannej twarzy.

Susan

To nie miało być tak. Nie tak!

Czuła się dobrze. Czuła się silna. Wiedziała, że dziecko - jakżeby inaczej - dobrze się rozwija. Wierzyła, że pomimo zagrożeń ONO przetrwa. Gładziła swój brzuch i mówiła do niego: „moje cudo, moje kochane...” Kupiła nawet szpulowy magnetofon, a potem sprowadziła przez sklep pana Reynoldsa w miasteczku „Cztery pory roku” Vivaldiego, by puszczać je nienarodzonemu. Jesteś moją wiosną cukiereczku, wiosną... Nieraz, kiedy pozwalała sobie na letnią wieczorną kąpiel i odprężona układała się na piaskowym dnie starej, żeliwnej wanny, zyskiwała nagrodę - dziecko zaczynało kopać tak, że na powłokach brzusznych odznaczał się kształt małej stópki. Było tak blisko, a jednak tak daleko. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie weźmie je w ramiona. Nie bała się. Była wytrwała i wiedziała do czego jest przeznaczona. Doktor Dawid Rothe odbierze poród bezpiecznie i naturalnie. Nawet jeśli miałoby boleć, Susan postanowiła, że nie pozwoli się usnąć. Chciała być świadoma przyjścia jej dziecka na świat. Zamyśliła się. Nagle drugorzędym stało się to, CZYICH narodzin oczekuje Wspólnota. Susan interesował tylko fakt, że będzie to jej dziecko.

Tamtego dnia, u samego schyłku sierpnia, coś tknęło ją i poczuła nagłą potrzebę wyjazdu do miasta. Później, kiedy próbowała sobie przypomnieć czemu tak uczyniła, natrafiała w głowie na wypalony ślad. Szum. Był ranek i bez przeszkód mogła wziąć forda pani Kempke. Opiekunka spała zestresowana ciężą nie mniej od matki. Nawet gromy z zepsutej rury wydechowej by jej nie obudziły.

Było bardzo gorąco, temperatura dawała się we znaki Susan, która czuła się coraz bardziej opuchnięta. Pełna jak kieliszek, w którym ktoś przelał czerwone wino. Pełna jak Etna na moment przed splunięciem lawą. Do porodu zostały jeszcze dwa miesiące.

Berenika za żadne skarby nie chciała wsiąść do dusznego samochodu. Siedziała pod werandą i piszcziała cichutko z wywalonym jęczorem. Była już prawie dorosła. Susan próbowała ją wywabić ciepłym słowem, smakołykiem, lodowatą wodą. Kiedy jej się to w końcu udało, mocowały się długo, aż wreszcie kobieta usadziła sukę na przednim fotelu auta. Jednak zmylona jakimś dźwiękiem odwróciła się, a pies wtedy uciekł i zniknął. „Głupia kurwa”, pomyślała Susan o Berenice. Później zastanowiła się, dlaczego nie żałuje tych słów? Kochała psa.

„Wszyscy mnie zawodzą”, wysapała, wrzucając sprzęgło. Odjechała.

Do miasta nie dotarła. W połowie drogi odeszły jej wody. To źle! Coś było jednak jeszcze bardziej nie w porządku. Zobaczyła kropelki krwi na swoich niezawiązanych z

powodu opuchniętych nóg białych trampkach. Dziecko zaczęło się szamotać jak ryba nabita na hak. NIE! NIE! NIE! Przeszył ją gwałtowny ból i nieświadomie skręciła kierownicą wypadając z drogi.

Samochód dachował.

Zamarł na piasku jak przewrócony na grzbiet żuk.

Susan w głębi swojej głowy usłyszała *Allegro non molto* z koncertu f-moll, ZIMA, Vivaldiego. „Jakie to smutne” pomyślała. „Jakie to piękne”. Nuty zaczęły wirować w jej umyśle niczym płatki śniegu na zamku Królowej.

Nie wiedziała jak długo to trwało.

Ktoś zauważył z dużej odległości błysk tylnej szyby przewróconego forda i zainteresował się nim. Na miejscu znalazł nieprzytomną, ciężarną kobietę. Susan nie zainteresowała się nawet, kto uratował jej życie. Dla niej siła sprawcza mogła być tylko jedna, a tamten przypadkowy kierowca stanowił jedynie jej nieświadome narzędzie. Za to Herb pojechał pewnego dnia z kwiatami do miasta, z podziękowaniami. Z kwiatami? Czy mogła to być kobieta? Na przykład ta wdowa prowadząca zakład fotograficzny? Tak, zdecydowanie mogła to być ona. Gwizdać na to.

Stanowy ambulans ratowniczy zawiózł ją do szpitala daleko od farmy i daleko od miasta. Wywiózł ją do prawdziwej miejskiej dżungli. Szpital wyglądał jak bazylika.

Susan jadąc przez izbę przyjęć na wózku widziała sufit składający się z metalowych płyt, przeszytych niebieskawymi lampami. NIE! NIE! NIE!

Nie straciła czucia od pasa w dół, ale ból przygasł, co wydało jej się złym znakiem. Ustawiono nad jej brzuchem namiot i nagle pielęgniarki, lekarz... Zaczęła się ta cała masa nieprzyjemnych czynności, och. Nie dotykajcie mnie! Nie dotykajcie! Czy poród można odebrać jako upokorzenie? Niczego już nie była pewna. Kompletna dezintegracja.

Pocięli już na niej ubranie (Moja ulubiona zielona spódnica. Rozpuściłam zaszewki, by pasowała na brzuch). Ktoś ją ogolił. Ktoś inny jednocześnie chował jej włosy w zielonym, płóciennym czepku, spocony blond kosmyk wciąż i wciąż wychylał się na światło dnia. Zakryli ją zielonym prześcieradłem, a pielęgniarka trzymała w rękach jedno mniejsze i białe, by za chwilę zakryć jej twarz.

- Stwierdziliśmy pewne komplikacje. Konieczne jest cesarskie cięcie, proszę się nie bać.

- Kończ już - powiedziała inna. - Puls płodu słabnie.

- Wszystko będzie dobrze. Czy mamy kogoś zawiadomić? Czy ktoś wie, że pani wyjechała? - Płócienna chusta była coraz bliżej i bliżej.

- Jesteś brzydka - warknęła Susan do pielęgniarki. - Doktorze Rothe! Doktorze Rothe!!!

Materiał opadł na twarz. Susan zasypiając pod narkozą, próbowała wygiąć ciało w łuk i uciec. I usta pod płótnem utworzyły krzyczące „o”. Moje dziecko, sapnęła. Moje... Dalej mogła już myśleć tylko o sobie.

Herb

Leżało w inkubatorze, który wyglądał jak akwarium, jakie Herb miał, kiedy był chłopcem. Tak trochę wyglądało.

Herb znosił do akwarium pustynne skoczki, które nieuchronnie zdychały. To coś, tutaj, w szklanej przestrzeni, wyglądało jak oskórowany królik. Jednak to coś nie zamierzało umierać.

Herb zauważył, że noworodek pokryty jest rudawym puchem. Drgnął nerwowo.

- To charakterystyczne dla wcześniaków. To się wytrze. Będzie jak normalne dziecko - powiedziała pielęgniarka. Była Murzynką, ale wyglądała miło, jak afrykańska księżniczka.

- Aha - wydusił z siebie Herb. Trzymał zaciśnięte ręce w kieszeniach białego fartucha. Maseczka, wilgotna od ciężkiego oddechu, oblepiała mu nos i usta.

Pielęgniarka spodziewała się najwyraźniej żywszej reakcji albo była przyzwyczajona do spanikowanych, świeżo upieczonych ojców, bo klepnęła Herba mocno w ramię mówiąc:

- To córka.

Córka, moja córka, moja rybeńka, pomyślał Herb. Mój króliczek.

Anno Domini 1979: tysiąc pięćset kobiet wstępuje do armii greckiej; w Teheranie odbywa się manifestacja irańskich kobiet, przeciwko ograniczeniom nałożonym na nie przez ajatollaha Chomeiniego; Margaret Thatcher zostaje premierem Wielkiej Brytanii; w Paryżu pięćdziesiąt tysięcy kobiet demonstruje, domagając się prawa do bezpłatnej, nieograniczonej aborcji; Matka Teresa z Kalkuty otrzymuje Pokojową Nagrodę Nobla; rodzi się Antychryst - jest dziewczynką.

9.

Nie chodziła do szkoły. Miała prywatnych nauczycieli. Zazdrościłem jej tego jak maniak.

Sam drobny i słaby, co rusz łapałem cięgi od swoich rówieśników. Kojarzyli mi się z dzikimi zwierzętami: banda idiotów i brutali, z plastikowymi pudełkami na drugie śniadanie. Dzieci hippisów zanurzone w szkolnych wojnach; dzieci, którym daleko do gwiazd.

Nauczyciele Carol regularnie zmieniali się, przy czym dziewczynka nie widziała tego obiektywnych przyczyn. Może było ich tylu, bo wielu chciało uczyć Carol? Może to był jakiś rytuał; czy też sposób na ograniczenie przepływu informacji? Szybko zorientowałem się, że Carol jest Tajemnicą. Nauczyciele przychodzili do domu jej i pani Kempke - a nie stał w dzielnicy najbogatszej, raczej najbardziej opuszczonej. Najbardziej martwej.

Mnie nigdy nie broniono dostępu do Carol. Stałem się częścią jej życia. Młodzieńczym apostołem. Z wiekiem zacząłem podejrzewać, że miejsce u jej boku zostało mi zapisane.

Co to miało znaczyć? Boję się pojąć.

Świat jest pełen czarownic i czarowników, a ja jestem wciąż małym chłopcem.

Małym Danielem.

Pewnego dnia, a nie było to wcale tak dawno temu, uciekłem ze swojej jak najbardziej publicznej szkoły, na wagary. Chciałem zaskoczyć Carol pośrodku jej zwyczajnego dnia. Z panią Kempke miałem poradzić sobie w wyniku błyskotliwego przebłysku, już tam na miejscu. Miejscu, które było wielkim, ponurym domem wzniesionym z czarnego kamienia. Ogrodzzonego płotem, za którym krył się ogród pełen róż i nigdy nie więdnącego wschodnioeuropejskiego bluszczu, który trzymał się cudem przez te wszystkie dni, kiedy razem mieszkały. Pani Kempke nie było, otworzyła mi blada, milcząca służąca, w wieku naszych starszych sióstr, gdybyśmy je mieli. Podejrzewałem, że nie śmiała mi odmówić.

- Panienska Carol ma lekcję baletu, ale zaraz ją kończy - dowiedziałem się. Poszedłem za tym edwardiańskim upiorem po schodach. Oczy jak zwykle strzelały mi na boki i wydawało mi się, że w idealnie odkurzonych ramach poruszają się bryczki na europejskich miejskich widoczkach. Paryż, Londyn, Bruksela, Moskwa, Praga, Warszawa, Kopenhaga, Berlin.

Lekcje baletu, lekcje gry na fortepianie, lekcje dobrych manier. Jazda konna i tenis. Polowanie. Carol wychowywano na następczynię tronu; tyle, że Elżbieta II nie wiedziała, że posiada taką wnuczkę. Wyrośniętą i ładną.

Kiedy Carol pocila się czułem zapach miodu. I właśnie ten aromat z pasieki rozchodził się, kiedy stanąłem u szczytu drugiego piętra. Carol czekała na mnie, jakby nigdy nic dłubiąc w nosie.

- Powiedziała, że naciągnęłam sobie ścięgno - wciąż była ubrana w elastyczny, czarny top, który opinał jej chudą klatkę piersiową. Niżej miała tiulową spódniczkę, w której zwykle się nie ćwiczy, ale nauczycielka Carol nazywała się Mira Jekatarina Żukowska, miała ze sto

lat i zupełnie inne poglądy na współczesny balet. Zastanawiałem się, jak mojej przyjaciółce udało się starą tancerkę zlawirować.

- Skąd wiedziałaś, że przyjdę?

Wzruszyła ramionami:

- Wiedziałam i już.

Służąca kuliła się w kącie:

- Przynieś nam kakao i piernika - powiedziała Carol. - A, i jeszcze jedno, Agnes, kakao ma być naprawdę gorące. Takie, żeby parzyło w język.

Carol wzięła mnie za rękę i poprowadziła kondygnację w górę. W sumie nie było to jeszcze jedno piętro, a osobna, dobudowana romboidalna niska wieżyczka. Poprzedni właściciel posesji miał tu swój gabinet i był to ulubiony pokój Carol. Nie obrzydziła go jej nawet pani Kempke, która kazała wnieść tam tablice i mapy, brązowe popiersie Napoleona i udzielając lekcji.

- Teraz będę miała geografię, ale myślę, że nauczyciel może się spóźnić. Popatrz jak pada.

Istotnie padało. Na śmierć zapomniałem, że jestem cały przemoczony. Krople uderzały o blachę parapetu.

- Na co czekasz? Zdejmij buty i skarpetki, brudzisz mi dywan.

Zrobiłem to ze wstydem. Tymczasem Carol nastawiła płytę.

- Franck. Koncert organowy. Ile można słuchać Vivaldiego.

Moja matka, gdyby zajmowała się czymkolwiek więcej niż oglądaniem MTV i seriali, oraz nieudolnymi próbami napisania popularnej powieści, powiedziałaaby, że absolutnie nie wolno mi zadawać się z taką dziewczynką. „Ona jest okropna”, usłyszałem w głowie maminy, zachrypnięty od papierosów głos.

- Masz mokre włosy. Wytrzyj. - Carol luzacko podała mi z oparcia swój przeпоcony podkoszulek. Zmieniła go na suchą bluzę, ale wciąż pozostawała w tanecznej spódnicy.

Usiadła na starym, masywnym biurku, którego szuflady były pozamykane na dawno zagubione klucze.

- To co będziemy robić, Daniel?

Teraz ja wzruszyłem ramionami.

- To po co przyszedłeś?

Położyła się na plecach, na orzechowym blacie i nie spuszczała ze mnie zielonych oczu. Podciągnęła do góry spódnicy. Zobaczyłem goły brzuch, coś rysującego się pod majtkami.

- Agnes może przyjść - strzeliłem buraka.

Poprawiła coś sobie:

- No weź, przestań - zaszcebiotała. - To tylko zabawa, a ty jesteś ciekawy.

Tak, to była zabawa. Zabawa w doktora. A ja byłem ciekawy, tym bardziej ciekawy, odkąd zaskoczyłem matkę pod prysznicem, kiedy zapomniała zaciągnąć zasłonki. Wtedy też byłem na wagarach, więc podejrzewałem, że nie zapomniała, tylko czekała na jednego z moich tak zwanych „wujków”.

- Ty gnojku! - warknęła. Humor jej się nie poprawił do wieczora, szczególnie, kiedy okazało się, że „wujek” ją wystawił. Zamknęła się w swoim pokoju, by ćmić i wymyślać historie, wymyślać ludzi. Stukot maszyny do pisania.

- Nie wolno ci mnie dotknąć.

Jasne, umarłbym, gdybym dotknął Carol! Stary Freud tak do końca się nie mylił, chociaż muszę przyznać, że wszystko pomiędzy dwójką dzieciaków, którymi wtedy byliśmy, wszystko było tak niewinne, jak może być niewinny świat. Z równym zapałem śledziliśmy śmierć, co i seks. Kota na dachu i wróbla w kominie. Któż tego nie robił?

Carol złożyła ręce na piersiach i leżała niczym jakaś marmurowa królowa na płycie swojego grobowca. Z tych to grobowców, co często reprodukuje ich zdjęcia w romantycznych książkach.

Nie ułatwiło mi to sprawy. Ani kaszel, którego dostałem od przemoczonych stóp.

Zobaczyłem gładką, uderzająco jasną skórę i coś, co mogło być dzikim zwierzętkiem albo oranżeryjnym kwiatem.

Na moje biologiczne dywagacje weszła Agnes, otwierając sobie drzwi srebrną tacą, na której stały dwa kubki z kakao i piernikowe ciasteczka. Zapach gorącego napoju pochłonał unoszący się w pokoju miód.

Czekałem tylko, aż Agnes się rozwrzeszczy. Dorośli potrafią być takimi podłymi hipokrytami. Ona jednak odstawiła ostrożnie tacę na masywne dębowe krzesło stojące najbliżej wejścia. Zamamrotała „przepraszam” i wyszła równie szybko i zaskakująco, jak się zjawiała.

Moją misję naukową i leciutkie ślady podniecenia trafił szlag. Deszcz przestał padać. Tylko nieznany mi jegomość Franck nadal zawodził na organach. Cholera jasna!

- Znudziło mi się - powiedziała Carol i opuściła sukienkę.

Zeskoczyła z biurka. Stała przy oknie:

- Ten nauczyciel już chyba dziś nie przyjdzie. Noga obuta w baletowy bucik przydeptywała klepkę podłogi, o której ja wiedziałem, że jest poluzowana.

W skrytce pod podłogą był order dziadka z drugiej wojny światowej, który podarowałem

Carol, kradnąc go babce, która już poważnie niedomagała. Oprócz tego, leżał nadpalony, jakby od spięcia elektrycznego, wymięty obrazek. Przedstawiał odpustowego Jezusa Chrystusa, który w świetlistej szacie suchą stopą przechodzi Jezioro Genezaret i ucisza burzę.

Nigdy nie powiedziałem Carol, że wiem o jej skarbach.

Że wiem, co nimi jest.

Tamtego dnia sumiennie zajęliśmy się piernikiem. Nauczyciel jednak przyszedł.

10.

Samobójcy mają własny język. Jak cieśla chcą wiedzieć jakie narzędzia. Nigdy nie pytają dlaczego budować.

Anne Sexton - „Marząc o śmierci”.

Martha Abramsky

Zdjęła ręcznik - biały w zielony wzorek - z wieszaka, z łazienki. Złożyła go na pół i jeszcze na pół, w schludny prostokąt. Nie za duży - w sam raz pod kolana (nogi jej puchły). Pomyślała o nim jak o klęczniku; ale tylko przez jedną chwilę. Klęcznik, phi?

Rozłożyła ręcznik przed starą kuchenką. Obdrapaną. Biała emalia z czasem utleniła się do kości słoniowej. Piekarnik był otwarty. Drzwiczki nie zawadzały. Nie zawadzały w tym, co miała zamiar zrobić.

Włożyć głowę do wnętrza piekarnika.

Włożyła.

Poczuła zapach pieczonych kurcząt.

Chudymi palcami, na oślep wymacała kurki. Odkręciła wszystkie, do oporu.

Woń spalonych kurczaków zniknęła, a zastąpił ją zapach gazu.

Wciągnęła go głęboko do płuc. *Pobłogosław mi Panie.*

Odratowano ją.

Koraliki. Wyglądały jak koraliki; zebrane z podłogi po rozerwaniu się sznurka. Różowe, białe, niebieskie, żółte leżały na dłoni. Wznosiły się na rękę. Kobieta pomyślała, że tak

wygląda panorama śmierci. Skromnie i trochę po dziecinnemu. Zastanawiała się, po co barwią pigułki na tak odrażające kolory? Może aby bardziej podobały się wariatom, takim jak ona.

Wróc (!): ona nigdy nie miała się za wariatkę. Wręcz przeciwnie, do życia była lepiej przystosowana od niejednego z prezesów z Wall Street.

Położyła się na łóżku. Świeżo zmieniła pościel. Ta, na której teraz leżała; na której będzie spoczywało jej ciało, była wykrochmalona. Drapała i gięła się jak papier.

Zawczasu przygotowała sobie szklankę aromatycznego kefiru z libańskiej knajpki. Może woda byłaby bardziej ascetyczna, bardziej na miejscu, ale ostatecznie kobieta nie odgrywała tragedii dla postronnych, tylko chciała się definitywnie zabić. Raz na zawsze. Duże ilości tabletek najlepiej przyjmuje się, popijając je kefirem. Wiedziała o tym, bo jej matka miała gruźlicę i przez rok, dzień w dzień, musiała brać całe stopy lekarstw. Ogłuchła od nich. Skutek uboczny.

Kobieta położyła jedną pigułkę (niebieską jak viagra) na języku i popiła. Potem spróbowała to samo z dwoma, trzema, czterema... Doszła do sześciu.

Spościła jej się ręka i kiedy pod ubywającymi pigułkami zaczęła się odsłaniać skóra, była kolorowa jak tęcza. Upačkana.

Wewnętrzne światło zaczęło przygasać.

Odratowano ją.

Tym razem obyło się bez płynu do kąpieli. Bała się, żeby nie zaczął szczypać. Trzeba odchodzić w minimalnym komforcie. Woda była gorąca; rosa osiadła na bladobrzoskwiniowych kafelkach. Kobieta zanurzyła jedną nogę, by przyzwyczaić się do temperatury. Skóra natychmiast zaróżowiła się. Naga pobalansowała jeszcze chwilę jak bocian, na jednej stopie umieszczonej bezpiecznie na kuchennej macie (przypomniało jej się powiedzenie o „jednej nodze w grobie”), aż wreszcie weszła do wanny. Syknęła przez zęby. Najbardziej zapiekła ją skóra na dekolcie; kiedy woda zalała piersi zrobiło się duszno. Zmoczyła włosy upięte na karku, szczątki grzywki pod wpływem wilgoci ułożyły się w spiralki. Poleżała tak trochę, woda kołowała ją do snu. To jednak nie miało być utonięcie.

Fryzjerska brzytwa leżała na umywalce. W skupieniu, by jej później nie wypuścić z palców, sięgnęła po nią.

Kobieta cięta ostrzem skórę tak, że rozsuneła się jak darty pergamin. Odśloniła mięso. Trysnęła krew.

Cięta tak jak pokazują na filmach (co jest bardzo niepewnym sposobem), a później jeszcze raz, na krzyż. Drugie cięcie było długie, zatrzymało się w połowie drogi do wnętrza łokcia.

Miała wrażenie, że unosi się w jakimś czerwonym, słonym soku.

Odratowano ją.

Umieranie jest sztuką, jak wszystko. Robię to doskonale. Robię to tak, że okropnie boli. Tak, że staje się prawdziwe. Możesz uznać, że mam talent.

Sylvia Plath - „Lady Łazarz”.

11. *Kiedys. Dawno temu. Wojna*

John Turrini

Weszli w zasadzkę i „przebudzili” się, by zaraz umrzeć. Wcześniej byli jak zahipnotyzowani. To miejsce tak na nich działało; niezależnie od tego, ile tygodni już tutaj spędzili. Zero aklimatyzacji.

Tłusta wilgoć osadzała się w nozdrzach, spływała po plecach. Za to języki zamieniały się w kołki. Manierki świeciły pustkami. Brnęli środkiem koryta płytkiej rzeki, ale bali się ugasić pragnienie - skończyły im się tabletki do oczyszczania wody. Poborowy John Turrini spojrzął na swoje stopy: zwidziało mu się, że zobaczył krew, zamrugał - zniknęła. Zmęczenie, znudzenie, upał. Ręce miał pokąsane przez owady. Bolała go rozbita w ostatniej walce głowa, a dżungla rozwijała się nad nimi, amerykańskimi żołnierzami, niczym jakaś rozkraczona matka rodzicielka. Zielone łono, które zasklepiało się w mrok wczesnym wieczorem i uwalniało od ciemności późnym porankiem. Ale ani na chwilę nie przestało jęczeć, krzyczeć, trzaskać. Ktoś zawsze na kogoś polował. Ktoś został pożarty, ktoś pożarł; zwierzęta i ludzie - obok siebie, lekceważąc się wzajemnie. Wrogowie i ofiary.

Albo tylko wrogowie. Strzelcy.

Wyszli na zwiad, a dali się podejść jak małe dzieci. Po prostu nie mieli szczęścia. Szczęście - rzecz kluczowa na wojnie - przechodziło to na jedną, to na drugą stronę

walczących w zależności od tego jaka liczba wypadła staremu Bogu na kościach (albo bogom, bo wroga strona miała cały ich Panteon).

Utknęli w wąskim przesmyku, kiedy zajazgotały serie z karabinu maszynowego. Kule cięły listowie, a rzeka wyglądała jak tknięta nagłym deszczem.

Pierwszy zwałił się i znieruchomiał sierżant Earl. Następny był starszy szeregowy Land. Potem jeszcze dziewięciu - wyglądało to jak wyjmowanie ogłuszonych ryb bosakiem. Jakiś pistolet wystrzelił niemrawo i śmiesznie cicho.

Dwunasty, zamykający oddział John Turrini nie mógł uwierzyć, że jeszcze go nie drasnęło. *Srebrna kula na wilkołaka!* Trwał w osłupieniu. *Ojcze nasz, który jesteś w niebie...* Wróg nie mógł doczekać się krwi i za wcześnie nacisnął spust. Turrini został, tuląc się do głazu otwierającego rzeczny parów.

Zagrzechotała kolejna seria, dla pewności przeszła pokładające się ciała. Słyszał jeden karabin maszynowy. Tylko jeden. Niewielu ludzi pozostawiono tu dla samobójczej obrony...

Krótko ścięte, czarne włosy zjeżyły się Turriniemu na głowie, kiedy zobaczył swojego kumpla Dolla, który niczym okaleczony wąż sunął w jego stronę. Wyciągał zakrwawione palce i nieuchronnie wystawiał jego kryjówkę. „Pomóż mi!”

Oczy zza grubych okularów wyglądały jak ugotowane na twardo jajka, ale kto na nie patrzy, kiedy urwana jest dolna szczęka! Obrzydliwe, masochistyczne wgapienie się w ranę! Tylko centymetry dzieliły ich od siebie, Turrini powinien na moment opuścić pozycję za głazem, wychylić się i wciągnąć Dolla do kryjówki. Ale nie potrafił. Bał się śmierci. Bał się zginąć. Osunął się na kolana, ucałował kamień, a przez głowę, z której zamieszanie ściągnęło opleciony siatką hełm przeszły nazwy orderów: Srebrna Gwiazda, Krzyż Bojowy, Purpurowe Serce. Jednak Turrini bał się śmierci. Zimna opanowującego ciała, chwili, kiedy ustaje krążenie. Ciemności pomimo otwartych powiek. Rozluźnionych kiszek. Spazmu pustych płuc. Bólu. Niebytu, w którym jak skamielina przebywa się dopóki nie nadejdzie Sąd Ostateczny. Bez czasu, bez przestrzeni. Nie! Turrini był Włochem i katolikiem, ale na tej wojnie niewiele mu to pomagało.

Karabin plunął ogniem jeszcze raz, przybijając Dolla do gruntu i odbierając szeregowemu Turriniemu szansę na odkupienie. Potem zapadła cisza.

John nabrał okrutnej pewności, że go dostrzeżono. I że być może w tej potyczce pozostał jeden wróg na jednego? Skąd taka romantyczna myśl przyszła mu do głowy? Karabin milczał. Skończyła się amunicja? Nikt nie schodził do rzeki. Jeszcze trochę i zapadnie zmrok.

Co za kawał! Co za skurwysyństwo! Szeregowy pojął nagle, że go oszczędzono! Jakby nie chciano splamić żołnierskich rąk śmiercią takiego tchórza. „Och nie, och nie”, zaczął

zawodzić Turrini w głębi swojego umysłu. A była w tym i histeria i ulga, oraz postanowienie, że znajdzie sobie najlepszy powód do życia, skoro śmierć Dolla nie była motywem do śmierci.

„Zadanie. Własne zadanie”.

12. Anno Domini 1980.

Herb

Na werandzie siedział najprawdziwszy Japończyk. Pił „przyrządzoną” przez panią Kempke mrożoną herbatę z miętą. Herb poznał, że gość jest Japończykiem nie tyle po skośnych oczach i rysach twarzy, co po potężnym aparacie fotograficznym z teleobiektywem, który tamtemu zwieszał się z szyi, nieledwie przyginając go ku ziemi. Herb widział takie u reporterów wojennych - rzecz jasna w telewizji.

- Czi to Hierb? - spytał Japończyk.

- Tak - powiedziała pani Kempke, stojąc w siatkowych drzwiach werandy.

Wszyscy mnie znają, tylko ja sam siebie nie znam, pomyślał Herb. W środku domu, idąc przywitać się z Susan, wciąż słyszał ich głosy.

- Miał być jej mężem. Sam wiesz...

- Ciśła?

- Piekarz.

- Tiś dobrze.

- Nawóz dla roślinki.

- Odziwka.

Głosy zachichotały.

Mają mnie za idiotę, pomyślał Herb. I mają rację.

Stał już u szczytu schodów, drzwi do pokoju dziecinnego pozostały uchylone. Starał się stapać cicho, co było karkołomne, nosił bowiem ciężkie, porządne buty takie jak jego świętej pamięci ojciec i dziadek. Był tradycjonalistą. Nie potrafiłby sobie uczciwie powiedzieć, dlaczego skrada się we własnym domu i co w tym domu robi jakiś cholerny Japoniec?! Chce zrobić Susan i córeczce niespodziankę? A może, nie potrafił pozbyć się tej myśli, skrada się, by je obie na czymś nakryć? Tylko na czym? Na to nie potrafił sobie odpowiedzieć. Był tępy i porządny - potrzebował namacalnych dowodów. Sposób postępowania, który nie zaskakiwał

już przed żywotem świętego Tomasza. Jak czuł się ten niedowiarek, ten apostoł, kiedy jego złączone palce zagłębiły się w chrystusowym boku? Czy krew, która je splamiła była ciepła czy zimna, jak u pustynnego węża ciemną nocą?

Im był bliżej, tym prostokątny prześwit pomiędzy framugą a drzwiami się powiększał. Zobaczył, że Susan posadziła sobie małą na udach - były na łóżku - i co i rusz muskała pieszczotliwie, zarastające jeszcze niemrawymi blond loczkami ciemię dziecka. Obok leżała zwinięta w kłębek Berenika (Herb miał nadzieję, że pies Susan tak od razu go nie wyczuje). Oto piękny obrazek. Usta Susan poruszały się rytmicznie, jej melodyjny włos wznosił się i opadał. Czytała córce. Herb nie potrafił powiedzieć jednak, co to takiego było, bo okładkę, na wpół rozłożoną na kolanach, skrywał cień.

- „Wieczorem, kiedy mały Kay kładł się już spać, wdrapał się na krzesło przy oknie i spojrzał przez małą dziurkę; właśnie spadło parę płatków śniegu i jeden z nich, największy, zawisł na brzegu skrzynki z kwiatami; rósł coraz bardziej i bardziej i w końcu przemienił się w kobietę ubraną w najdelikatniejszą białą gazę, utkaną jakby z miliona gwieździstych płatków. Była piękna i zgrabna, ale cała z lodu, z olśniewającego błyszczącego lodu, a jednak żyła: oczy patrzyły jak dwie jasne gwiazdy, ale nie było w nich spokoju ani wytchnienia. Skłoniła się do okna i skinęła ręką. Chłopczyk przestraszył się i zeskoczył z krzesła; a wtedy zdawało mu się, że wielki ptak przeleciał obok okna”.

Herba uwiodła i jednocześnie przeraziła ta historia. Była nieodparcie piękna. Nieodparcie znajoma. Najcudowniejsza historia świata.

Pies leniwie podniósł łeb.

- Popatrz kochanie, tatuś wrócił!

Herb nawet nie zauważył, że pod wpływem czytanych słów, niczym melodii z piszczalki Szczurołapa, przekroczył próg i stał nieśmiało w pokoju dziecka, niezdecydowany, czy usiąść na brzegu łóżka, czy obrócić się i wyjść.

- Herb, przywitaj się z małą - Susan wyciągnęła w jego stronę ramiona, w których trzymała dziecko. Książka zsunęła się kobiecie z kolan i z trzaskiem uderzyła o podłogę; jednak pozostała otwarta. Rozłożona jak skrzydła ptaka. Na lśniącej okładce namalowane były dwie czarodziejki, każda z nich pieściła śnieżnobiałego jednorożca. Książka nie wyglądała jak żadna z tych dostępnych w wysyłkowych katalogach, nie wyglądała jak żadna książka, którą kiedykolwiek widział Herb i zaniepokoiło go to. Dokładnie rzecz biorąc poczuł, że kręci mu się w głowie. Praca w piekarni, piekielny upał i odwodnienie, z którym nie radziła sobie nawet sól trzymana pod językiem, sprawiały, że starzał się szybciej niż zdołałby się do tego faktu przyzwyczaić. Czy właśnie o to chodzi w życiu? Czy to...?

Schwycił córeczkę - miała najbardziej zielone oczy, jakich można się spodziewać. Oczy czarownicy.

Oczy Diabła.

Czuł pod silną ręką chłód jej małej pupy, owiniętej w tetrową pieluszkę. Czuł zapach dziecięcego talku i jeszcze jedną woń, której nie potrafił zidentyfikować. Coś jak miód. Susan ubrała córkę w białą koszulkę, z cienkiego płótna, którą sama uszyła. Jeden z troczków pod szyjką puścił i Herb próbował swoimi niezręcznymi, grubymi palcami zawiązać go na kokardkę. Przy którymś razie na światło dzienne wychynął srebrny łańcuszek. Jednak zamiast medalika ze św. Krzysztofem, który wisiał na nim dotąd, a który w rodzinie Herba był od lat sześćdziesięciu (co było niewątpliwym powodem do dumy), przywieszka nosiła kształt krzyża.

Herb wypuścił powietrze z płuc. Jubilerskie ogniwo zamocowane było u stóp maleńkiego srebrnego Jezusa Chrystusa, przez co na szyi córki widniał odwrócony, bluźnierczy krucyfiks.

- Kiedyś musiałeś się dowiedzieć - powiedziała Susan. Za chwilę do pokoju wpadli pani Kempke i pokrzepiony miętą Japończyk.

- Pan Hayato ma do was prośbę. Czy moglibyście całą rodziną zapozować? Nasi przyjaciele dopominają się o „święte” wizerunki.

Tamtego roku Herb zrozumiał dwie rzeczy: że dzieli swoje ojcostwo z samym Szatanem, i że może być związany z dzieckiem takim samym instynktem jak matka, pomimo tego, że nigdy nie nosił córki w brzuchu.

Wziął ostry nóż z wieszaka w kuchni. Nóż do oprawiania ryb, spiczasty i w tym suchym miejscu prawie nieużywany. Stał lśnił jak zamrażająca powierzchnia jeziora.

Susan i pani Kempke wyszły na spacer, wzięły ze sobą psa. Poczekał, aż w dali umilknie cienie, przejmujące poszczekiwanie; poszedł do kuchni i zabrał nóż.

Stanął przed schodami. Zzuł buty, szara skarpetka była przetarta na pięcie. Chwycił za poręcz i powoli niczym stary człowiek, ale ostrożnie jak alpinista, zaczął wspinać się do góry.

W pokoju powitało go pochrapywanie Carol, którą matka nakarmiła i uspiła przed spacerem. Nie bała się zostawiać małej pod opieką ociężałego, małomównego ojca. Bo i niby dlaczego?

Właśnie: dlaczego?

Od dziecka dzieliła go cała odległość pokoju. Łóżeczko było puste, żółty wózek z opuszczoną budą stał w samym kącie - tam była. Awanturowała się zawsze, bo chciała zasypiać właśnie tutaj, choć już z wózka wyrosła.

Pochylił się: Carol leżała zwinięta w embrion. Pod cienkimi, różowymi powiekami biegały gałki oczu. Usta były rozchylone, na wargach sperliła się ślina. Buzia bez zmarszczek, jeszcze bez oczekiwań i nadziei.

Krew z jego krwi, kość z jego kości.

Uniósł nóż. Spała na boku. Kołdrę podciągnęła krzywo, pod policzek. Odsłonięte było ramię, pierś i szyja z podskakującą śmiesznie żyłką. Mógł swobodnie przymierzyć się do ciosu, mała nie zamierzała się budzić.

Spojrzał na obnażone ucho: takie samo, tylko większe macał codziennie przy goleniu. Popatrzył na palce zaciśnięte na materiale. Na dłoń, która kurczowo przytrzymała nóż. Rozplótł ją, żeby się dokładnie przyjrzeć.

Nóż błysnął, upadł z głuchym trzaskiem, przyszpilając szarą skarpetkę do desek podłogi. Amen.

Herb i Susan

Carol nie mogła pamiętać, jak Herb i Susan (oraz poszczekująca Berenika, która kąsała, bo zbierało jej się na cieczkę) pakowali się do chryslera, by z zapasem jaj na twardo i lemoniady w szklanych butelkach pojechać w wyczekiwaną podróż „poślubną”; odwlekany dotąd „miodowy” miesiąc. Pani Kempke powiedziała jej dużo później, że kiedy samochód ruszał wzniecając tumany kurzu, dziewczynka chybotliwie trzymała się prętów werandy (podtrzymywała ją Julia) i raz po raz puszczała jedną łapkę, by pomachać odjeżdżającym. Pani Kempke nie powiedziała jej za to, że Susan przed wyjazdem tuliła ją mocno i pieściła, zaś Herb odwrócił się z niepohamowanym wstrętem, kiedy młoda kobieta podała mu dziecko, by mógł je pocałować na „do widzenia”. „Schlus” historii, mawiała pani Kempke, kończąc mówić to, co można było powiedzieć i przemilczeć niedopowiedziane. Dwa dni później, klarowała Carol, jak Herb i Susan zginęli w wypadku samochodowym na stanowej autostradzie. Paskudny karambol. Z chryslera została tylko pomięta blacha. Och tak, złożył się w łódeczkę.

13. *Anastasis.*

Ponoć Dostojewski śmiertelnie przeraził się piętnastowiecznego obrazu Andrea Mantegny zatytułowanego „Martwy Chrystus”. Według pisarza arcydzieło to dowodziło, że

„Bóg umarł” i... nie zmartwychwstał. Mantegna namalował trupa. Najprawdziwszego trupa, który nijak nie może zawrócić z drogi ku rozkładowi i destrukcji. Niepamięci, teraz lub później. Jezus na obrazie ma przechyloną na prawo, bezwładną głowę. Zapadnięty brzuch, który nie wypełni się oddechem. Milczące zebra. Jego rany nie krwawią. Ciało wokół nich jest postrzępione. Skóra zielonkawa. Odcień tej skóry odbiera jakąkolwiek nadzieję na nieśmiertelność. Boską czy ludzką.

Według apokryfów, kiedy ciało Chrystusa, Króla Żydowskiego, leżało na marach, jego DUSZA odwiedziła mroki Szeolu. Zeszła, by pobłogosławić i wyprowadzić z Piekieł do życia wiecznego praojca Adama i patriarchów, którzy żyli przed Chrystusem. Dla tych, którym DUSZA nie okazała łaski na wieczność zamknęły się i zostały zapieczętowane Pieczęcie Piekiła.

*O Jezu Chryste, Królu Wszechświata,
czego przyszedłeś szukać
pomiędzy mieszkańcami otchłani?
Może przyszedłeś wyzwolić ród ludzi śmiertelnych?*

*Pan Wszechrzeczy, jak widzimy,
umarł i został złożony w nowym grobowcu -
On, który opróżnił groby umarłych.*

*O Chryste - Życie, zostałeś złożony do grobu
i przez swoją śmierć zniszczyłeś śmierć,
i sprawiłeś, że życie wytrysnęło na świat...*

*Jak zniesie otchłań Twoją obecność?
Czy nie zostanie zniszczona, zaciemniona,
oślepiona cudownym blaskiem,
blaskiem Twojego światła?*

(Liturgia bizantyjska)

To Carol zaprowadziła mnie do kościoła; wielkie zaskoczenie, nigdy bym jej o to nie podejrzewał... Bzdura! Kłamie! Jasne, że ją podejrzewałem o fascynację chrześcijaństwem i dziwaczną, ale jednak religijność. Religijność spod znaku strachu i zaciętości; w dodatku religijność skrywaną przed panią Kempke pod klepką podłogi. Skąd mogłem wiedzieć, że

Carol gotuje się w ten sposób do walki? Że poznając historię objawioną, próbuje przeniknąć karty swojej własnej? Była wtedy tylko dzieckiem. I choć dzieckiem skazanym, wciąż mogła ludzię się tym, że ma wolną wolę. Wciąż mogła liczyć na cud, inny niż Przemiana. Była CÓRKA, ale wiązało się to raczej z krwią niż z duchem. Skąd mogłem wiedzieć, że to krew jest ważniejsza. Krew jest ważniejsza dla Księgi Pierwszej czyli Starego Testamentu, a to stamtąd wziął się wszelki początek tej historii, nie z Ewangelii czyli Księgi Ducha.

Był czas Wielkiego Tygodnia i pozwolono małej dziewczynce wejść do kościoła. Tłumaczę wszystko tym, że był to akurat ten moment, kiedy zabity Chrystus leżał na marach. Panował rodzaj bezkrólewia. Może Król Żydowski hasał po Szeolu? W każdym razie CÓRKA przysła do świątyni, żeby obejrzeć Jego śmierć.

W kościele nie było wiele osób, więcej niż zwykle, ale wciąż nie tłum. Stare kobiety w ciemnych ubraniach, parę młodych małżeństw. Oprócz nas dzieci garnące się do rąk lub niesione na ramionach. Cisza i kadzidlany zaduch. Ktoś płakał.

Carol niewiele myśląc podeszła do odsłoniętego za barierką symbolicznego Grobu Chrystusa. Przysła obejrzeć Misterium Śmierci.

Figura była stara - stara jak na miasto, w którym żyliśmy i jego poczucie czasu. Wykonał ją jakiś rzemieślnik z początku wieku. Nie była finezyjna i odłaziła z niej zielonkawo-biała farba - szczególnie zagrożone rozkładem były nogi. Kolor skóry był jedynym ukłonem „artysty” w stronę wielkanocnego ekspresjonizmu, tak hołubionego w dawnych wiekach. Jezus Chrystus był dewocjonalną kukłą. Przystojnym manekinem z wystawy męskiego salonu mody. Ufryzowane blond włosy, spod półprzymkniętych powiek błyskały błękitne tęczęwki. Biała opaska zapadała się na miejscu nieistniejących genitaliów. Krew malowniczo spływała z ran.

Chciałem powiedzieć, żebyśmy stąd poszli; chciałem powiedzieć, że figura jest tandetna; chciałem powiedzieć, że ten Jezus Chrystus jest obrzydliwy, ale nie mogłem. Nie mogłem, bo byłem w Domu Bożym i bałem się bluźnierstwa. Żaden był ze mnie gieroj w wieku dziewięciu lat. Po wtóre, żeby wyjść z kościoła, musiałbym oderwać Carol siłą od Grobu. Wyglądała jak zahipnotyzowana. Jej oczy po kolei przeliczały chrystusowe rany. Zbladła. Łudziłem się, że może zaszkodził jej zapach lilii i róż, którym udekorowana była nawa, ale nie... Carol coś zobaczyła. Coś, co było poza zasięgiem wzroku mojego i wzroku wiernych. Co?

Może zobaczyła swoją śmierć?

Ci, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie przemijają jak ślad obłoku, rozwiewają się jak mgła ścigana promieniami słońca. Zamieniają się w morską pianę, niczym siostry Małej

Syrenki. Och, Carol...

Nagle Carol złamała się w pół i zaczęła kaszeleć. Echk-echk, głośnym odbijającym się od sklepienia rżeniem, które rodziło się w jej krtani, zupełnie jakby ktoś wcisnął jej tam kawałek jabłka czy piłkę pingpongową. Zalała się łzami. Cierpiała, a ja zobaczyłem jak ciemnieją jej paznokcie u rąk. Chciała przestać, chciała się opanować, ale nie mogła. W pierwszej chwili ludzie nie widzieli w tym problemu: zgorzzeni krzywili usta albo odsuwali się, myśląc, że Carol jest przeziębiona, ale potem spostrzegli, że po prostu się dusi.

- Chłopcze, czy ona ma astmę? - spytał mnie jakiś staruszek.

To pytanie mnie otrzeźwiło.

- Carol! Carol! - miotałem się wokół niej jak piszczący szczeniak.

Przyszła jakaś zakonnica, ani stara, ani młoda, w ogóle nijaka i objęła dziewczynkę.

- To histeria - powiedziała przez nos. Skierowała się do wyjścia. Dała mi znak, żebym poszedł za nią.

Wyprowadziła nas na powietrze (korony drzew tańczące na niebie) i zrobiło się lepiej. Posadziła na ławce przeznaczonej dla wiernych, gdyby ci nie zmieścili się w kościele. Carol pokasływała jeszcze, ale nie budziło to już niepokoju. Przerwy pomiędzy wyrzucaniem z krtani powietrza były dłuższe, a sam kaszel cichszy.

- Twoja koleżanka nie powinna tu więcej przychodzić - powiedziała zakonnica i zostawiła nas samych. Uświadomiłem sobie, że pachniała kurzem.

Carol

Carol zostawiła Daniela w przykościelnym ogrodzie; oszołomiony, nie poszedł za nią. Przekroczyła bramę. Było upalnie, zbyt gorąco jak na wiosnę. Słońce oślepiało. Zmrużyła powieki. Przed nią rozlewał się sznur samochodów, jak wabione bestie płynęły nieprzerwanie gwarną jezdnią. Kierowcy podążali do supermarketów, do pracy, do kochanek...

Spojrzała na drugą stronę ulicy. Po chodniku szło młode małżeństwo, trzymające za rękę swojego synka. Raz po raz, jakby na umówiony znak, podnosili go w górę. Tłuste nóżki fruwały nad pokawałkowanym betonem. Perlisty śmiech. Radość. Kobieta poruszała głową, a słońce wzbudzało płomienie w jej rudych włosach. Wpatrzony w nią partner wyglądał, jakby zszedł wprost z reklamy maszynek do golenia. I to dziecko, ukryte pomiędzy nimi, bezpieczne... Carol poczuła ucisk w żołądku.

Chłopiec puścił kobietę dłoń. Ojciec przystanął z nim przy pierwszym tego roku sprzedawcy lodów. Nie przeziębi się...

Do dłoni malca trafił wafel, wypełniony różnobarwnymi gałkami i czekoladową polewą.

Carol pociągnęła nosem, oczy zmrużyła jeszcze bardziej. Dziwny obrazek: samotna dziewczynka wpatrująca się w szczęśliwą rodzinę.

Chłopiec stał, na chwilę pozbawiony rodzicielskiego uścisku. Jedną rękę już miał ubrudzoną od słodyczy, w drugiej trzymał niekształtnego teraz loda. Rudowłosa zaczęła grzebać w torebce, zapewne w poszukiwaniu jednorazowych chusteczek. Lekkim tonem powiedziała coś do męża, tamten zaśmiał się. Swobodnym gestem zmierzwił czuprynę chłopcu.

Carol poczuła ten dotyk w samym rozpalonym jądrze swojego wnętrza. Odczuła to tak, jakby świat ją gwałcił. Ekspłodowała w niej nienawiść.

Chłopiec, trafiony zgubnym instynktem zrobił trzy kroki do przodu na niepewnych nogach. Zawahał się, nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje, a później runął głową do przodu pomiędzy pędzące samochody.

Głuchy trzask, zgrzyt i pisk hamulców, następne uderzenia, cisza i dopiero: krzyk.

Matka odruchowo zakryła sobie usta rękami, ale wrzask ciężko zranionego zwierzęcia nie dawał się stłumić, nieprzerwanie wyrывał się na zewnątrz. Jej mąż ukląkł i tak pozostał. Wytrącony lód topił się w pyle.

Naprzeciwko stała jasnowłosa dziewczynka i uśmiechała się.

14.

Jeśli Pan ten jest tak potężny, jak wiem i widzę, że jest, jeśli złe duchy są Jego niewolnikami, w co wiara nie pozwala mi wątpić, cóż więc złego mogą mi zrobić, skoro jestem służebnicą tego Króla i Pana? Czemuż więc miałoby mi zabraknąć odwagi do walki nawet z całym piekłem? Brałam do ręki krzyż i rzeczywiście Bóg dodawał mi odwagi. W jednej chwili czułam się tak odmieniona, że nie lękałabym się wzywać ich wszystkich do walki: Wystąpcie teraz wszyscy, abym ja, służebnica Pańska, zobaczyła, co potraficie mi zrobić!

Tak naprawdę to raczej one się mnie bały, gdyż ja byłam zupełnie spokojna. Od tego czasu bez śladu zniknęły lęki przed nimi, nie bałam się wcale widoku złych duchów, a raczej, jak niżej opowiem, to one drżały przede mną. Wszzechwładny Pan całego stworzenia dał mi nad nimi taką władzę, że teraz są dla mnie jak brzęczenie muchy. Są tak bardzo tchórzliwi, że skoro tylko poczują, że ma się ich za nic, tracą wszelką odwagę. Wrogowie ci napadają tylko takich, którzy uciekają od walki i sami łatwo się poddają, lub gdy Bóg pozwala, aby ich

pokusy i udręczenia były na większy pożytek tych, którzy są Jego sługami.

Oby dał Pan w swojej Boskiej łaskawości, byśmy umieli się bać tylko tego, czego rzeczywiście bać się powinniśmy, byśmy zrozumieli tę prawdę niezawodną, że jeden grzech powszedni większą nam może wyrządzić szkodę niż wszystkie razem potęgi piekielne.

Czy wiecie, kiedy czarci napawają nas strachem? Wówczas, gdy sami sobie dajemy powód do strachu naszym przywiązaniem do czci, do rozkoszy, do bogactw tego świata. Wtedy, kochając się w tym i pożądamy tego, czego winniśmy się brzydzić, sami w ich ręce składamy oręż, którym powinniśmy się bronić przeciw nim, i doprowadzamy ich do tego, że pokonują nas i nam wyrządzają wszelkie szkody. Litość pojawia się na myśl o tym, a przecież wystarczyłoby uchwycić się krzyża i obrzydzić sobie te dobra dla miłości Boga, a wtedy zły duch będzie bardziej uciekał niż my od zarazy. Zły duch kocha kłamstwo, sam jest kłamstwem i nigdy się nie sprzymierzy z tym, kto postępuje w prawdzie. Ale gdy u kogoś widzi zaćmiony umysł, tego zręcznie doprowadza do całkowitego zaślepienia; a gdy zauważy, że ktoś jest tak ślepy, że swoje szczęście pokłada w dobrach tego świata, tak błahych i marnych jak dziecinne zabawki, z takim też postępuje jak z dzieckiem i śmiało rzuca się na niego, nie raz, ale wiele razy.

Nie daj Boże, bym się znalazła wśród tych nieszczęśliwych, ale abym, dzięki użyczonej łasce, umiała poczytywać za spokój to, co jest prawdziwym spokojem, za cześć to, co jest prawdziwą pociechą, a nigdy to, co jest fałszem i złudą. Wtedy będę mogła szydzić ze wszystkich diabłów i wówczas to nie ja będę się ich bała, ale oni mnie. Nie rozumiem lęku tego, kto krzyczy „diabeł! diabeł!”, podczas gdy powinien wołać „Bóg! Bóg!” i napędzić strachu całemu piekłu. Czyż nie wiemy, że złe duchy nawet nie mogą się ruszyć, jeśli im Bóg nie pozwoli? Na cóż więc te wszystkie daremne lęki? Co do mnie, to bardziej się boję tych, którzy się boją diabła, niż diabeła samego; ten bowiem nic mi zrobić nie może, ale tamci, zwłaszcza jeśli są spowiednikami, mogą spowodować wielki niepokój duszy. To z ich powodu przeżyłam wiele lat tak wielkiego udręczenia, że jeszcze dzisiaj się dziwię, że potrafiłam je znieść. Błogosławiony niech będzie Pan, że podał mi tak skuteczny ratunek.

Św. Teresa z Avila

„THE MIRACLE”

Zdarzenia i wypadki

Amiens (Francja) - w liczącej siedemset lat kapliczce Matki Boskiej Bolesnej znaleziono zwłoki dwudziestopięcioletniego samobójcy. Chłopak, cierpiący na nerwowe wyczerpanie, utopił się w studzience, do której wpadała źródłana woda, powszechnie uznawana za uzdrawiającą. *„Otworzyłem kraty zabezpieczające wejście i zauważyłem odsunięty właz. Podeszedłem i dostrzegłem coś białego w wodzie... Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to człowiek”* - mówi wstrząśnięty opiekun kapliczki. Mieszkańcy obawiają się, że na skutek złowrogiego wypadku woda utraciła swoją cudowną moc.

Chan-Tengri (Kirgizja) - kolejnymi ofiarami góry zostało sześciu doświadczonych wspinaczy. Zdaniem organizatora wejść *„chłopcy szli klasyczną trasą, na której nie ma trudnych partii, poza jednym miejscem, nazywanym „Pułapką na myszy”. To wąska szczelina, która po bokach ma pionowe skały. Nad „Pułapką” zwisa lodowa czapa, której brzeg o dziesiątej, jedenastej rano zaczyna się topić i osypywać. Wszystkie ekspedycje starają się przekroczyć tę pułpkę wczesnym świtem, póki słońce nie wyjdzie zza gór. Tego ranka wszystko odbyło się normalnie - grupa wyszła w porę, jednak lód z jakiegoś powodu osunął się. Prawdopodobnie przyczyną tragedii był podziemny wstrząs albo wybuch. Być może niedaleko odbywały się manewry wojskowe”*.

Nowy York (USA) - nieznani sprawcy śmiertelnie pobili nastoletnią rowerzystkę na trasie Hudson River Greenway (Battery Park - Most Waszyngtona). Jak ustaliła autopsja, biała kobieta była w trzecim miesiącu ciąży. *„Jestem szczęśliwy, gdy dzień mija bez wypadku”*. - stwierdził rowerowy kurier, który natrafił na ciało.

Kapsztad (RPA) - siostry katolickie ofiarami gwałtów. Zakonnice odmówiły przyjęcia środków wczesnoporonnych, twierdząc, że w swoim cierpieniu łączą się z

udręką Ukrzyżowanego.

Atol Madu (Australia) - wyłowiono trójkę dzieci-rozbitków z łodzi motorowej. Chłopiec i dziewczynki są odwodnieni, ale nic poważniejszego im nie dolega. Jak dotąd morze nie zwróciło ciał ich rodziców.

Wyspa Guam (Terytorium zamorskie USA w Oceanii) - rozwiązanie „tajemnicy” Zespołu Demencji Guamskiej. Nasiona jednego z występujących tu gatunków paproci palmowych zawierają truciznę - *aminokwas beta-metyl-aminoalaninę (BMAA)*, który ingeruje w układ nerwowy człowieka, powodując chorobę. Przez *BMAA* skażone jest również mięso żywiących się paprociami ptaków, nazywanych „Latającymi Psami”. Potrawy z Latających Psów są częścią regionalno-rytualnej kuchni Guam.

„THE MIRACLE”

Motto tygodnia:

„Cel uświęca środki” - Św. Augustyn

Część druga

GŁOSY

„Częściej diabeł prawdę rzecze, niż im się zdaje. Lecz go pojąć nie potrafią...”

Lord Byron

1. In nomine dei Satanos, Lucifer excelsi!

Sierpień, Anno Domini 2000.

Bud

Ciężarówka wypadła z szosy przecinającej niczym blizna gęsty i wysoki las; wjechała na ogromny most, wiszący wiele stóp nad wzburzoną rzeką. Most był imponujący, zupełnie jak ta rzeka i las - mocarze natury podążali ramię w ramię z inżynierami. Buda to jednak nie ruszało. Był kierowcą ciężarówki. Miał jeździć prosto przed siebie; słuchając radia, oczywiście.

Audycja, której dotąd słuchał, zamilkła jak nożem uciął. Przez chwilę w głośnikach tylko trzeszczało, ale kiedy ciężarówka minęła pierwszy filar mostu radio znowu zaczęło składnie gadać.

- Wielka ulga - stęknął. - Wielka pieprzona ulga! W tej robocie, wbrew temu co niektórzy chrzanią i co można obejrzeć na filmach z Sylwestrem Stallone, króluje śmiertelna nuda. Chyba, że jest się psychopatycznym zabójcą. Na przykład...

- „Chciałabym mojej córeczce, z okazji urodzin złożyć życzenia wszystkiego najlepszego” - powiedział starczy głos

- „Kiedy córka ma urodziny?”

- „Właśnie dziś”.

- „W takim razie przyłączamy się do życzeń... Usłyszycie teraz państwo fragment koncertu Jana Sebastiana Bacha na harfę i...”

- Co to ma być? Co to ma być, kurwa?! - Bud uderzył w deskę rozdzielczą. Pięść boleśnie go zapiekła. Westchnął i zaczął szukać innej stacji.

Carol

Harfistka była paskudna, miała długi nos i włosy jak wiewiórka. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że wciąż młoda, a już znała się na Bachu. „Dosiadała” z uczuciem harfy, przywierała piegowatym udem do instrumentu. Miała krótką spódnicę i Carol złapała się na tym, że z wypiekami spogląda w to miejsce, w którym kobieta łączy się z przedmiotem, pragnąc zobaczyć więcej. Mężczyzna siedzący obok niej w filharmonii robił dokładnie to samo... Carol starała się rozluźnić. Czuła, że zwraca uwagę: płowe włosy, jasna cera, zielone oczy. Zimna piękność z seksem mnożonym przez Tajemnicę. Musiała się nauczyć „nosić” takie ciało, jak nauki wymaga noszenie prostej sukienki od Armaniego (bez ozdób, z gołymi plecami). Zwilgotniała jej skóra ponad górną wargę; harfistka ścisnęła uda i barokowy trel zamilkł. Ludzie, jeszcze oniemiałi, automatycznie zaczęli podnosić się z krzeseł. Carol ruszyła do baru. Żałowała, że nie wzięła szala ani etoli - jej plecy rumieniły się od tych wszystkich oddechów...

- Wódkę z martini, bez lodu - poprosiła.

Włoch (to chyba musiał być Włoch, kalkulowała, z taką urodą) przysiadł się prawie od razu. Rozbawiło ją to.

- Odrzuca pani głowę, kiedy się śmieje - zauważył. Musiał być jej rówieśnikiem; zaczęła śmiać się jeszcze bardziej.

- Bellissima! Lubi pani Bacha?

Poczuła nieprzewartą ochotę, żeby w to wejść:

- Carol.

- Więc Carol, czy lubi pani Bacha?

- Lubię barok.

- Si, si! Geminiani! Corelli! Marcello! Vivaldi!

- Sami Włosi!

- Jeden Wenecjanin... Pietro - przedstawił się.

- Imię pierwszego apostoła?

- Si!

Zadźwięczał pierwszy dzwonek wzywający na widownię. Włoch przytrzymał rękę Carol.

- Teraz nie będzie baroku. Uniosła pytająco brew.

- W drugiej połowie zaplanowana jest muzyka dziewiętnastowiecznych mistrzów. Pierwotny program zmieniono... Nie wiedziała pani? Carol? Nie wszyscy lubią akurat barok jak my.

- Nie kłamie pan, Pietro? - Przypomniały jej się uda rudej harfistki.

- Nie.

Wyszli wprost do pobliskiej włoskiej kafejki. „Jesteśmy wszędzie”. „Jak Żydzi”. „Si!” Nie powiedziała mu, że ma dziś urodziny. Rozleniwiona, objedzona rozgrzanym serem i wciętą winem, udawała, że nie widzi jak z automatu w nocnym klubie (bo i tam poszli, i Carol tańczyła) wyjmując prezerwatywę. *Sto lat, sto lat*, pomyślała sobie. W tym nowym mieście wszystko, a już szczególnie samotność, wydawało się jej takie naturalne. Nauczyła się oddychać razem z nim; puls przejęła od legendarnej rzeki Hudson. Jeszcze jedna bajka, pomyślała, bo Pietro pocałował ją, kiedy szukała kluczy do mieszkania. Była noc, chłodniej, a Carol wciąż miała spocone plecy; słyszała harfę.

- Napijesz się kawy? - usłyszała swój głos. Czasem wydawało jej się, że brzmi jak głosik małej dziewczynki, którą kiedyś była. Nieszkodliwe złudzenie. Nie rozpoznawała już siebie na żadnej starej fotografii. Jakby Carol teraz i tamto dziecko były zupełnie innymi; nieznanymi sobie osobami (z wyjątkiem tego głosu - ten czynił z nich przyrodnie siostry). Co się mogło stać z tamtą małą? - podumała, przeglądając zupełnie puste szafki.

- Nie mam kawy. Może być woda mineralna?

- W porządku - zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Rozpiął mankiety koszuli, połuźnił kołnierzyk. Carol poruszyła nozdrzami, by poczuć zapach mężczyzny, który miał zostać jej kochankiem i nagle (choć pachniał pięknie) zdała sobie sprawę, że nie chce. Nie chce sobie komplikować dodatkowymi doznaniem życia, które i tak było pokomplikowane. W końcu czekała ją WIECZNOŚĆ.

- O czym myślisz? - Pocałował jej kark i przebiegł palcami po żebrach, kiedy pochylała się nad pustą szklanką wyjętą ze zmywarki.

- Nie mam tej cholernej wody.

- Ciii.

Obróciła się i odnalazła na męskiej szyi pulsującą żyłę. Zęby szczęknęły jej o łańcuszek. Wyciągnęła go gwałtownie.

- Au - zaplątał się we włosy, które rosły Włochowi na klatce piersiowej.

- Łańcuszek z krzyżem. Po prostu.

- Boisz się go? - zapytał.

- Nie. Ja nie, tylko wampiry...

Parsknął śmiechem. Siateczka pierwszych zmarszczek okoliła jego oczy. Pietro też studiował twarz Carol, ale nie odkrył przy tym żadnych niedoskonałości, z wyjątkiem smutku.

- Co jest Bellissima?

- Ja... To nie był dobry pomysł - powiedziała. Milczał. Bała się, że ją uderzy; a wtedy przytrafi mu się coś złego.

- Dobrze, że nie zdążyłem rozsnurować butów. Spuściła wzrok.

- I pewnie nie dasz mi swojego telefonu?

- Nie mam telefonu - skłamała, świadoma tego, że musiał zauważyć aparat wiszący w korytarzu.

- Dobrze.

Zarzucił marynarkę na ramię, przez co wyglądał jeszcze bardziej zabójczo. Dużą dłonią przeczesał czarne włosy.

- Nie zamierzasz przeze mnie zrezygnować z baroku?

- Nie mów takich okropnych rzeczy!

- Może Bóg da, to spotkamy się na jakimś koncercie - pocałował ją w kącik skrzywionych ust. - Dobranoc, dziewczynko.

Nie zdążyła zamknąć drzwi na łańcuch, kiedy zadzwieczał brzęczyk domofonu. Odebrała.

- Zauważyłem, że nie masz w domu kompaktu ani żadnych płyt. No! Niente! To znaczy, że musisz chodzić na koncerty, żeby słuchać Vivaldiego.

- Tak.

- Carol, nie miałbym twojej odwagi.

- Carol, kup sobie trochę płyt? Dobrze?

Obiecała, że to zrobi. Nie byli sobie pisani, nie mogła więc więcej „odwiedzać” ud wiewiórczej harfistki.

Jak by się skończyła ta historia, gdyby w nocy Carol kochała się z mężczyzną o imieniu pierwszego apostoła? Do diabła, że tak samo!

2. Kyrie eleison.

Panie nasz, Boże, Władco wieków wszechpotężny i wszechmogący, Ty stworzyłeś wszystko i wszystko przemieniasz swoją wolą. Ty w Babilonii zamieniłeś w rosę ogień pieca siedem razy mocniej rozpalonego niż zwykle; otoczyłeś opieką i uratowałeś swoich trzech świętych młodzieńców. Ty jesteś nauczycielem i lekarzem naszych dusz. Ty jesteś zbawieniem dla uciekających się do Ciebie. Ciebie prosimy i wzywamy, byś unicestwił, wypędził i zmusił do ucieczki wszelką potęgę złego ducha, wszelką obecność i knowania szatańskie, wszelki szkodliwy wpływ i wszelkie czary i uroki złych i nikczemnych osób, działających na szkodę Twego sługi Daniela. Spraw, aby zamiast zawiści i szkodzenia przez czary dostąpił obfitości dóbr, mocy, powodzenia w życiu i miłości. Ty, Panie, który darzysz miłością ludzi, wyciągnij Twoje mocne dłonie, Twoje wysoko wzniesione potężne ramiona, przyjdź z pomocą i nawiedz ten Twój obraz, ześlij mu anioła pokoju, niezwykłego opiekuna duszy i ciała, który by oddalił i przepędził wszelką niegodziwą moc, wszelką truciznę i gusła osób szkodzących i zawistnych. Każdy bowiem, kto doświadcza Twojej pomocy, śpiewa Tobie z wdzięcznością: Pan jest moim obrońcą, nie będę się lękał tego, co może uczynić mi człowiek.

Nie będę się bał zła, bo Ty jesteś ze mną, Ty jesteś moim Bogiem, moją mocą, moim potężnym Panem, Panem pokoju, Ojcem przyszłych wieków.

Prosimy Cię, Panie, nasz Boże, miej litość nad Twoim obrazem i wybaw Twego sługę od wszelkiej szkody lub niebezpieczeństwa pochodzącego od czarów, wesprzyj go i uchron od wszelkiego zła. Przez wstawiennictwo najbardziej Błogosławionej i Chwalebnej Pani Matki Boga, zawsze Dziewicy Maryi, jaśniejących archaniołów i wszystkich świętych Twoich. Amen.

3. Sierpień, Anno Domini 1979.

Kościół

Kościół został zdesakralizowany - biskup dał na to pismo.

Ktoś rozsypał białą kuchenną sól na podłodze świątyni.

Ławki wywieziono do przytułku dla starców. To znaczy nie było już tam przytułku, a szkoła dla ubogich czarnoskórych; ale nazwa wciąż się utrzymała.

Wczesnym porankiem przyjechała wielka ciężarówka z ciężką (ile ton?) stalową kulą na końcu dźwigara. Czekala. Wynajęci robotnicy zarzucili haki z linami na fasadę budynku (przypominającą kontrreformacki kościół Il Gesu, dla każdego kto uczył się trochę historii

sztuki, kto choć raz był w mitycznej Europie). Była popękana i to stanowiło oficjalną przyczynę rozbiórki. Nieoficjalna mówiła o czymś zupełnie innym. Mężczyźni podpięli liny pod ciężarówkę, dodatkowo uwiesili się na sznurach i całość na dany znak ruszyła. Trzeba tu było sprytu i ostrożności. Robotnicy mieli jedno i drugie, podobnie jak ich pradiadkowie, którzy ten kościół wznosili. Tyle, że oni budowali go w ziemi obiecanej, a teraz wszędzie wokół były slumsy. Prawie slumsy.

Silniki zagrzały się. Mury zajęczały. Fasada runęła.

Nic nikomu się nie stało. Ekipa usunęła co bardziej nieporęczne kawałki gruzu - ciężarowy moloch mógł podjechać tak blisko, by usłyszeć serce opuszczonej świątyni.

Facet w kabinie, gwizdząc na przepisy, palił papierosa. Czerwone Marlboro dla miejskich kowbojów. Już przeczuwał, że niedługo zabierze go rak (ten kaszel przy goleniu) i dlatego, ku zdumieniu żony, coraz częściej i ochotniej spacerował z córeczką. Był młody, mógł jeszcze pożyć... Pociągnął dźwignię - blisko siebie, do swojego krocza - później gwałtownie ją odepchnął. Stalowa kula zaczęła burzyć.

I jeszcze jedno: śmieciarz - włóczęga uwiózł na rozklekotanym wózku portret z kościoła; teraz był to portret, bo świątynia przestała być świątynią, a stała się zwykłym miejscem. Wizerunek przedstawiał błękitnooką kobietę, której włosy (można było się domyśleć, że są jasne) nakryte były półprzezroczystym błękitnym welonem. Jedna rzecz na naciągniętym blejtramie raziła niekonsekwencją. Delikatna ślicznotka miała rozoraną lewą pierś. W rozpadlinie ciała znajdowało się płonące, czerwone serce.

[Grają w piłkę; trawa pod ich stopami nie ugina się. Duchy.]

Wyburzono kościół i razem z sąsiednim, jałowym „od zawsze” splechotkiem powstał teren wielkości dwóch amatorskich boisk. Żadne z brudnych okolicznych dzieci tu nie przychodziło. Nikt nie przychodził, a i to bez racjonalnego powodu. Starsi pamiętali, że kiedy parafia działała bez zarzutu, za kościołem (w przyzwoitej, katolickiej odległości) rozegrano niejeden mecz. A piłkarzom przewodził sam proboszcz. Trzymał się jak żołnierz, ale często się śmiał. *In illo tempore.*

Anno Domini 2000.

Patti

Patti była obolała. Bolał ją brzuch i swędziały piersi - postanowiła już nigdy więcej nie sypiać ze swoim chłopakiem. Finito! Nie miała żadnych wątpliwości i szczyliła się, że tak łatwo rozwiązuje swoje problemy; dba o sprawy. Rodzice mówili, że to przez ten wolontariat tutaj. Że praca zamiast dać jej coś, czego zawsze szukała (co to było?) pozbawiła ją słodyczy i zrozumienia (złudzeń, kochani). Odpowiedziała im, że jedni pracując w „Telefonie Zaufania” załamują się, a inni robią się twardsi; tak jak Patti.

Wierciła się w swoim boksie i co rusz poprawiała obręcz ze słuchawkami. Dyndający przy ustach mikrofon wkurzał ją jak nigdy dotąd. Kto teraz zadzwoni? Albo - może - co? Ćpun; Samobójca; „Klimakterium”; „Porzucona”. Bitka i Głupia Cipa. Zboczek albo Kawalarz. Od czasu do czasu Ktoś Naprawdę Potrzebujący Pomocy. Patti miała dwadzieścia cztery lata i znała wszystkie grzechy świata.

Odebrała pierwszy telefon na swojej zmianie. - Czy mogę rozmawiać z Patti? - Znano ją. Została zarekomendowana.

- Powiedz mi, jak masz na imię? - Nagabywała Patti, bo tak miała przykazane. Złapać kontakt! Pozbawić anonimowości. Przekonać o miłości.

W słuchawce zaszumiało.

- Twoje imię? - *Nomen omen*, pomyślała. Imię odpowiada istocie człowieka i przymiotom jego serca, umysłu i ducha; przynajmniej tak pisano w gazetkach ezoterycznych oraz w Biblii.

- Martha. Jednak jest tu ktoś jeszcze...

- ...czasem się boję, ale przecież jestem grotem Pana; pomaga mi chorąży Michał - głos, od początku niewyraźny, cichł z każdą głoską. Nagle końce słów zaczęły przeskakiwać jak głos na zdartej płycie. Patti poczuła dreszcze.

- Co jest, do cholery! Co to za dowcip? Usłyszała w słuchawkach wysoki pisk, a kiedy je zrzuciła mierzwiąc włosy, poczuła ciepło na policzku i dalej, na zuchwie.

Inni wolontariusze wychylili się ze swoich boksów i patrzyli na dziewczynę z dezaprobatą.

- No co? - warknęła. A zaraz potem pokazała uwalaną rękę: - Zobaczcie... Krew!

Zemdląca.

Anna

Było to miasteczko uzdrowiskowe; jeden kościół, jedno kino, ratusz, drewniany teatr. Stojąca pod gołym niebem kaplica Najświętszej Marii Panny. W sezonie jeden zegar

układany z kwiatów i jeden kwiatowy dywan.

Uzdrowisko jak każde: pełne kalek wszelkiej maści i zakonnic, które przełożeni kleru wysyłali tu, by podreperowały zdrowie nadszarpnięte w służbie Pana. Opuchnięte stawy od ciągłego przebywania w chłodnych salach, wilk od przeciągów, zdeformowane kolana od ekspiacji w symbolicznej Drodze Krzyżowej, płuca pełne kredowego pyłu, jakim przesycone były pokoje katechetyczne. Przerośnięte mięśnie sercowe, gruźlica, histeria, rak.

Pośród tego wszystkiego jedna porzucona dziewczynka, miejscowa, wychowywana przez babcię w czasie, kiedy ta nie grała w brydża. Ciemna Anna.

Anna planowała, że gdy tylko dorośnie, opuści to miejsce. I zostanie baletnicą albo astronautką. Choć ostatnio przeszło jej przez głowę, że fajnie byłoby być... Co za myśl nie do wypowiedzenia! Co za bluźnierstwo! Ostatnio coraz częściej odwiedzała kaplicę, zapalała świeczkę u stóp posągu i modliła się: Chcę...! Chcę...!

Kamienna Matka spoglądała na nią z góry, z pobłażaniem wylewającym się spod współprzymkniętych powiek. Aż do dziś. Dziś było inaczej.

Parę metrów od kaplicy stała ławka, którą Anna jak zwykle zignorowała. Przesadziła wąskie i długie stopnie, wchodzące w naturalne wzniesienie, na których wierni układali bukiety róż i ogarki. Alabastrowe sandały Niepokalanego Poczęcia wyglądały tak, jakby ich rzemienie wychylały się wprost z trawy, choć tak naprawdę posąg stał na marmurowej płycie. Anna musnęła dłonią zimny półokrąg paznokcia największego palca. Zawsze starała się podejść najbliżej jak się dało - widziała jak inni całowali kamienne stopy, a nawet brali palce do ust. Wargi z modlitewnym cmoknięciem zamykały się na marmurze. Musiało to mrozić zęby.

Dostrzegła jeszcze, że ktoś zawiesił nowy różaniec na szyi NMP, a później skłoniła głowę i odpłynęła w marzenia.

Chrobot. Powtarzający się upierdliwy chrobot, który nie pozwala skupić myśli. Zupełnie jakby przesuwano meble! Obejrzała się zniecierpliwiona, czy aby ktoś nie dobrał się do ławki, ale źródło hałasu było tuż przed nią.

Ważący sto pięćdziesiąt kilo posąg zaczął poruszać się to w przód to w tył. Wibrował. Czy mógł się osunąć?

Anna zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła zniknął i ruch i kamienna figura. Jakby Maryja wzięta i odeszła. Albo ją porwano.

A Anna chciała być świętą!

Obróciła się, z płaczem pobiegła przed siebie. Wszystko w jej ciele, pod wpływem szoku, zmieniało się i dojrzewało.

Wpadła na kogoś: na wyschłe łono, na szorstki, wełniany habit.

4. Sierpień, Anno Domini 2000.

Carol

Zobaczyła to w telewizji: na piątym kanale. W starym odbiorniku, który bez przerwy grał w publicznej pralni. Grał głośno, by przekrzyczeć buczenie pralek.

Zobaczyła cud.

Nie przerwała prania, poczekała, aż maszyna skończy. Wypłucze. Suszarek nie było. Carol zebrała mokre ubranie do plastikowego kosza i wyszła na spoconą ulicę. Myślała o jutrzejszym dniu, bo to właśnie miał być jutrzejszy dzień. Ten czas. Czarnoskóry mężczyzna zatrąbił na nią i przeklął, bo weszła mu wprost pod koła wozu. Celowo się umartwiając - jak święta - wybierała pralnię tak daleko od domu. Ciężył jej czerwony, plastikowy koszyk pełen majteczek i bluzeczek. Była drobna. Potrafiła się wzruszyć patrząc na swoją dłoń. Zaśmiała się, bo z nagła przypomniała się jej nazwa rumaka tamtego czarnoskórego kierowcy. *Skoda. Skoda.*

Weszła do domu i choć było wcześnie, natychmiast położyła się spać. Bielizna skotłowana w koszu nie wyschła. Następnego dnia musiała wyjść z domu bez majtek. Podniecało ją to i równocześnie niepokoiło - nie wiedziała, co odczuwa bardziej.

Jutro było dziś. Carol wciągnęła czyste, obcisłe džinsy i przyglądała bluzkę marszczącą się na piersiach. Popatrzyła w lustro - oblizwała wargi. Nie było w tym nic lubieżnego. Odbicie powiedziało Carol, że wygląda starannie. Kobiety ubierają się tak na randki i do samobójstwa. Carol wiedziała, że ta wizyta nie będzie ani jednym, ani drugim. Zamówiła taksówkę (rzadka okazja, żeby skorzystać z telefonu), a zaraz potem zatrzasnęła drzwi i na kierowcę czekała już siedząc na schodach swojego domu. Portier dziwnie jej się przyglądał. Pomyślał, że jest artystką (pierdolona Yoko Ono z blond włosami) albo ćpunką. To drugie wydawało mu się łatwiejsze do strawienia.

Było dokładnie tak jak mówili w telewizji. Niepokalane Poczucie pojawiło się na szklanej ścianie biurowca japońskiej korporacji. Gospodarze byli zażenowani, niektórzy robili zdjęcia. Ci, którzy w biurowych przerwach - głównie Amerykanie - wychodzili na papierosa, byli wściekli. Rozmodlony tłum, który pojawił się znikąd, gnany pod Yokoshimo stugębną plotką, rozłożył się przy załomku muru, w którym to miejscu urządzono sobie nielegalną palarnię.

Papierosy i ploty. Ci, którzy mieli polskich dziadków zastanawiali się, czy aby nie warto się nawrócić. Tłumy przyniosły ze sobą kwiaty, świece i krzyże. Robiło się tak jak przed pałacem Buckingham w poranek dnia śmierci Diany Spencer. Powiewała ręcznie wyhaftowana makatka z NMP. Wprost z taksówki w środek tego wszystkiego wpadła Carol. Wiedziała, że powinna coś poczuć. Coś jak prąd. Uderzenie galwanem u kosmetyczki, albo i więcej.

Zapłaciła za kurs i zaczęła przeciskać się przez tłum, aż do samej nawiedzonej szyby.

- Stąd nie będzie widać, gołąbeczko - poradziła jej jakaś starsza pani.

„Jestem synogarlicą”, pomyślała.

- Trzeba odejść parę kroków do tyłu, wtedy widzi się postać.

To po co stoicie NMP na twarzy?

Cofnęła się. Plamy na szybie (zostawione przez niechlujnego czyściciela szyb i przez smog, wypalone miejskim upałem) rzeczywiście układały się w ołtarz. Były jednak tylko plamami. Resztę wyczytało z nich ludzkie oko do wtóru ze zwodniczym mózgiem..

- Pomódl się, gołąbeczko. O rodziców się pomódl.

- To oszustwo! - Wykrzyknęła Carol. W jednej chwili, wszyscy wokół poczuli się bardzo oburzeni.

- Skąd możesz wiedzieć? Zabierać ją stamtąd!

- WIEM.

Odebrała im nadzieję i tak startą jak miedziaki. Tłum rzucił się na Carol.

Gliniarz, który ją zabrał z miejsca wypadku do szpitala, szepnął słówko zaprzyjaźnionej pielęgniarce, tak, że Carol nie musiała czekać w długiej kolejce nieszczęśników, tylko od razu zaprowadzono ją do doktora. Dlaczego to zrobił? Mało ją to obchodziło. Zupełnie jak to, że zadyma z jej udziałem zostanie trzydzieści sekund w głównym wydaniu wiadomości; a później satelity rozniosą ją na cały świat niczym parodię Dobrej Nowiny.

Lekarz, który zajął się Carol był młody i rudy. Irlandczyk. Wysłał ją (z tą samą pielęgniarką) na prześwietlenie ręki i ramienia, a potem długo przeglądał zdjęcia. Zbyt długo, by mogła się nie zaniepokoić.

- Doktorze?

Odłożył klisze i zaczął robić na nadgarstku młodej kobiety sztywny opatrunek. Będzie musiała go nosić trzy-cztery tygodnie, może więcej.

- Więcej niż miesiąc?

- Powinna pani bardziej uważać - powiedział. Tylko tyle.

Skrzywił się nieznacznie, gdy zaprotestowała, kiedy wypisywał receptę na środek

przeciwbólowy. Przeprosił i wyszedł. Co do reszty - poinstruowała ją pielęgniarka. Także gdzie zapłacić rachunek, bo Carol nie była ubezpieczona.

- Proszę przesłać go pani Kempke.

- Słucham? - spytała siostra.

Powtórzyła. Głośniej i wyraźniej.

Wieczorem, niezdarnie próbowała skorzystać w wannie z samego prysznica. Nie chciała zmoczyć opatrunku, choć nie było obaw, że woda go zepsuje - raczej wilgotna skóra będzie bardziej swędzieć. Carol przyjrzała się swojemu ciału - rozwinęły się na nim kwiaty sińców. Carol poczuła satysfakcję.

5.

Carol i Daniel

Ucieszyła się na jego widok tak, jakby psiarz radował się na widok najpiękniejszego (i najwytrzymalszego) spaniela ze sfory. Pomyślała: zmęźniał; tak dobrze, że się pojawił, bo zaczęła doskwierać jej samotność. Daniel.

- Carol.

Udała, że nie słyszy. Że od dawna nie obserwuje go w sklepowej witrynie. Była rozradowana, choć wciąż ćmił ją nadgarstek, a zakupy - upchnięte w jednej torbie - męczyły drugą dłoń.

- Carol, przestań.

Zapomniała, że ten chłopiec tak dobrze ją znał. Obróciła się z uśmiechem. Tym, który podejrziała u Emanuelle Seigner.

- Szukałem cię.

- Jak Słońca? W podkutych butach i z ołowianą laską; aż na koniec świata?

- Właśnie tak. Kiwnęła głową. Zabrał od niej torbę.

- Mieszkam tu niedaleko - powiedziała Carol. - A ty?

- Ja nie. Ale to w niczym nie przeszkadza... - poprawił się szybko.

Byli sobie przeznaczeni. Nikt, a zwłaszcza ktoś taki jak Carol, nie wierzył w przypadkowe spotkania.

- Co tutaj robisz?

- Uciekłam. A ty?
- Pojechałem za tobą.
- No, tak. Oczywiście.
- Krępuje cię to? - Był ostrożny.
- Pochlebia.

Uspokoił się, choć serce wciąż chciało wyskoczyć mu z piersi. Zatrzymała się i pocałowała go w czoło. Drugi przystanek był przed jej kamienicą. Przypominała Bramford, ale jak z wieku, który dopiero miał nadejść.

- Wow!
- Mieszkanie imponuje ci bardziej niż ja?
- Wariatka! Kim tu jesteś? Kto za to płaci?
- Pani Kempke i jej przyjaciele.

Spojrzał jej w oczy.

- Więc nie uciekłaś za daleko?
- Pozwalam im pozostać dyskretnym.
- I co?
- Zastanawiam się. A ty?
- Ktoś mi pożyczył pieniądze, bym mógł z tobą być. Pieniądze i ołowianą laskę.
- Chłopiec do towarzystwa! Czuję się jak Holly Golightly.
- Kocham cię - powiedział jak chłopiec.
- Wielbiciel i wyznawca.

Przegadali całą noc. Potem pościeliła mu na podłodze - „żebyś nie musiał wchodzić do jaskini lwów”.

- Danielu?
- Tak? - Odpowiedział zaspany. Sen sklejał mu powieki i wargi. Poczł gorzki smak w ustach.

- Jak zamykam oczy to widzę pustynię. - Przerwała. Nabrała powietrza w płuca. Jeden oddech... - A dokładnie, falujące powietrze nad niczym.

- Co to ma znaczyć? - Pytał słabo.
- Nic - skłamała Carol. - Śpij.

Rusty uważa, że powinnam palić marihuanę, i paliłam ją przez jakiś czas, ale tylko chichoczę od tego. Przekonałam się, że najlepiej mi robi, kiedy wsiądę w taksówkę i pojedę do Tiffany'ego. To od razu działa na mnie kojąco, ten spokój i ta wytworność. Tam nie może

się stać człowiekowi nic bardzo złego, między tymi uprzejmymi, ładnie ubranymi ludźmi, w tym ślicznym zapachu srebra i krokodylich portfeli. Gdybym mogła naprawdę znaleźć miejsce, gdzie czułabym się jak u Tiffany'ego, to kupiłabym sobie meble i dała temu kotu imię.

Monolog Panny Holliday Golightly.
Truman Capote „Śniadanie u Tiffany'ego”.

6.

Beatrix

Przysypiała, a przecież nie chciała spać. Bała się usnąć w pociągu pełnym obcych ludzi. Opierała się czołem o okno - czarne, krótkie włosy sklejał pot, który pozostawiał ślady na szybie. Czuła się zdezorientowana. Zdezorientowana i nieszczęśliwa.

Świtało. Pociąg był spóźniony, ale zamiast nadrabiać opóźnienie co i rusz zwalniał, by przepuszczać inne kursy. Za oknami jak zielona serpentyna rozwijał się las. Ten widok powinien dawać nadzieję, a jeszcze bardziej ją zasmucał. Jechała do miasteczka, w którym się wychowała, żeby odnaleźć... Nie miała pojęcia czego szuka, ale wiedziała, że jej życie przepełnia taka tęsknota, że stało się nieznośne. Uświadomiła sobie, że powinna cieszyć się z tych chwil spędzonych w pociągu, bo są namacalną rzeczywistością. Bezkarłym stanem zawieszenia pomiędzy punktem A i B. Przeszłością a Przyszłością...

Uśmiechnęła się sama do siebie (w szybie odbijała się tylko jej drobna broda i blade usta) i wtedy go zobaczyła. Jelonek stał tuż przy torach. Jego oczy błyszczały łagodnie, rogi przypominały gałązki owocowego drzewa (albo jaśminu), a jasnobrązowa sierść najdroższy aksamit. Był jeszcze ładniejszy niż Disneyowski Bambi, ale w przeciwieństwie do tamtego - milczał. Jego obecność prowokowała tyle pytań bez odpowiedzi. Na przykład - co go przyniosło tak blisko torów? Co to mogło być? Nie odskoczył przerażony w las. Stał wyczekujący, nieruchomy jak rzeźba. Taki pojawił się i taki znikł jej z oczu. Takim go zapamiętała. Miała na imię Beatrix.

Ambedkar

Biały pies z białą piersią miał tylko jedno oko. Było niebieskie, świetliste. Drugie zostało dawno temu wydłubane. Omijając dym ze stosu, który palił nozdrza, podszedł do rzeki i

zanurzył w niej pysk. Przy samym brzegu, w nurtach Gangesu leżał osmalony ludzki mostek - kundlowi to nie przeszkadzało.

Śniady Ambedkar, grabarz z kasty niedotykalnych, cmoknął na zwierzę. Poderwało ociekający wodą łeb. Ambedkar pokazał mu na dłoni kanapkę z najprawdziwszą amerykańską szynką. Kundel długo się wahał, ale w końcu zdecydował się odejść. Uciec głodny. Jak chcesz bracie, powiedział Ambedkar, chowając bułkę do kieszeni szortów. Czekala na niego praca. Stara kobieta umarła wczoraj, mając ciało wyżarte przez raka. Była samotna, ale miała pieniądze.

Ułożył zwłoki na wcześniej przygotowanym stosie. Były lekkie jak gliniany garnek. Podłożył drewno. Starą było stać na dużo drewna, dla swoich chudych zwłok. Całopalenie mogło skończyć się przed zwykłym czasem trzech godzin.

Różowe płatki kwiatów przykleiły się Ambedkarowi do ubrania. Nie zwrócił na to uwagi. Za to poprawił chudą, siną rękę, która wysunęła się spod błękitno-purpurowego całunu. I wtedy to usłyszał.

Niedotykalny przytknął ucho do martwych, rozchylonych ust. Szumiało w nich tak jak szumi we wnętrzu muszli.

Ambedkar podniósł się z obawą, niepewny co ma teraz uczynić. Przy wodach Gangesu zebrało się wielu ludzi. Płowy pies również wrócił.

Samuel

Jękliwie odezwał się ostatni dzwonek i dzieciaki wyszły ze szkoły. Po kilkoro z nich przyjechali samochodami rodzice. W większości jednak chłopcy i dziewczęta pozbijali się w większe grupy i robiąc różne psikusy, wzajemnie odprowadzali do domów. Chłopiec w czarnej bluzie obserwował to tak, jak obserwuje się nieznany rytuał. Nagle zorientował się, że pozostał sam na szkolnym placu. Był nowy i wszyscy mieli go w nosie. Gwizdał na to, a przynajmniej starał się to czynić. Jego ojciec nie pochwałałby tej obojętności. Był typem „działacza” - rzecz normalna u pastora. Chciałby, aby jego synek Samuel (duże imię dla małego człowieka) jak najprędzej zaprzyjaźnił się z rówieśnikami i niósł pośród nich kaganek świętego ducha. Samuel nie zwracał uwagi na ojca. Przynajmniej od chwili, kiedy mama z Sarą zginęły w wypadku na autostradzie - stało się to przez dym z wypalanych traw. Od chwili, kiedy oboje porzucili swoje senne miasteczko i przeprowadzili się do stale śmierdzącej rozgrzanym asfaltem metropolii.

Potrząsnął głową, żeby odrzucić wspomnienia. Ruszył dziarsko przed siebie niczym dzielny ołowiany żołnierz. Jednak się bał, choć minęło półtora miesiąca od przeprowadzki

wciąż nie potrafił zapamiętać drogi do domu. Ojciec przeszedł ją z nim razem tylko jeden raz - pierwszego dnia szkoły. Samuel zaczął się niekontrolowanie pocić - krople potu niczym perełki na dziecięcym czole - bo wiedział, że i dziś przyjdzie taki moment, kiedy stanie przed z pozoru obcą fasadą, skrzyżowaniem ulic i zadrży, bo nie będzie wiedział, gdzie skierować swe kroki. Zagryzł wargi, aż poczuł krew i przekonał się, że jest. A skoro on istnieje, istnieje i świat. To nie sen! Nie koszmarny sen! - przekonał się, kalecząc. Wszystko to prawda. Tamtego dnia chłopiec usłyszał głosy. Niósł je wiatr. Usta, które je wypowiadały były bezcielesne. „Pobaw się z nami!”. „Pobaw się z nami Samuelu!”. Delikatne dziecięce głosiki jak koncert dzwonek. Technienie ostatnich kastratów.

Uciekł przed nimi. W zaułku, którego nie znał (ani nie pamiętał) wpadł na mężczyznę w szarym, za luźnym prochowcu. Ten uśmiechnął się do niego - miał przeczerwione zęby. Jestem Samedi, powiedział przyjaźnie. Z brudnego rękawa wyciągnął czerwonego lizaka (barwiony lukier zwisał w nieokreślonych grudach) i podał chłopcu.

Ojciec Samuela, wbijając kościste kolana w wytartą wykładzinę wynajętego mieszkania, modlił się żarliwie o to, aby syn odnalazł bezpieczną drogę do domu. By demony go nie zwiodyły.

wcześniej; gdzieś

„Czy można wzywać, nie znając Ciebie? Przecież mógłby wtedy człowiek, myląc się, coś innego przyzwać!”

Św. Augustyn, „Wyznania”

Martha Abramsky

Budynek bardziej przypominał wynajętą i przystosowaną halę niż kościół. W istocie był starym kinem. Przed wejściem stała tablica, na której wypisano żółtą kredą: „Modlitwy za ukazanie drogi i odwrócenie oczu urocznych, za odczarowanie, za odpędzenie myśli samobójczych, zazdrości, lęku”. Upał potęgował opuszczenie dzielnicy. Biednej, starej i latynoskiej. Spokój, który tu panował był tylko spokojem pozornym.

Ścianę podpierał śniady chłopak w operatorskiej kamizelce. Dziwacznie - między kciukiem a palcem serdecznym - trzymał papierosa. Enrique! Zawołano go ze środka.

Odrzucił niedopalonego peta. Papierosem był meksykański faros.

Na drzwiach, które pchnął, namalowano religijny emblemat - białą gołębicę w czerwonym sercu. Kiedy Enrique szedł długim korytarzem do serca świątyni, do jego uszu dobiegały elektronicznie wzmocnione słowa kazania:

- Widzicie tylko siedem procent morza, nie widzicie dziewięćdziesięciu trzech. To o tym Bogu mówię. Czy Bóg, który umiał stworzyć ciało, nie potrafi wyprostować koślawej nogi? Nie mógłby zagoić jakiejś rany? Zrozumieliście?

- Tak - odrzyknęli wierni.

- Czy ten Bóg może to zrobić?

- Tak!

- Moim zadaniem jest wierzyć - zadaniem Boga jest czynić cuda. Medycyna pochodzi od Boga. Bóg da lekarzom wiedzę, żeby znaleźli szczepionkę na AIDS. Najgorszą chorobą jest brak wiary. Kto zabił? Czy to AIDS? Nie, to brak wiary. Dla tych samych z zewnątrz wiara jest szaleństwem. Są tacy, którzy powiedzą, że pastor jest szalony. - Enrique zobaczył w obiektywie jak przemawiający mężczyzna stuka się pięścią w skroń. - Prawda czy nie? Tak czy nie? Zrozumieliście? Jezus Chrystus jest naszym Panem. Powiedzcie: wierzę.

- Wierzę! - Chór głosów.

- Pomódlmy się - nakazał i zaintonował: - Krwi Chrystusa, Jednorodzonego Syna Ojca Przedwiecznego.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, Wcielonego Słowa Bożego.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, przy konaniu w Ogrójcu spływająca na ziemię.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, tryskająca przy biczowaniu i brocząca spod ciemnowej korony.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, przelana na krzyżu.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, zapłato naszego zbawienia.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, bez której nie ma przebaczenia.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, która w Eucharystii poisz i oczyszczasz dusze.

- Wybaw nas.

- Krwi Chrystusa, zwyciężająca złe duchy.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, męstwo Męczenników.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, mocy Wyznawców.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, rodząca Dziewice.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, ostoję zagrożonych.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, ochłody pracujących.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, pociecho płaczących.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, nadziejo pokutujących.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, otucho umierających.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, pokoju i słodyczy serc naszych.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, zadatku życia wiecznego.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, wybawienie dusz z otchłani czyśćcowej.
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, wszelkiej chwały i czci najgodniejsza.
- Wybaw nas.
- **POWSTAŃ, PODNIEŚ SIĘ ZE SWOJEGO TRONU I CHODŹ WALCZYĆ, OJCZE!**

Enrique sięgnął po gumę Nicorette. Włożył ją sobie do ust.

- Exu Tranca-Rua, lemanjá, wszystkie pretos-relhs, wy, które niszczyacie rodzinę, małżeństwo, pokażcie się! Cabocho Zé Raimundo, dona Jarina, seu Pena Verde, który podszywasz się pod ducha światła, duchu nieczysty, wyłaż! Wyjdź z nerwów! Exu Caveira, wyłaż z tego żywego, ale już! Demonie pijaństwa, niech twoje dzieło przepadnie, niech się teraz odczyni. W imię Jezusa Chrystusa, przepowiadam, że ci ludzie otrzymają życie. Niech ten lud stanie się potężnym, wolnym, błogosławionym hufcem... Dłużej nie zniosę tu demona.

Niech duch zwycięstwa stanie oko w oko z duchem zniszczenia i słabości. Wyjdźcie!

Enrique, Meksykanin, pomyślał sobie, że on nigdy nie zrozumie tych nawiedzonych Brazylijczyków... Jakaś staruszka w trzecim rzędzie zaczęła toczyć pianę z ust. Chłopak wcisnął topornego „zooma”.

Kapłan rzucał słowa „w twarz” demonom, by sprowokować je, aby potwierdziły swoje prawa do ofiar i pokazały swoją moc.

- Mamy opętana - zakrzyknął ktoś.

Enrique „poderwał” obiektyw kamery, kiedy okazało się, że krzyczący nie ma na myśli staruszki, która przypominała teraz starego, wściekłego buldoga; a jej twarz o kolorze orzecha wyglądała tak, jakby za chwilę miała popękać.

- Tutaj! Tutaj, moja wnuczka!

Statyw zadrżał.

Błede postaci odcinały się od reszty jak niedopasowane kamyki w mozaice. Młoda kobieta, o szarych włosach, szybko wymagających mycia, odpychała od siebie obreiros, którzy przyszli, by zaprowadzić ją na środek zgromadzenia, pod zasłonięty kotarą ekran, na której przypięto nieudolnie wycięte z kartonu litery. Układały się w rozchwiany napis: „Jezus Chrystus naszym Panem”. Wciągana na podwyższenie oporna kobieta, szarpnęła się i zrzuciła z prowizorycznego stolika flakonik z olejem do namaszczeń.

- Opętana! Opętana! - szept przeszedł przez salę, niczym w dziwacznej odmianie zabawy w głuchy telefon.

Dla Enrique dziadek petentki wyglądał na Niemca, jednak jego miękki akcent sugerował inną nację. A więc Rosjanin? Rosjanin wśród Brazylijczyków? To mu nie pasowało. Soczycie przeklął w głowie producentów leczniczej gumy z zawartością nikotyny, a paczka farosów w kieszeni, zaczęła mu pokutniczo ciążyć. Palił od trzynastego roku życia - dlatego nie urósł. Wyglądał jak ludzki kucyk. Czarny, kędzierzawy pony... Taki, jak ten co zabił córkę Scarlett O'Hara w amerykańskim filmie. Kolebce naszych myśli i serc.

- Jak ona ma na imię? - Zapytał egzorcysta dziadka.

- Martha. Nazwaliśmy ją Martha, bo... Tamten już nie słuchał:

- Siostró Martho, z mocą Trójcy Świętej ze szczególnym wstawiennictwem Ducha Świętego, uwolnimy cię od Złego!

BRAWA.

Usłużny obreiro jedną rękę trzymał na czole, drugą przyciskał do karku kobiety.

- Aj, to boli - zaprotestowała.

Jej białą bluzkę pod pachami znaczyły szare kręgi potu.

- Panie, Ty jesteś wielki, Ty jesteś Bogiem, Ty jesteś Ojcem. Ciebie prosimy przez wstawiennictwo i pomoc archanioła Michała, Rafała i Gabriela, aby nasza siostra Martha została uwolniona od złego ducha, który uczynił ją swoją niewolnicą. Wszyscy święci, przyjdźcie nam z pomocą. Od niepokoju, smutku, obsesji.

- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Od nienawiści, nierządu, zawiści.
- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Od myśli o zazdrości, gniewie, śmierci.

[Martha krzyknęła raz: krótko i rozpaczliwie. „Mogłaby tym głosem tłuc kieliszki”, pomyślał Enrique, kiedy zapiszczało mu w uszach].

- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Od wszelkiej myśli o samobójstwie i poronieniu dziecka.

[Odpierdol się, lachociągu - powiedziała Martha].

- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Od popadania w rozwiązłość cielesną.
- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Od rozbicia rodziny, od wszelkiej złej przyjaźni.

[Martha zwymiotowała złością na obreiro - tego, który dokonuje Dzieła Bożego].

- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Od wszelkiej formy czarów, uroków, guseł i od wszelkiego zła ukrytego.

[Martha przerwała uścisk. Wyrwała się i skoczyła ze sceny. Przez moment wydawało się, że przełamała prawo grawitacji i szybuje... Zaraz potem gwałtownie stoczyła się po trzech schodkach - jeden od Boga Ojca, drugi od Jezusa Chrystusa, trzeci od Ducha Świętego - wyglądała, jakby złamała sobie kark; albo przynajmniej bardzo mocno się potłukła. Enrique zastanawiał się czy pastor jest nadal zadowolony, że tak łatwo skaptował go do nagrywania zielonoświątkowej mszy. I co by powiedział na to, gdyby Enrique próbował sprzedać kasetę z amatorskim negatywem amerykańskim wiadomościom? 16 mm!].

- Ciebie prosimy, uwolnij nas, Panie.
- Panie, który powiedziałeś pokój zostawiam wam, pokój mój wam daję, przez wstawiennictwo Dziewicy Maryi, uwolnij nas od wszelkiego przekleństwa i spraw, abyśmy się cieszyli Twoim pokojem. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Staruszka, której piana zaschła wokół ust niczym sperma czy ślad po waniliowych lodach, zaczęła płakać. Wyszuszone klatka piersiowa, wstrząsana łkaniem, gwałtownie podnosiła się i opadała. Raz i dwa. Raz i dwa...

7.

Jakże to spadłeś z niebios, Jaśniejący, Synu Jutrzenki?

Jakże runąłeś na ziemię, ty, który podbijałeś narody?

Ty, który mówiłeś w swym sercu: Wstąpię na niebios; powyżej gwiazd Bożych postawię mój tron. Zasiądę na Górze Obrad, na krańcach północy. Wstąpię na szczyty obłoków, podobny będę do Najwyższego.

Jak to? Strąconyś do Szeolu na samo dno Otchłani!

Księga Izajasza 14, 12-15

Dies irae, dies illa,

Solvat saeculum in favilla,

Testet David cum Sibylla.

XII-XIII w, Tomasz z Celano (?)

8.

Carol

Ubrała się tak, by nie obudzić Daniela. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, że zbyt wiele czasu spędzają razem, że czuje się zbyt zobowiązana; ale czy to wszystko nie było bzdurą? Na dzinsy i na podkoszulek założyła cienki, letni płaszcz, bo wyjrzała przez okno i zobaczyła, że padało. A w prochowcu, dodatkowo jeszcze, czuła się pewniej. Bezpieczniej. Jakby miała na sobie kostium, na zmytej twarzy charakterystykę i grała w europejskim filmie. Opatrunek z nadgarstka właśnie jej zdjęto. Była aktorką, nic złego nie mogło jej się przydarzyć naprawdę. Portier przysypiał - zdarzało mu się to coraz częściej. Nie zwalniano go, bo miał na utrzymaniu żonę i dwie córki, a jedna z małych urodziła się z zespołem Downa. „Litość” - Carol przegryzła bezgłośnie to słowo w ustach i wyszła na zalaną deszczem ulicę. Pachniało mokrym piachem, a asfalt wyglądał jakby i on rozmiękł. Wyjęła z kieszeni prochowca jedwabną chustkę i zawiązała ją na głowie, byle jak chroniąc się od

deszczu. Poszła tam, gdzie musiała pójść. Przecznicą za przecznicą wsłuchiwała się w odgłos, który wydawały jej klapki. Prawie ją zahipnotyzował. Stopy miała mokre, z dużego paznokcia odprysnął beżowy lakier.

Co kobieta z taką klasą robi tutaj? Oj, musiało małą nieźle przypilić! Słyszała obce myśli. Myśli jak z dantejskiego piekła, ze złego snu. Snuli się od filaru mostu, aż po opuszczony budynek dworca starej kolejki. Kłoszardzi, kurwy, cioty do wynajęcia i ich klienci; dilerzy narkotyków. Rozglądała się za tymi ostatnimi. Nikt nie tknął Carol, jakby okrywał ją czar. Wpadła na Meksykanina, który handlował kokainą.

- Chcesz zatańczyć z Białą Panią, dziewczyno? - Podprowadził ją pod mały daszek, który słabo krył przed deszczem. Pod filarem mostu ktoś się pierdolił.

- Przeziębisz się.

- Daj - wyciągnęła gotówkę z tylnej kieszeni dżinsów i wcisnęła mu w dłoń. Schował pieniądze, nie rozprostowując ich.

- Oto Biała Pani, najlepsza jaka jest.

Przykucnęła, właściwie jednym kolaniem oparła się o piach, jak ten sypany w fundamentach. Co jest? - Zdziwił się Meksykaniec. Zignorowała jego myśl, choć błyszczała i pulsowała jak neon.

Zrolowała nowy banknot i wciągnęła ścieżkę z etui na karty kredytowe (krokodylowa skóra!). Na jej nosie zostały drobinki towaru, wyglądały jak mąka na wyglansowanych butach Herba. Niegdyś...

Podniosła się uśmiechnięta.

- Pani powinna już iść.

Wbiła mu w żołądek pilnik do paznokci, niszcząc sobie przy tym płaszcz.

Meksykanin zamknął oczy i osunął się na ziemię.

Modlił się - w każdym razie jego usta monotonnie się ruszały. Nie czekała, aż umrze. Nic innego nie mogło go spotkać. Krew rozrzedziła się deszczem.

Kiedy wracała - tą samą drogą, którą przyszła - popatrywało na nią parę cieni. Milczały, żaden nie próbował zatrzymać kobiety. Ich serca przepełniała ulga, że jeszcze tej nocy nie stały się ofiarami. *Kiedyś...* Takie jest PRAWO, tak zostało zapisane - Dzieci Kaina nie protestowały przeciwko swojemu losowi. Biała Pani ucharakteryzowana na wczesną Grace Kelly, zatańczyła z kimś innym (*niż ja*).

Carol wyrzuciła podarty płaszcz do kontenera na odpadki. Resztę pochłonęła rzeka (bardziej należałoby nazwać ją kanałem).

Jedwabną apaszkę zatrzymała, zawiązała ją figlarnie na szyi.

Puściła się biegiem.

Kiedy dotarła do gniazda, portier i Daniel wciąż spali.

9.

Niech nas Bóg uchwata od takiego pokoju, który mają ludzie światowi! Obyśmy go nigdy nie zakosztowały, bo nie jest to pokój, jeno wojna nieustająca. Gdy ktoś żyjący w ciężkich grzechach, zupełnie jednak jest spokojny i nie troszczy się wcale o swoje występki i zdrożności, i nic mu sumienie nie wyrzuca - tego pokój, jak nieraz czytałyście, jest jawnym znakiem, że grzesznik i czart żyją ze sobą w przyjaźni. I takim, póki żyją, czart oszczędza przeciwności, by snadź nie tyle dla miłości Bożej, ile raczej dla uchylenia się od nich, nie nawrócili się do Boga. Zwykle jednak człowiek idący tą drogą, choćby się chwilowo upamiętał, nie wytrwa w służbie Bożej, zaraz mu diabeł podsunie ponęty rozkoszy ziemskich, i znów go do przyjaźni ze sobą pociągnie, póki go nie doprowadzi do tego kresu, gdzie pozna nieszczęsny, jak fałszywy był jego pokój. O tym nie mam tu co mówić; takim pokojem niech cieszą się na świecie, kiedy chcą; między wami, ufam w Panu, podobne nieszczęście nigdy się nie zdarzy. Ale i nas, córki, może szatan oszukać innego rodzaju pokojem, w zaniedbywaniu rzeczy małych; i tego zawsze, póki żyjemy, lękać się powinniśmy.

Św. Teresa z Avila

Carol i Daniel

Leżał obok i nachylony całował jej brzuch, lecz jednym gestem, zdecydowanie odepchnęła go:

- Nie.

- Nic z tego nie będzie - powiedziała łagodnie.

Godził się z tym z trudem, ale się godził.

- O czym myślałaś?

Carol przeszedł dreszcz. W to smutne i wciąż jeszcze letnie popołudnie, leniwie spędzane - „przeleżakowane” w starej kamienicy bez klimatyzacji (i bez ludzi - kto mógł wyjechał na weekend) myślała o Madonnie. Madonnie, a nie o Najświętszej Marii Pannie, zwanej też Niepokalanym Poczęciem. Śmiertelnej gwieździe, która jako zwyczajna dziewczyna przyjechała do Wielkiego Jabłka z trzydziestoma siedmioma dolarami w kieszeni i

szaleńczymi marzeniami w główce. Taksówkarzowi z lotniska kazała się wieźć do „centrum wszystkiego”. Zabrał ją na Times Square... Opłata za kurs wyniosła 15 \$. Kogoś innego mogłoby to poważnie rozstroić, ale czy ją rozstroiło? „Trzeba dążyć do celu. Nie można czekać, aż coś samo wpadnie do ręki. Wtedy jest nic nie warte”. Był lipiec 1978 roku - na istnienie Carol dopiero się zanosilo, tak samo jak przez ostatnie dwa tysiące lat. Carol, tak jak i Madonna, chciała być kimś innym niż oczekiwała po niej rodzina i gówniarskie rówieśnice (oraz Trzynastu Apostołów!), ale brakowało jej brawury. Parę miesięcy temu niczym M. wysiadła z samolotu i kazała zawieźć się żółtej taksówce do „centrum wszystkiego”. Szczerbaty Jamajczyk w kolorowej czapeczce odwrócił się do niej - widziała jego czarne usta przez porysowaną szybę z pleksiglasu - Ty, Pani, jesteś centrum wszystkiego - powiedział. Pogodziła się z tym. Nie zmniejszyło to jej strachu ani nadziei. Obie władały jej straconą duszą po równo.

- Więc o czym myślisz?

- O Vivaldim - skłamała. - O nim i jego małej orkiestrze złożonej z młodzieńskich sierotek Ospedale delia Pietf. Tyle drobnych rączyn, tyle puchatych jak gęsia szyja wzgórków łonowych. „Grają na skrzypcach, flecie prostym, organach, oboju, wiolonczeli, fagocie; krótko mówiąc, nie ma instrumentu na tyle wielkiego, że mógłby je przerażać”.

- Myślisz, że z nimi sypiał?

- Rudy Książdz? Maestro de'concerti? Nie. To nie był taki człowiek. To prawdziwy chorąży Boga, wystarczy go posłuchać, by na to wpaść. Święty, który został kompozytorem, zamiast dać się wynieść na ołtarze. Wcale nie szkoda.

Daniel poruszył książką, którą opierała na podolku. Rozłożone kartki wyglądały jak skrzydła dziwnego ptaka - tom obłożony był w gazetę.

- Co czytasz? Czego się wstydzisz?

- Niczego.

Biblia wpadła pomiędzy nich i rozdzieliła ich ciała. Daniel podniósł ją i zaczął czytać:

- „Do zaprzęgu faraona
porównam cię, przyjaciółko moja.
Śliczne są lica twe wśród wisiorków,
szyja twa wśród koralu.

Wisiorki zrobimy ci złote
z kuleczkami ze srebra”.

Carol roześmiała się.

- Jasne, kochany! W dodatku to wszystko za moją forszę!

„Razu jednego byłam na kazaniu pewnego zakonnika, którego przedmiotem było objaśnienie tych rozkoszy, jakimi oblubienica cieszy się z Bogiem swoim. Kazanie było dziwnie piękne, a jednak, ku zdumieniu mojemu, słuchacze tak je opacznie zrozumieli, iż powstał między nimi śmiech ogólny, że zakonnik mówi o miłości (choć rozwijając słowa Pańskie o Przykazaniu, o innym przedmiocie nie mógł mówić). Przykład ten stwierdza naocznie to, co powiedziałam wyżej, że tak mało jesteśmy świadomi miłości Bożej i tak mało sposobni do miłowania Boga, iż zdaje się nam rzeczą niepodobną, by dusza mogła tak poufale obcować z Bogiem i takich z Nim używać rozkoszy. Ale znam także inne dusze, które choć zrazu, równie jak tamte, nie odnosiły z tych słów pożytku - bo pewno ich dobrze nie rozumiały, i być może brały je za wymysł ludzki - później jednak z własnego doświadczenia poznały prawdziwe ich znaczenie, i takie w nich znalazły uszczęśliwienie, taką hojność rozkoszy, takie uśmierzenie wszystkich lęków, że miały za co dzięki czynić Bogu. On to bowiem tak zbawienną, wszelkie pojęcie przewyższającą pociechę obmyślił dla dusz żarliwie Go miłujących, iż daje im poznać, że istotnie nie jest rzeczą niepodobną, by On, Pan najwyższy, tak się mógł zniżyć do swego stworzenia. Sama myśl o tym wydawałaby się im zuchwalstwem, gdyby się z własnego doświadczenia nie przekonały, że tak jest istotnie” (...)

Carol i Daniel

- Jestem głodna - Carol leżąca w swoim wielkim „małżeńskim” łóżku przekreśliła się na brzuch. Burczało jej w nim i czuła to dziwaczne falowanie trzewi. Zastanawiała się, czy to jest właśnie udziałem ciężarnych kobiet.

Daniel starał się nie patrzeć na jej blade pośladki i wbijającą się pomiędzy dwie toczone kule tasiemkę stringów. Zaraz jednak dał sobie spokój. Zobaczył, że pupa - zupełnie nedorzecznie, jak mu się wydawało - pokryta jest gęsią skórą.

- Jestem cholernie głodna - jęknęła Carol i niczym niewyżyty wampir złapała go przednimi, lekko wystającymi zębami za płatek ucha.

- Oj - powiedział.

Zerwała się na równe nogi:

- Chodź Danielu, idziemy coś zjeść do Chińczyka.

- Tylko nie zapomnij coś na siebie włożyć - poprosił.

Skromnie obciągnęła wielki, męski podkoszulek, którego nie powstydziliby się Marlon Brando. Przaśny kostium z „Tramwaju zwanego pożądaniem”.

Kiwnęła głową, że się zgadza.

Znam jedną osobę, która przez długie lata w wielkiej była trwodze i nigdzie sobie uspokojenia znaleźć nie mogła. Dopiero gdy usłyszała niektóre fragmenty z Pieśni nad pieśniami, przekonała się z nich, że dusza jej idzie dobrą drogą. Zrozumiała z nich, jak mówiłam, rzeczywistą możliwość tego, co przedtem już, nie rozumiejąc i dlatego się trwożąc, w sobie czuła, że istotnie dusza rozmówiona w Oblubieńcu swoim może doznawać z Nim wszystkich tych pociech: i omdlewania, i konania z miłości, i słodkich strapień miłości, i rozkoszy, i słodczy, skoro jeno dla Jego miłości porzuci wszelkie pociechy tego świata, i cała siebie odda w Jego ręce i to nie usta tylko - jak to czynią niektórzy - ale w zupełnej szczerości, uczynkami stwierdzonej.

Św. Teresa z Avila

Carol

Ptak leżał na chodniku; a właściwie to, co z niego zostało. Nieznany drapieżnik wygryzł mięso i urwał łepkę, z gołębia został otwierający się na nic pusty tors i przykurczone, bezkrwiste skrzydła.

Minęli truchło i poszli dalej.

Przed knajpą u Chińczyka zebrał się spory tłumek. Zamieszanie przypominało takie, jak przy awarii prądu lub wykryciu atrapy bomby. Carol nie potrafiła sobie wytłumaczyć tylko jednego: co zatem w opuszczonym pomieszczeniu robił ksiądz?

- Wydawało mi się, że Chińczycy są shintoistami, albo komunistami.
- Ten Pan Li najwyraźniej jest katolikiem.
- Cholera!

Szklane drzwi, niby potężnym przeciągiem, otwierały się i zamykały. Wciąż otwierały i zamykały. Nie monotonnie, ale coraz szybciej, jakby były przeciwną stroną w jakiejś walce. Trzask - trzask!

Kiedy były uchylone do zebranych dochodziły słowa modlitwy. Nalana, księżycowa twarz kapłana zdążyła już się pokryć potem. „Sercowa” czerwień walczyła na niej o lepsze z błądzącego kogoś śmiertelnie wystraszonego.

- Ten gość za chwilę będzie miał zawał.
- Ktoś już zadzwonił po karetkę.
- A po policję?
- W tej dzielnicy nigdy tego numeru nie wykreca się zbyt pochopnie.
- Ale co się stało?

- Pan Li ma duchy.
- Zstap, Ojczy na restaurację pana Li
i trzymaj od nas z daleka
wszelkie moce nieprzyjaciela.
Niech przyjdą święci aniołowie
strzec nas w pokoju,
a Twoje błogosławieństwo
niech zostanie na zawsze z nami.
Przez Chrystusa Pana Naszego.
Amen.

Wystawowa szyba w mgnieniu oka rozprysła się na miliony kawałków. Implodowała, a ułamek szklanych ostrz wbił się w ciało kapłana. To wystarczyło, żeby z bólu osunął się na kolana, raniąc się przy tym jeszcze dotkliwiej.

- Wygląda, jakby pociął się przy goleniu.

Pusta rama od wejściowych drzwi wciąż trzaskała. Daniel chciał skoczyć do środka, ale Carol go powstrzymała:

- Jeszcze nie czas, bohaterze.

- Ale...

- Słyszysz? Radzi sobie jeszcze. Jest księdzem. Ten bałagan wciąż należy do niego.

Obok stał pan Li i zawodził o stratach. Płakał jak stara, chińska kobieta.

- Panie Jezu Chryste, który nakazałeś swoim apostołom wzywać pokoju nad tymi, którzy zamieszkują w domach, do których wchodzili, uświęć, prosimy Cię, ten dom za pośrednictwem naszej ufnej modlitwy. Wlej nań Twoje błogosławieństwo i obfitość pokoju. Niech przyjdzie do tego domu zbawienie, tak jak przyszło do domu Zacheusza, kiedy Ty do niego wszedłeś...

- Jestem głodna - powiedziała Carol.

Wyraźnie usłyszeli kroki podbitych męskich butów. Ktoś niewidzialny podszedł do modlącego się kapłana i złapał go za stulę, tak, że skrzyżowała się dusząc go. Ksiądz charczał, ale i nie przestawał błagalnie odmawiać:

- Przyślij Twoich aniołów, aby go strzegli i wypędzili z niego wszelką moc złego ducha. Udziel tym wszystkim, którzy tu mieszkają, łaski podobania się Tobie dzięki cnotliwym czynom, tak, aby zasłużyli sobie, gdy przyjdzie czas, na przyjęcie ich do Twojego niebieskiego mieszkania. Prosimy Cię o to przez Ciebie, który jesteś Bogiem i Panem.

Amen.

- Amen - powtórzył za nim Daniel. Zemdlone ciało padło na posadzkę.

Carol przełknęła gorzką ślinę:

- Idę tam.

Młody mężczyzna chciał pobiec za nią, ale poczuł, że stopy ma jak wrosnięte w kamień ulicy.

Pan Li uniósł wyskubane brwi i rozjazgotał się po swoim, kiedy Carol zniknęła w jego restauracji. Dosyć! Dosyć! Demony! Łatwo było wyczuć, że jest niezadowolony.

Słychać było syreny karetki.

- Moje tabletki, moje tabletki - mamrotał ksiądz. - Są w kieszeni spodni.

Carol pochyliła się nad nim, wyjęła lekarstwo.

- Już dobrze, proszę księdza. Położyła mu glicerynę na języku.

- Jedz księżę, oto ciało moje...

Wybałuszył oczy. Zostawiła go i zniknęła w drugiej sali.

Było w niej pełno węży i innego plugastwa. Hybrydy o ciałach jaszczur i lwich głowach, ślepe ptaki. Pinczerek ze sterczącym prąciem ściągający obrus i talerz z surowym mięsem. Ważki i nocne motyle. Kuna. Wszystkie te stworzenia szeptały jedno:

- *Wynoś się. Wynoś się, bo cię zabijemy.*

- Nie macie władzy.

- *Spadaj kurwo* - bładź wszelaka rozstała się przed Niewidzialnym.

- Jestem CÓRKA, diabelski padalcze. Winnyś mi szacunek.

- *Udowodnij to.*

- *Tak, tak* - szeptało wszystko. - *Udowodnij to!!!*

- Nie moja rola udowadniać, tylko wasza wierzyć.

Czarny wężyk sunął na nią. Po nogach, piersiach, szyi, do... Odgryzła mu głowę, trysnęła czarna krew. Ciało wciąż podrygiwało. Odgryziony, rozdwojony język klapnął koło jej stóp.

Oblizwała usta.

Rzuciła się na nią diabelska kuna. Carol złamała jej kark, a krew z trzewi otarła o spodnie.

- Który jeszcze?

Skrzywdzone demony nie poruszały się. Były raz na zawsze martwe. Szept przeszedł po dziwolągach.

- Wysłałam je do Szeolu.

Masa zaczęła się cofać.

Carol poczuła cuchnący oddech Niewidzialnego na swojej twarzy. Obwąchiwał ją.

- *A więc jednak.*

- Tak.

Cisza.

- Odejdźcie stąd.

- *Wezwano nas.*

- Kto? Li?

- *Jego syn.*

- To idźcie do syna.

- *Jeśli chcesz tego, Pani.*

Poczuła gorące dłonie na swoim ciele. Pazury drapały jej piersi.

- Łapy precz.

- *Uważaj na siebie, dziecko.*

- Jakie twoje imię?

- *BELEM. Baron.*

- Wynoś się, Baronie.

Odszedł, ale wcześniej wycisnął pocałunek na jej zaciśniętych ustach. Starła go grzbietem dłoni. Usłyszała śmiech.

- *Niektórzy kapłani wciąż wierzą... CÓRKA nie powinna zadawać się ze śmiertelnikami.*

- Jesteś zazdrosny, Belem.

- *Jestem stary jak sam kamień.*

- Idź już, Księżę Jerozolimy.

Sanitariusze wynosili bezwładne ciało kapłana, który wszedł w komę.

- Wypluł glicerynę. Czy ktoś wie dlaczego?

- Coś mu się zwidziało.

Pan Li kreślił znak krzyża i zastanawiał się, czy nie zostać komunistą. Chociaż tak trochę, na ile pozwalało mu kapitalistyczne przywiązanie do biznesu. Ten cały katolicyzm był zbyt niebezpieczny dla małego człowieka.

Carol wyszła tuż za noszami. Ręce oparła na wąskich biodrach. Zasnęta czarna krew plamiła granatowy dzins:

- Chyba nie damy rady tu zjeść.

- Carol...? - Daniel wskazał palcem na ubranie.

- Widzisz to? Widzisz plamy?

Kiwnął głową.

- To nic. Pobrudziłam się w kuchni. Wróćmy do mnie i się przebiorę, choć założę się, że

nikomu innemu by to nie przeszkadzało. I jeszcze jedno - wyjęła z kieszeni różaniec o strzaskanych koralikach. - Jest bezużyteczny, bo wiara kapłana go nie wyświęciła.

Rzuciła go w stronę noszy, ale pielęgniarz właśnie zatrząskiwał karetkę, różaniec odbił się od metalowych drzwi; nic pękła, a hebanowe paciorki rozsypały się po ulicy niczym świecki naszyjnik. Pan Li podniósł krzyżyk i chuchnął na niego.

10.

Carol

Nagle stała się małą dziewczynką... „*A w powietrzu unosiły się wciąż maleńkie okruchy lustra*”.

Otworzyła drzwi lodówki i przez dłuższą chwilę przytrzymała je tak, by zimne powietrze chłodziło jej obnażone piersi. Była świeżo po kąpieli. Pochyliła się. Lód na twarzy. Wyjęła maseczkę - okulary wypełnione niebieskim żelem. Chłodziło się je, a potem zakładało na twarz, by zmniejszyć opuchliznę powiek, rozpuścić cienie pod oczami. Te akurat nie były najlepiej pomyślane i jeśli ich cienką gumkę założyć z tyłu głowy, żelowe poduszeczki wciskały się za mocno w oczodoły. Po ich zdjęciu przed oczami migały purpurowe błyski, zupełnie jakby się patrzyło na słońce albo okrwawione płatki śniegu. Kiedy pierwszy raz zdarzyło się to kobiecie, przeraziła się, że tak już zostanie. Że oślepie. Potem zawsze już tylko kładła maskę na twarzy, nie przymocowywała jej i po prostu starała się leżeć nieruchomo. Próbowwała nie zasnąć. Jej myśli snuły, błądziły tu i tam... Maskę łagodziła migreny. Carol czuła strach: co takiego dzieje się w jej głowie? Skąd ten odbierający zmysły ból?

Klimatyzacja wciąż nawalała; Carol położyła się naga na łóżku i zakryła oczy. Posapywała cichutko przez nos. Nie była pewna, ile dokładnie trwała sjeść, kiedy usłyszała szelest. Próbowwała go zignorować, ale powtórzył się. Najbardziej jednak zaniepokoił ją wypełniający pokój chłód. Zdjęła okulary - tylko one promieniowały ciepłem - i powoli otworzyła drżące powieki. Gość Carol przycupnął na środku pomieszczenia. Stroił miny do ogromnego kryształowego lustra, które pojawiło się wraz z nim. Srebrzysty zlewał się prawie z taflą. Uspokajającym w swej monotonii ruchem czesał włosy. Nie używał jednak grzebienia, tylko czyjejs uschniętej ręki. Dłoń wyglądała na dziecięcą. Carol popatrzyła w odbicie. „*Kay spojrział na nią; była bardzo ładna; nie mógł sobie wyobrazić mądrzejszej i*

piękniejszej twarzy; teraz nie wydawała mu się już z lodu jak przedtem, kiedy ją widział za oknem, gdy kiwała do niego; w jego oczach była doskonałością”.

- Och - powiedziała tylko Carol. - To ty.

Tamta nie odpowiedziała, za to dało się posłyszeć inne niepokojące głosy. Chichoty. Carol słyszała wszędzie wokół chichy. Postać kobiety, która stała na środku jej pokoju, pojawiała się i znikła niczym odbicie w zamarzającej wodzie. Kobieta nie była sama...
„Biegła przed siebie, jak tylko mogła najszybciej; nagle nadciągnął cały pułk śnieżnych płatków; ale nie padały z nieba, niebo było zupełnie jasne i błyszczące od zorzy północnej; płatki śniegu biegły tuż przy ziemi i im się bardziej zbliżały, tym były większe. Gerda pamiętała jeszcze, jakie wielkie i kunsztowne wydawały jej się płatki śniegu wtedy, gdy je oglądała przez szkło powiększające, a tu były jeszcze o wiele większe i bardziej przerażające; były żywe, stanowiły przednią straż Królowej Śniegu; miały najdziwniejsze kształty; niektóre wyglądały jak szkaradne wielkie jeżozwierze, inne jak sploty węzów, wysuwających głowy, a znowu inne - jak małe grube niedźwiedzie o nastroszonej sierści, wszystkie były oślepiająco białe, wszystkie były żywymi płatkami śniegu”. Carol ufnie wyciągnęła ręce. Czowała zapach matki, który stroszył chłodem jej blade włoski w nosie.

- Mamusiu...

- „Pośrodku pustej, nieskończonej, śnieżnej sali leżało zamarznęte jezioro, które popękało na tysiące kawałków, ale jeden kawałek był podobny do drugiego, było to prawdziwe dzieło sztuki; pośrodku tego jeziora siadywała Królowa Śniegu, wtedy gdy była w domu, i wówczas mówiła, że siedzi na zwierciadle rozsądku i że to jest jedyne i najlepsze zwierciadło na świecie” - powiedziała Biała Pani.

Ręce Carol napotkały próżnię.

- Nie zostawiaj mnie, błagam - załkała. - Boję się.

- Jej ciało pokryły grudki nienaturalnie wielkiej gęsiej skórki, jakby została rażona nagłym trądem. - Pamiętam Kaya. Pamiętam. Bawił się ze mną.

- Nie, on bawił się ze mną - odpowiedział blady gość, ani na moment nie przerywając czesania włosów, które opadały do sinych, bosych stóp i przypominały lametę, „anielski włos”. - SŁOWO. Musisz poznać SŁOWO, Carol. Chłopiec doprowadzi cię do SŁOWA.

- Och, mamusienko - pisnęła mała Carol i zacisnęła powieki, chcąc przywołać przeszłość.

- Przeszłość nie istnieje, ani przyszłość. Jestem tylko ja... Znajdź SŁOWO, CÓRKO.

SŁOWO, SŁOWO, SŁOWO, SŁOWO, SŁOWO, SŁOWO, SŁOWO, SŁOWO.

- Lód - powiedziała Carol. Zamarzły jej powieki, górne z dolnymi, tak, że znalazła się w absolutnej ciemności. Szron pogrubiał rzęsy jak ekstrawagancki tusz Heleny Rubinstein.

- Nie chcę więcej śnić.

- Musisz być odważna, moja mała - usłyszała w głowie. Stamtąd też przyszła ta historia...

- Chłopiec „*chodził i zbierał płaskie ostre kawałki lodu, które składały się w ten sposób, aby coś z nich wyszło, zupełnie tak samo jak my, kiedy z kawałków drewna składamy figury, co się nazywa chińską grą. Kay układał najkunsztowniejsze wzory, była to lodowa łamigłówka, w jego oczach figury te były nadzwyczajne i niezwyklej wagi, przyczyniał się do tego okrucuch szkła, który Kay miał w oku. Kay układał całe figury, które tworzyły napis, ale nie udawało mu się ułożyć słowa, na którym mu właśnie zależało. Słowem tym była...*”

- WIECZNOŚĆ.

Otworzyła oczy - pokój był pusty. Bez śladu rozpuszczonego lodu. Bez żadnej srebrzystej kałuży. Westchnęła - to tylko sen. Niepokojący sen. Błękitna, żelowa maseczka spadła jej na lewą pierś. Wciąż była chłodna, jakby całe senne urojenia trwały tylko chwilę, a oszołomione ciało Carol nie zdążyło własnym ciepłem rozgrzać żelu.

Mieszkanie jednak budziło niepokój. Postanowiła się przejść, by upał i gwar miasta wyrzucił go z jej umysłu. Założyła cienką błękitną koszulkę i szorty. Z automatu stojącego w głębokim holu kamienicy wzięła cappuccino. Od ulicznego sprzedawcy kupiła migdały w lukrze. Wyrzuciła wszystkie, bo lukier za bardzo przypominał szron.

Zniknęła w parku pełnym psów i goniących się dzieci. Pełnym gołębi. Rozzuchwalone przylatywały tu i kręciły się wokół sprzedawcy prażonej kukurydzy. Chlebem dokarmiały je zbikowane staruszki, lunchem anorektyczne sekretarki - gołębie były królami tego parku. Carol widziała tu kiedyś kloszardkę, którą od stóp do głowy - jej brudne włosy i nastroszony płaszcz - obsiadły ptaki. Deptały po niej drobnymi pazurkami. Wtykały szare głowy do kieszeni, w każdej znajdując coś dla siebie. Bijąc skrzydłami utrzymywały równowagę na drżącym cieple. Carol wydało się to obrzydliwe. Zemdlilo ją, kiedy pomyślała o duszącym zapachu pierza. Kwaśnej woni białego gówna. Z drugiej strony nie potrafiła ukryć swojej fascynacji tamtym obrazem i kiedy tylko przychodziła tutaj, zawsze w krótkim błysku powracało do niej owo wspomnienie kobiety stworzonej z piór. W tym roku ptasie gody musiały być wyjątkowo udane, bo wokół widziała więcej gołębi niż dotąd. Czyżby przetrzebiło populację kotów i pustulek na Manhattanie? Ktoś kiedyś łapał tu ptaki, owijał im ciasno łapy drutem i czekał, aż uschną i odpadną pozbawione dopływu krwi pazury. Był czas, kiedy po parku pełzało pełno ofiar tej nienawiści. Wszystkie zdechły jednego dnia, czego nikt nie zauważył. Władze miasta je otruły.

Jeden z nowych ptaków postępował krok w krok na swoich najwyraźniej przetrąconych kopnięciem łapach (co jakiś czas, by nie tracić dystansu niemrawo podskakiwał, podlatując)

za nianią prowadzącą dziecko. Chłopiec, oprócz ciężkich ortopedycznych butów, miał na sobie grube skarpety, wykończone różnobarwnymi kutasikami. Kutasiki najwyraźniej wkurzały skalniaka, aż wreszcie udało mu się znieacka skoczyć chłopcu na stopę i pociągnąć za skarpetkę, dziobiąc dotkliwie. Dziecko rozplakało się, ptak odszedł dumnie, a wielu nie potrafiło utrzymać narastającego śmiechu. Carol roześmiała się na głos. Najgłośniej chichotała jakaś para; mężczyzna próbował sprowokować innego gołębia do ataku na swoje buty marki „Red Indian”. Wkurwiony ptak trzepotał na kalekich łapach i próbował wbić dziób w grubą skórę obuwia. „Idioci”, pomyślała Carol i wtedy poczuła ukłucie. Powyżej linii sandałka dziobnęła ją śnieżnobiała gołębicą. Wyglądała, jakby sfrunęła wprost z grafiki Picassa. W każdym razie jej zamiary nie były pokojowe, a obtarcie na łydce Carol podeszło krwią.

- Ty dziwko - zdumiona Carol, walcząc z klaustrofobicznymi dusznościami zamierzała się do kopniaka, kiedy coś zatrzepotało raz i drugi, a dwa kolejne ptaki symetrycznie usiadły na jej ramionach.

Ktoś wskazał Carol palcem, ktoś stwierdził, że to takie urocze - przywiązanie zwierzęcia do człowieka, zaś na jej policzki wpływała purpurowa czerwień. Pazurki wbiły się w czoło. Ogon zahaczył o nos. Coś trzepotało na plecach, jakby Carol wyrosły skrzydła. Zobaczyła błysk w górze, a kiedy udało jej się unieść oczy na tyle, by spojrzeć ponad linię parkowych drzew ujrzała odbijającą się w słońcu, chyżo nadlatującą chmurę ożywionego pierza. Wrzasnęła. Stado białych gołębi, bardziej podobnych do roju dzikich pszczół, z wściekłym gruchaniem spłynęły na kobietę. Przypomniała jej się historia o Noe i gołębicą, która przyniosła gałązkę oliwną wieszcząc koniec Potopu. Przypomniał jej się Duch Św. wcielony w gołębicę, który zawisł nad głową Jezusa Chrystusa, gdy tego ochrzcił Jan Chrzciciel w wodach rzeki Jordan. Kolejne uderzenia zdesperowanych skrzydeł sprawiły, że Carol straciła równowagę i upadła do tyłu na parkową alejkę. Gołębie zignorowały upadek - nie puściły jej ubrań, skóry (jeden nawet usiłował wbić dziób w powiekę), włosów. Biły skrzydłami, dziobały i srały. Wiedziała, że ktoś biegnie na pomoc. Myśląc o bólu i nadziei straciła przytomność.

Obudziła się zlaną potem. Podczas snu musiała - niewiadomym sposobem - niefortunnie przygnieść żelową maseczkę. Ciepły spaw puścił i kleista substancja powalała poduszki i piersi. Żel wciąż był zimny.

CAROL. Żeńska wersja imienia Charles. Imię pochodzenia germańskiego. Wywodzi się od rzeczownika *karl, carl* - co mogło oznaczać *człowiek*, ale także *ukochany*. Carol - Ukochana.

Carol, Caroline, Charlotte, Carlotta, Lotte, Karla, Karolina, Šarlota.

To z powodu nieodwzajemnionej miłości do Lotty, młodzieniec imieniem Werter popełnił samobójstwo. Choć był postacią literacką, znalazł wielu cierpiących naśladowców - opętanych; i trudno się temu dziwić, w końcu jego postać wyszła spod ręki Goethego. Autora „Fausta”. „*Trwaj chwilo, bo jesteś piękna*” ITP.

11.

Borys Malevich

W płytkim grobie znaleziono pięć ciał: czterech mężczyzn i kobietę. Albo inaczej: diler, ćpuna, kloszarda i dorabiającego seksem młodego ciotę, kurwę. Tej ostatniej przed „pogrzebem” odcięto włosy. Wciąż były spięte gumką w ciemną kitkę i wyglądały jak ogon konia. Nim wyjęto ostatnie ciało lodowata woda z rzeki zaczęła wypełniać dół - płynęła jakby od spodu, pędzona bliskością brzegu rozoranego przez most. Opasły detektyw Malevich - jego dziadkowie uciekli z Rosji w pamiętnym 1918 roku, nigdy nie mieli nadziei ani nie żywili złudzeń, co pozwoliło im zachować potylice w całości: „Życie jest takie jakie jest, wnuku, i nie należy się oszukiwać, bo dmie się wtedy we własny tyłek” - pokiwał smętnie głową patrząc na grupę dochodzeniową. Była podniecona niczym koniki polne na chwilę przed przemianą w szarańczę. To był trzeci płytki grób, który znaleziono! Większa część ekipy, zeźlona, mogła jedynie przyglądać się miejscu zbrodni spoza żółtej wstążki. Do zbierania śladów Malevich dopuścił tylko dwóch techników. Im ich więcej, tym większa szansa, że „coś” zostanie zdeptane. Klucz do tożsamości mordercy. Choć akurat tym razem zniszczenie dowodów Malevichowi kompletnie wisiało - chciał jednak, żeby to pozostało tajemnicą, dlatego zachowywał się jak dotychczas, a nawet ostrzej. „Stary, gruby wół” - wyobrażał sobie, że tak o nim szeptają. - „Burmistrz zaraz odbierze mu sprawę”. Wiedział, że tak się stanie. Nie martwiło go to, prawdę powiedziawszy, kiedy wyrok zostanie wydany, przyjmie go z ulgą i przez te dwa czy trzy lata co mu zostały, wróci do morderstw półświatka. Pocięta kurwa, zaduszony alfons - niby to samo, co gniło w tym rowie, a jednak zupełnie coś

innego. I tylko detektyw Malevich o tym wie. Poczuł się jak postać z dziecięcej wyliczanki. Kiepskie uczucie.

- Ej, podaj mi Waszyngtona - podszedł do technika wkładającego do foliowej torebki na dowody zbutwiały banknot. Pieniądz nadal był zwinięty w tulejkę. Badania wykryją kokainę i zbadają śluz. Będzie wiadomo, kto poczęstował się Białą Panią.

- Przy którym to znaleźliście?

- Przy dilerze.

- Aha.

- Dilerzy nie ćpają. Może to należało do mordercy? - powiedział młody chłopak, z zaognionym pryszczem na czole.

- Jak się nazywasz oficerze?

- Simpson. Albert Simpson. Oprócz kryminologii studiowałem wiktymologię oraz behawiorystykę. Ja...

- Bardzo dobrze. Baaardzo dobrze. - Wyjął mu z bladej ręki torebkę. - Wracam na komisariat. Czekam na pełny raport.

Nachylił się konspiracyjnie do Simpsona:

- Niedobrze mi. Zgaga. - Puścił oko. - A ta twoja szkoła to pewnie West Point? Zmykaj do FBI. U nas dorobisz się tylko wrzodów żołądka.

- Dupek...

- Słyszałem, Simpson. Słyszałem! - odchodząc, obrócony tyłem pogroził palcem niby Bóg Ojciec; później czknał potężnie.

Wiedział, że wielu tych młodych matołów uważa go za człowieka skończonego. Jeszcze nie tym razem. Nie tym razem. *„Życie jest takie, jakie jest i nie należy się oszukiwać, bo dmie się wtedy we własny tyłek”*.

Po drodze do swojego „Owalnego gabinetu” zatrzymał się przy zapyziałej cukierence i kupił pączki. Naprawdę irytowało go, że czasem mimowolnie zachowuje się jak gliniarz z alternatywnego kryminału. Robił z siebie pajaca, ale jego usprawiedliwieniem było to, że ciastka smakowały jak smażone przez babcię Nadię. Ani grama chemii! Prawdziwy dżem! Kiedyś wraz z pączkiem przegryzł na pół żerującą w nim osę. Owad zdążył ukłuć i zajadzić tak, że język detektywa spuchł do rozmiarów hot-doga, ale i to nie otrzeźwiło Malevicha. Wręcz przeciwnie - zyskał ostateczny dowód na to, że pączki są ultra-naturalnym przysmakiem! Chyba nigdy nie widział pszczoł kłębiących się nad plamą rozlanej coca-coli.

Malevich rozsiadł się w swoim spękany fotelu na komisariacie i otworzył lepkie pudełko. Pieprzyć cukrzycę! Daj Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek - zaparzył gorzką

kawę (z prywatnego ekspresu, w który zainwestował fragment pensji). Jadł i czekał. Kiedy skończył jeść, natarczywiej niż zwykle zaczął wpatrywać się w zalepione pudełko chesterfieldów. Od pięciu lat leżało pod oprawioną, wyciętą z magazynu, fotografią Władimira Nabokowa. *Władimira Władimirowicza Nabokowa...*

Wywalił je. Leżały w koszu na śmieci, a on wciąż wyraźnie słyszał, dotkliwszy niż zwykle, syreni śpiew nikotyny. Zauważył, że tektura opakowania zżółkła, zrobiło mu się nagle żal, że wyrzuca przedmiot, do którego był przywiązany. Pomyślał, że nie chce przecież obrazić *manitou* papierosów i wtedy zadzwonił telefon. Jednocześnie jędzowata sekretarka o twarzy szczura i drobnych ząbkach gryzonia (postać, której nie ma co szukać w „Twin Peaks” czy innej cholerze) trzasnęła mu na biurko dzisiejszy raport.

- Zespół Napięcia Miesiączkowego? Nie? Już mam - klimakterium!

- Za coś takiego kiedyś wylecisz, Borys.

„Już wyleciałem”, przeszło mu przez głowę, kiedy podnosił słuchawkę. Zamiast czarnej, ebonitowej, blade gównno made in China.

- Malevich słucham?... Pan burmistrz? Tak, tak... Idź, jędzo, powiedz wszystkim, że przyszła kryska na Matyska. Krowa, zbierała śmieci z „więziennymi” fajkami, żeby tylko dużej zostać w pokoju.

- Milena! Oddawaj kosz!!! Nie, to nie do pana, panie burmistrzu... Wcale nie jestem poirytowany - włożył niedźwiedzią łapę w głąb kosza i wyciągnął „syrenki”.

- Urlop na pewno mi się przyda!

O, żebyś ty, kurwo, dostała raka macicy!

- Nie, panie burmistrzu, nie jestem zdenerwowany. Ja nawet się cieszę... Tak, oczywiście, że trochę mi przykro... Rozumiem...

Skończył rozmowę.

„Pojadę do Vegas, by przepieprzyć oszczędności życia samotnego mężczyzny. Nie, lepiej na ryby. Albo śladem „Lolity”, z nadzieją na więcej... *Spasiba!*”.

Przekartkował raport, nie było w nim nic nowego. Następne ciała, ale bez zwłok tak zwanych przyzwoitych obywateli - za to w sumie nieprzyzwoita liczba, mogąca zdenerwować lokalnych polityków. Nie znaleziono żadnych kluczowych śladów. Brak motywu. Ani rabunek, ani przemoc seksualna. Rytuał religijny? Oj, Albercie Simpson, bo się doczekasz! Brak świadków. Informatorzy nabrali wody w usta. Dziwki płaczą, ale milczą. Miasto zamarło w oczekiwaniu. Na koniec? Na więcej? *Było podniecone niczym koniki polne na chwilę przed przemianą w szarańczę.*

Nagle zobaczył dopisek Mileny na brzegu raportu: „Tak musi być”.

Przyjrzał się banknotowi zabranemu z grobu. Poczuł, że mimowolnie cofa mu się pączek. Zdusił dreszcz, a potem manipulując pilnikiem do paznokci wyważył zamek szuflady, od której zaginął klucz.

Koperta leżała, taka, jaką zapamiętał z początku swojej służby. Kremowa, przewiązana czerwoną wstążką zalaną lakiem. Z odbiciem pieczęci przedstawiającej kozła przeglądającego się w lustrze. Powąchał ją. Żadnego kurzu, tylko woń miodu i perfumiarski zapach, którego nie mógł rozpoznać, bo nie był koneserem, ani nigdy nie miał kobiety... Żadnej kobiety - nie tylko takiej, która mogłaby pachnieć tą oleistą cieczą, po której czuło się w ustach i lędźwiach dotyk granatowego aksamitu.

„Borys” Malevich był prawiczkiem.

Przełamał pieczęć.

Zapamiętał ukryty wewnątrz adres.

W koszu, który Milena pozostawiła w progu, spalił kremową kartkę. Z kopertą nie mógł się jeszcze rozstać. Jeszcze nie teraz.

Zdjął płaszcz z oparcia krzesła i trzaskając drzwiami zostawił w trzech czwartych opuszczone biuro. Nawet nie zauważył, kiedy zapadła noc.

Stał pod domem, którego szukał. Kliknął w domofon. Zaraz usłyszał brzęczyk - otworzyła mu, nie pytając. Pewnie na kogoś czekała. Na chłopaka? Portier obrzucił Malevicha baczny spojrzeniem. Jest gotów skrócić mi kark. Wyminął go i ruszył na górę omijając windę. Cierpiał na klaustrofobię. Ukrywał to w policyjnych testach. Dziadkowie, kiedy był niegrzeczny, zamykali go w dusznej, małej szafie.

Carol czekała w otwartych drzwiach. Gapił się na nią. *„Lolito, światłości mego życia, żagwi mych lędźwi. Grzechu mój, moja duszo. Lo-li-to: koniuszek języka robi trzy kroki po podniebieniu, przy trzecim stuka w zęby. Lo. Li. To”*.

- To ten zapach - powiedział.

- Shalimar - wpuściła go do środka.

Malevich wyciągnął z kieszeni skrupulatnie złożoną na cztery apaszkę.

- Znalazłem to.

- Jest pan z policji?

- Oddaję to pani.

Bardziej poczuł niż zobaczył, że spina wszystkie mięśnie do skoku, niby młody gepard.

Wstrzymał ją ruchem ręki. „Zdąży pani”.

- Mam jeszcze to - pokazał banknot w foliowej torebce.

- Proszę mi go oddać.

- Nie. Przesiąkł... Przesiąkł tamtym zapachem.

- Rozumiem.

- Zniszczę go.

- Po co pan tu przyszedł? - Wciąż stali w korytarzu. Szlachetny profil i blond włosy Carol odbijało lustro wbudowanej szafy.

- Nie mogę już pani kryć. Nie mogę już kryć CÓRKI.

- Ach tak - powiedziała rozczarowana.

- Odsunięto mnie od sprawy. Te morderstwa muszą się skończyć albo chociaż...

- Nie czuje pan, detektywie? - podeszła do niego blisko. Miód i zapach, którego nazwa już uleciała. Miała mokre pachy. Widział je przez wycięty bieliźniany podkoszulek. W domu grzano jak diabli. - PRZEMIANA zbliża się.

- Ufam.

- I JA.

„Na imię miała Lo, po prostu Lo, z samego rana, i metr czterdzieści siedem w jednej skarpetce. W spodniach była Lolą. W szkole - Dolly. W rubrykach - Dolores. Lecz w moich ramionach zawsze była Lolitką”.

- Jak ma na imię CÓRKA.

- Ciii... - położyła palec na ustach. - Nie poznasz imienia Pana swego, gdyż na zawsze ma pozostać Świętą Tajemnicą.

Wspięła się na palce i pocałowała go w czoło.

- Będę ostrożniejsza, aż do CZASU. Wtedy, wtedy niczego nie uroń. Nie wolno ci! To nasz Karnawał.

- Pobłogosław mnie.

„Czy miała poprzedniczkę? Tak, owszem. Mogłoby w ogóle nie być żadnej Lolity, gdybym przed nią pewnego lata nie pokochał innej dziewczuszki - jaskółki. W nadmorskim księstwie. Ach, kiedyż? O tyle mniej więcej lat przed narodzeniem Lolity, ile sam wtedy miałem.”

- Na kogo pani czekała?

- Na pana, Aleksieju Władimirowiczu „Borysie” Malevichu.

- Och. Pani!

Potem ukląkł i trąc kałdunem o dywan pocałował Jej stopy. Były spocone; pachniały gumą z trampek, jakby przed chwilą biegała... Z paznokci odpryskiwał biały lakier. „French manicure” - przypomniał sobie, że tak się to nazywa.

12.

Ambedkar

Ambedkar leżał na macie rozłożonej na ubitej ziemi chaty i umierał. Został skatowany, kiedy z głupia frant postanowił udowodnić, że jest wolny i - on, niedotykalny - wykapał się w publicznej sadzawce. Na zakończenie oprawcy z wyższej warny powiedzieli mu, żeby zdychał jak pies. Tylko jak robią to psy? Rodzina: ciotka i ślepy wuj nie zwracali uwagi ma umieranie Ambedkara. Co innego jego siostrzeniec - ten na archaicznym tranzystorze katował piosenkę Akiego Nawaz: „*Szatan i demony do kraju bogów przybyły, by ssać krew*”. Ambedkar czuł się ze swojej krwi wyspany - pluł nią i leciała mu uszami - miał małe krwotoki wewnętrzne.

Męczyło go, że pieniędzy, które zaoszczędził nie starczy na odpowiednią ilość drewna do pogrzebowego stosu. Wyobraził sobie swoje piszczele tonące w Gangesie, który swój początek bierze z warkocza Siwy. Niedługo potem na plamistym jak brzuch zdychającej krowy suficie rozpoczął się „seans filmowy”, którego mogłaby pozazdrościć wytwórnia z Hollywoodu. Obce, białe twarze pojawiały się i znikwały, by zrobić miejsce nowym. Sądził, że te następne są „nowe”, choć nie mógł mieć pewności. Jego udziałem stało się wrażenie Europejczyka oglądającego japoński film. Egzotyka i dezorientacja. Po pierwsze dezorientacja.

Błede głowy rozmawiały ze sobą.

Długo pozostawały bez wyrazu.

W bezpośredniej bliskości ostatniego tchnienia - obsikany i zlany zimnym potem, palony wewnątrz fizjologicznym ogniem zgagi - zorientował się, że jeden z wizerunków wciąż powraca i pojawia się w różnorodnych konstelacjach tych „awatarów”. Była to blondwłosa kobieta. Młoda.

I nosiła imię Carol - to też już wiedział Ambedkar, bo właśnie umarł.

„*Szatan i demony do kraju bogów przybyły, by ssać krew. I wciąż tu przyjeżdżają, by narkomani robili im laskę za pieniądze*”.

„Świstak” i Samuel

- Co to jest rodzynka?

- Rodzynek.

- Aha. Co to jest rodzynek?

- Wysuszone winogrono.
- Jesteś pewna?
- Jasne, że jestem pewna.
- Dlaczego jesteś pewna?
- Bo jestem twoją mamą.
- Co ma wspólnego rodzynka z tym kim jesteś?

- Rodzynek. I bardzo cię proszę: jedz musli! - Popatrzyła na swojego dziewięcioletniego synka, który w niepokojący sposób, odkąd wykluły mu się z dziąseł stałe jedyneki przypominał świstaka. Grubiotkiego świstaka, w czarnej koszulce z napisem „Harry Potter”. Oni wszyscy są małymi czarodziejami, pomyślała.

- A jak zjem musli - nie przestawał dręczyć rodzynek - to będę mógł dostać kanapkę z nutellą?

- Jak zjesz.
- Mamo?

Podniosła głowę znad podatkowego rozliczenia, które przygotowywała dla jednej z klientek. Wciąż była młoda i piękna. Była młodą i piękną księżową. Gdyby o takich jak ona powstawały filmy powinna ją zagrać Michelle Pfeiffer; ale nie powstają - przynajmniej o to była spokojna.

- Ostatnio śni mi się taki dziwnie ubrany chłopiec. Jest zamknięty w kompletnie pustym pokoju. Tam jest mrocznie, szaro, jakby na okrągło padały płatki sadzy...

Zdziwiła się, że tak to powiedział... Mądrze, zbyt mądrze jak na dziecko. Cholera!

Blizna po cesarskim cięciu zmaląła i zasrebrzyła się - kobieta urodziła chłopca już tak dawno temu. Niedługo, niedługo odejdzie...

- Mamo, on nie może stamtąd wyjść. Nie uda mu się, dopóki wystarczająca liczba dzieci nie zacznie się za niego modlić.

- To módl się za Samuela. Rób coś więcej dla Boga niż tylko chodzenie do szkółki niedzielnej.

- Skąd wiedziałaś jak on się nazywa? - Syn spojrzał na nią z podziwem.

Wystraszyła się.

- Powiedziałaś mi - skłamała.

Cisza. Pauza. Potem:

- Mamo, to wszystko jest niebezpieczne, a ja jestem tylko chłopcem.
- Wiem. Czasem jednak nie ma się wyjścia.
- A tatuś? Czemu Bóg pozwolił mu odejść?

- Bo uznał, że tak będzie lepiej.

Odsunął opróżniony w jednej trzeciej talerz. Obiecała sobie, że nie będzie go dręczyć i zmuszać do jedzenia. Nie w wakacje.

- Uznaję - powiedział Świstak - że rodzynka brzmi lepiej niż rodzynek.

Pocałowała go w czoło. Jeszcze nie uciekał od jej dotyku, jej zapachu.

Beatrix

Beatrix wysiadła z pociągu. Postanowiła się przejść - jej dom rodzinny leżał niedaleko od dworca; ojciec był kolejarzem. Od siedemnastego roku życia, aż do pięćdziesiątego szóstego, kiedy wyciągnął kopyta. Beatrix nie przyjechała na pogrzeb - nie mogła się przełamać do rozpacz.

Ojciec ją kapał, kiedy sama już miała siedemnaście lat, dotykał - nie uważał tego za niestosowne.

Czuła się, jakby ją zgwałcił.

Dom matki zapowiadał jasny, zadbany ogródek. Trawa była skoszona, żywopłot przycięty - stara klepa musiała zatrudnić do tego jakiegoś gówniarza. Beatrix nigdy nie powiedziała jej o zachowaniu ojca, matka jednym gestem nie pokazała, że wie. Nie krzywiła się, kiedy mąż na wyprawianych podwieczorkach gładził córkę po ramionach i mówił: ona jest moim hobby. Na trawniku stał drewniany, zabejcowany stół z trzema krzesłami. Beatrix pod pupami częstujących się domowymi ciasteczkami gości zobaczyła kolorowe, patchworkowe poduszki. A więc matka ciągle szyje, choć w listach narzeka, że nic nie widzi. Te ropuchy wyzerają herbatniki upieczone na powrót córki marnotrawnej - samotnej, bezdzietnej, bezrobotnej architekt... Czemu je zaprosiła?

Mama nie podniosła się na widok Beatrix. W koronkowej bluzce i lokach farbowanych na szatyn wyglądała jak stara modelka z przasnej reklamy. Małomiasteczkowy ideał o mięsistych usteczkach - jakby użądlnych przez osę. Za młodu Dziewczyna z Reklam Lodów Malinowych. Pieprzę cię! Matka nie wstała na jej widok, reszta komitetu powitalnego też ani drgnęła (poruszały tylko szczękami).

- Zestarzałaś się - powiedziała mama Beatrix.

- Ty też.

- To są moje nowe przyjaciółki, a to Beatrix. - Następne jędze w haftowanych ubraniach. Można by przysiąc, że to bliźniaczki. One wszystkie! Zastanawiała się, czy oczekuje się od niej aby dygnęła. W końcu kiwnęła głową, ale nie doczekała się odpowiedzi.

- Odstaw torbę i zjedz z nami śniadanie.

Beatrix czuła w ustach kwaśną ślinę.

- Jechałam całą noc. Chciałabym się najpierw przespać...

- Szkoda - zawyrokowała jedna z przyjaciółek. - Byłam pani ciekawa. Widziałam dom pani projektu w jednym z kolorowych pism...

- To niemożliwe - zaprotestowała młoda kobieta. - Ja projektowałam tylko mosty.

Byłam - żyłam.

- Mamo?

- Idź, twój pokój czeka.

Podrzuciła torbę w ręku.

- Beatrix?

- Tak mamo?

- Nie pocałujesz mnie na dzień dobry?

Z oporami cmoknęła suchy, chłodny policzek o zapachu owoców leśnych. Zraszacz się rozbudził, więc umknęła przed kroplami wody i zniknęła w środku domu.

Nie mogła zasnąć w swoim panieńskim łóżku. Pokoju obklejonym wyblakłymi plakatami Depeche Mode, Madonny i Boba Geldofa - ich wszystkich. Zadrapało ją w gardle. Matka była taka stara, że nie dopatrzyła się pajęczyn i muszyczek na ścianach. Drapanie w gardle nasiliło się - Beatrix nie znosiła brudu i kurzu, a w tym pokoju dostawała klaustrofobii. Mosty, które niegdyś projektowała, otwierały się na niebo; ażurowo splatały z rzeką. „Jestem nikim”. Jak jednocześnie można było słuchać tych trzech: D. M.; M.; B. G? Słuchała tego, czego słuchali rówieśnicy, chciała się dostosować, bo była dziwadłem. Samotna i pusta - była nikim. Zakasłała, wilgoć zaczęła jej się zbierać w nosie. Mam nadzieję, że umyła ręce, nim zrobiła te ciasteczka! Zeźlona zajrzała pod łóżko.

Na idealnie odkurzonej skrawku ukrytej podłogi (1,20 x 1,80) kredą namalowano odwrócony krzyż. Beatrix zaczęła się śmiać. Dziewczyna Lodów Malinowych od czasu młodzięczego wypadku (spowodowanego przez przyszłego ojca Beatrix) miała zwichrowany kręgosłup. Ile ją musiało kosztować, żeby tak się schylić.

Beatrix poczuła się nagle ważna. Po raz pierwszy w życiu; w dodatku uczucie to nie chciało odpłynąć ani nie zmaćił go sen!

Patti

Stukot wysokich obcasów w tym miejscu wydawał się wysoce niestosowny. Pensjonariusze nosili kapcie, którymi szurali po linoleum obmytym z bakterii wodą z chlorem, niczym wodą z oliwą zostały obmyte dłonie Poncjusza Piłata z krwi Chrystusa.

Szur-szur, szur-szur, przechodzą od tego dreszcze i wywołują ze wspomnień duchy. Pielęgniarki i sanitariusze nosili przepisowe obuwie z gumowymi podeszwami. Stuk, stuk, stuk, klak. Wysoka, młoda kobieta uczesana w ciemny kok stanęła przed siostrą oddziałową. Ta zlustrowała jej krótką, czarną spódniczkę i czarne szpilki, ale nic nie powiedziała. W końcu spódnica mogła być czerwona, a szpilki ze złotej lamy jak buciki kopciuszka.

- Jestem Alex Case - powiedziała kobieta.

- Wiemy kim pani jest, Aleksandro.

„Aleksandra” pomyślała, że pielęgniarka przypomina jej siostrę Ratched - Wielką Oddziałową z „Lotu nad kukułczym gniazdem” Kena Kessey - ale zatrzymała to dla siebie.

- Proszę za mną. Pozna pani naszych lekarzy i niektórych pacjentów.

- Wołałabym wszystkich...

- Nie wytrzymałaby pani tego. W ogóle skąd pomysł na taki artykuł? Czy nie powinna pani jeszcze studiować?! - Zatrzymała się gwałtownie i obróciła tak, że Alex wpadła na jej bark. Obok przeszła zacewnikowana staruszka mamrocząca modlitwy.

- Mój ojciec oszalał i zabił widelcem do pieczenia moją matkę. Mnie nie dostał, bo schowałam się w szafce pod zlewem. Miałam trzy lata. Później zabił go policjant.

- Żartuje pani!

- Nie. Przez ten widelec do pieczenia zostałam wegetarianką - uśmiechnęła się.

- Trzyletnie dzieci nie pamiętają zbornie tego, co im się przydarzyło...

- Możliwe, ale ja siostrę... - zmrużyła oczy i odczytała podpis pod zdjęciem na identyfikatorze - ...Spock, pamiętam. A teraz może pozwoli mi siostra pracować?

- Nasi pensjonariusze nie lubią takich wizyt. Rozstraja ich to. Za to dyrektor szpitala... Uwielbia medialny rozgłos. Pewnie w skrytości ducha marzy o tym, żeby zostać prezydentem.

Roześmiały się jednocześnie, mącąc ciszę jaka panuje tylko na oddziałach psychiatrycznych i w kościołach - o ile ktoś nie krzyczy.

Zaraz potem Alex usłyszała śpiew. Dobiegał z za jednych z szeregu metalowych, wzmocnionych drzwi - tych niewyciszonych. Dziennikarka otrząsnęła się ze zdumienia. Śpiewający pacjent! OK!

- Kto to? - Spytała przymilnie.

- Nie powinnam pani powiedzieć...

Alex milczała.

- To Patti. Lubimy ją wszyscy, jest taka drobna, taka sympatyczna... Była.

Wielka Oddziałowa podprowadziła swoją towarzyszkę do samych drzwi i odsunęła

metalową zasuwkę okienka. Dziewczyna wewnątrz miała nalaną od leków twarz. Wokół zapachniętych policzków sterczały włosy, wyglądały, jakby je ktoś przycinał kosą.

- Co z nią?

- Odebrała telefon z innego świata.

- Żartuje siostra.

- Nie.

- A co ona śpiewa?

- Co nuci? Nie mam pojęcia! - prychnęła.

- Znam to.

- Wszyscy to znają. Nikt nie pamięta...

- Ależ to - Alex nabrała powietrza. - To Vivaldi!

- Kto?

- Antonio Vivaldi, zwany Rudym Księdzem, Wielka Oddziałowo. A to jest... „Wiosna”.

Z „Czterech Pór Roku”.

- I ta wariatka potrafi to zanucić? Skrzypce?

- Przecież słyszała siostra!

„...i wesóło witają ptaki jej (wiosny) przyjście radosną pieśnią; Kiedy potoki, owiewane łagodnymi podmuchami Zefira słodko szemrzą, płynąc dalej; Grzmot i błyskawica, wystane, aby ją ogłosić, spowijają powietrze czarnym całunem; Ptaki, które chwilowo zamilkły, podejmują znowu swój melodyjny śpiew...”

- Ale dlaczego nuci akurat to? - Zastanowiła się siostra Spock.

- Nie mam pojęcia.

- Lepiej będzie, jak już zaprowadzę panią do dyrektora - pociągnęła Alex za łokieć.

Zasuwka trzasnęła.

Szuranie pantofli, kroki cichych gumowych podeszew, zwały się w jedno ze stukotem obcasów. A Patti śpiewała...

Anna

Dziewczynka stanęła przed portalem kościoła. Drzwi były uchylone, zablokowane kamieniem. Weszła w pachnący kadzidłem chłód. Nad jej ciemną głową skrzyżowały się promienie słoneczne i zabłyśły niczym nimb; ale ona już szła środkiem nawy ku ołtarzowi.

Ktoś czekał. Było to zaplanowane spotkanie. Anna przystanęła niepewnie przy klęcznikach. Z boku podniósł się jakiś cień: siostra Annuncjata.

Zeszła z chóru, uchyliła balaski ołtarza i znalazła się na „świeckiej” stronie.

- Będę mogła kiedyś z tobą wrócić? - spytała Anna.

- Tak. Już niedługo.

Zamilkły, nerwowo przekrzywiły głowy (podobne w tym geście do płochych ptaków), jakby obie słyszały widmowe „*Te Deum*” odśpiewane dla postulanki.

- To dla ciebie - powiedziała siostra Annuncjata, podając dziewczynce pakunek owinięty w natłuszczony, cienki papier.

- Taki jak chciałam...

- Możliwe, że popełniamy grzech. Życie to nie karnawał.

- Ale czuję powołanie, które nie wierzy, że jestem dzieckiem - Anna podniosła koszulkę. Wokół jeszcze ledwo rysującej się talii zaplątana była gałązka dzikiej róży, która drapała i rozkrwawiała miękką skórę. - Chcę się połączyć z Jezusem przez cierpienie.

Rozwinęły paczkę: w środku spoczywał czarny habit, uszyty na rozmiar niewyrośniętej dziewczynki.

Nagle, na zewnątrz zebrało się na burzę. Błysnęło, z nieba runęły strugi podświetlonego na błękitno deszczu. Coś wdarło się przez szparę drzwi. Pomyślały, że to woda płynie nawą, ale była to mroczna rzeka, przesycona zgnilizną i fekaliami. Rozszerzała się, biegła coraz szybciej, aż jej krople dotknęły obcasów dziecięcych bucików. Zaskwierczało, uniosła się para, a potop nie tylko został zahamowany, ale jął się cofać.

- Mała błogosławiona.

- Matko nieskalana, módl się za nami. Matko najczystsza, módl się za nami. Matko dziewicza, módl się za nami. Matko nienaruszona, módl się za nami. Matko najmiłsza, módl się za nami. Matko przedziwna, módl się za nami. Matko dobrej rady, módl się za nami.

Jakaś niewidzialna siła szarpnęła Annę, uniosła ją i rzuciła na ścianę. Jednocześnie z naelektryzowanego powietrza zmaterializowały się trzy gwoździe, które w parodii Ukrzyżowania przyszpiliły ją jak owada do muru.

- Och, Anno - zakonnica jęknęła.

- O tak. O to się modliłam! - wrzasnęła Anna. Widmowe „*Te Deum*” powróciło z nową siłą.

13.

Ja, Carol

W mojej głowie mieszka potwór. Ma łysą czaszkę i spiczaste uszy. Rozdwojony język i pazury jak sztylety. Nie uśmiecha się, nie smuci. Raczej milczy. Potwór w mojej głowie.

Kiedy jednak się odzywa, opowiada...

Moje wspomnienia zmieniły się. Jakby w ogóle należały do kogoś innego. Uleciały.

Oglądam je w „trzeciej osobie”. Jak film. Niby nie istnieję, a jednak jestem. Wciąż i wciąż... Wspomnienia mnie prześladowają.

Oczy odbiegają w tył głowy. Coś odpruwa moją „duszę” od ciała; szew po szwie. To boli, a jednocześnie ten ból przynosi ulgę. Będąc zjawą, patrzę w swoją fizyczną twarz. Czuję oddech przesycony miętową pastą do zębów. Widzę pot. Kłamliwą twarz kobiety.

Wracam do dzieciństwa, do domu wzniesionego na piasku. Schody trzeszczą. Cicho, ale słyszalnie. Mężczyzna zdjął buty i z determinacją porusza się do góry po stopniach. Unoszę się dokładnie nad nim, a moje drugie ja - „ja” minione, dziecięce - leżąc w małym wózku, otwiera oczy i patrzy we wnętrze żółtej budy. Czeka.

Porusza się gąłka u drzwi. Mężczyzna trzyma w dłoni nóż. Jego ostrze zostało wymierzone w rzeczywistość. Herb Zabójca.

Widzę łysinę na jego ciemieniu. Kawałek zaróżowionej skóry, którą ma zwyczaj pocierać. Ciemne plamki cebulek włosowych. Dziurę w szarej skarpetce, drobne rzeczy... Rysów już nie, oblicza obu moich ojców - ziemskiego i tego drugiego - są zagadkami. Do którego jestem bardziej podobna?

Moje przeszłe „ja” porusza się niespokojnie, ale jest w tym ruchu oczekiwanie. Jakby dziewczynka wyczuła widmową krew, uderzenia stali na policzku. Poderżnię jej gardło od ucha do ucha? Podobno krowy prowadzone do rzeźni wyczuwają swoją śmierć. Łzy płyną im z oczu. I Carol nie jest pozbawiona tej intuicji, ale jej twarz pozostaje sucha i słodka.

Cień układa się na żółtym wózku, w którym śni moje wspomnienie. Cień śmierci: niezdecydowanej, a nieuchronnej. Och, roześmiać się jej w twarz! Tyle, że dziecko, jakim byłam nie znało ani śmiechu ani płaczu. Gdzieś tam, Susan przeszyta grotem niepokoju woła psa i wycofuje się ze ścieżki. Wracają.

Tato, śmierć musi się dokonać. Albo umrzesz ty, albo ja.

Mama biegnie już do domu.

Herb myśli, że dziecko śpi. Ale to nieprawda. Obserwuję go z dwóch stron: spod ciemnych rzęs miniaturowej powieki oraz jako dorosła zjawą znad ramienia. „Dorosła zjawą” - to oznacza, że jednak przeżyję. Herb jest za słaby, by zmienić przeznaczenie. Zbyt rozstrojony, za bardzo się martwi. Opanowuje mnie ból, kiedy pomyślę, że mój rodzony

ojciec chciał mnie zamordować ostrzem do filetowania ryb.

Narzędzie wypada ze spoconych palców.

Mała Carol łudzi się, że miała zostać zabita z miłości, nie z nienawiści.

Susan dobiega do werandy. Za nią bieży zziębnięta pani Kempke.

Zabij mnie tato! Zabij mnie tato! Podnieś nóż...

„THE MIRACLE”

Zdarzenia i wypadki

Neapol (Włochy) - chemicy z miejscowego uniwersytetu twierdzą, że poznali mechanikę tak zwanego „cudu św. Januarego” (chrześcijańskiego męczennika straconego w czwartym wieku). Raz do roku, w rocznicę śmierci, przechowywana w katedrze fiołka z krwią Januariusza „ożywia się”. Skrzepła krew przechodzi w postać płynną. Naukowcy sądzą, że relikwia jest średniowiecznym fałszerstwem. „Żywa krew” to nic innego jak ciemnobrązowy żel złożony z kredy, hydrolizowanego chlorku żelaza i wody morskiej. Potrząsanie fiołką powoduje przejście mieszaniny w stan płynny. *„Zmiana zaszła nagle i nieoczekiwanie. Płyn wewnątrz ampułki stał się jaśniejszy i lśniący, jakby wypełniony pęcherzykami powietrza. Wydawało się, że krew jest w stanie wrzenia”*- wspomina świadek „cudu Św. Januarego”.

Praga (Republika Czeska) - zmarła sześćdziesięcioośmioletnia stygmatyczka Milia Karlova. Za przyczynę śmierci patolodzy uznali rozległy udar mózgu; po śmierci Rany Chrystusowe natychmiast się zasklepiły. Karlova była jedną z nielicznych osób obdarzonych czterema oznakami Ukrzyżowania: rany na stopach oraz rękach, ślad od włóczni; kiedy podczas sekcji otworzono klatkę piersiową zwłok, z serca buchnęła struga gorącego dymu.

Nowy York (USA) - ruszyła produkcja remake'u klasycznego horroru „Dziecko Rosemary” Romana Polańskiego. Realizacji podjął się młody, utalentowany reżyser Alexandro Amenábar. W roli Rosemary Woodhouse wystąpi Nicole Kidman. *„Wiem z kim się mierzę. Jednak Polański jest agnastykiem, a ja wierzę, och jak ja wierzę w Diabła”* - żartował na konferencji prasowej hiszpański twórca. Do dziś w kuluarach Hollywood powszechnie mówi się, jakoby zabójstwo drugiej żony Polańskiego, Sharon

Tate, było satanistyczną zemstą zaś Charles Manson morderczym narzędziem w rękach sług Księcia Ciemności. „*Ja nie mam żony!*” - skomentował to przypomnienie A. Amenábar.

Moskwa (Federacja Rosyjska) - AIDS nie daje się tuszować. *„Największą wylęgarnią epidemii w Rosji i na Ukrainie są więzienia. Już w tej chwili co piąty osadzony bierze narkotyki, głównie dożylnie. W rosyjskich zakładach karnych zdobyć działkę heroiny to żaden problem. Gorzej z jednorazowymi igłami i strzykawkami. Wszystkiemu jest winny rosyjski, represyjny system prawny i hipokryzja władz, które z uporem twierdzą, że nie ma problemu”* - mówi dyrektor moskiewskiego Centrum Walki z AIDS. Szacuje się, że jeśli Rosjanie szybko nie powstrzymają epidemii, to do roku 2045 w jej wyniku umrze dwadzieścia milionów ludzi.

Pekin (Chiny) - szła operacji plastycznych mających upodobnić przeciętną Chinkę do europejskiego ideału urody. Najczęściej wykonywanymi zabiegami są: usunięcie fałdy mongolskiej oraz przeszczep owłosienia łonowego. Operacje plastyczne wspiera jedenastomilionowa armia wyższego i średniego personelu medycznego, a rynek wciąż pozostaje niezaspokojony. *„Za pomocą magicznej różdżki-skalpela, oczy, nos, twarz, piersi, brzuch, nogi i pośladki Hao nabrały idealnych kształtów”*- krzyczą wzbogacone w zdjęcia slogany reklamowe. *„Zdarzają się nastolatki, które przynoszą fotografie gwiazd estrady i proszą o poprawienie całego ich ciała na wzór idola”* - twierdzi jeden z chirurgów.

Wybrzeże Kości Słoniowej - tutejsi biolodzy zaobserwowali i uwiecznili na taśmie wideo harce młodych małp z gatunku *Procolobus badius waldroni*. *„To cudowne odnalezienie”* - twierdzi ekipa. - *„Od 1978 roku nikt nie widział żywego przedstawiciela tego rodzaju, a gatunek uznano za wymarły. Jednak zwierzęta ukryły się przed cywilizacją i przetrwały”*. *Procolobus badius waldroni* to małpka wegetarianka, w jej menu znajdują się: ziarna, liście i wiele gatunków owoców.

„THE MIRACLE”

Motto tygodnia:

„Credo, quia impossibile est

- Wierzę, bo to niemożliwe” - Tertulian

Część trzecia

SERCA

„O, moje serce, nie świadcz przeciw mnie”.

Magiczna inskrypcja na Skarabeuszu.

1. 21 Grudnia, Anno Domini 2000.

Jest poranek. Budzi się. Pościel przepocona jej zapachem - słodkim; drożdżowym tam niżej. Dawno się nie kochała. Używa perfum „Shalimar” Guerlaina.

Odgarnia śliskie włosy z twarzy i dopiero teraz otwiera oczy. Widzi *coś*. W pierwszej chwili ten poblask bierze za promień słońca wpadający przez niedokładnie dosunięte na noc zasłony. Ale to nie to - plama migocze „księżycowo”, srebrzyście. Młoda kobieta wstaje, nogi ma opuchnięte, jest przed samym okresem. Pożyłkowane stopy zapadają się w miękki, gruby dywan - symbol dobrego smaku, symbol zamożności. Rtęć.

Teraz bierze to za rtęć. Jezioro rtęci rozlane na dywanie; ale to, znowu... Srebrzysta kałuża pachnie zwyczajną wodą. Jednak, kiedy przebudzona pochyła się nad nią nie widzi swojego odbicia; żadnego odbicia. Nie widzi nic.

Nic. Kałuża kradnie wszelkie obrazy, wszystko wciąga do środka, w siebie. I nagle kobieta dowiaduje się (skąd?!), że to stojące jezioro pośrodku grubego dywanu jest bardzo głębokie. Sięga do wnętrza Ziemi, albo... Wnętrza Wszechświata.

Na niezmaconej dotąd wodnej tafli pojawia się banieczka powietrza i pęka.

- Czekałam - mówi kobieta.

Wyciąga palec z obgryzionym paznokciem i zagłębia go (na początek po pierwszy staw)

w żywym srebrze. Rozkosz i ból.

Przyszedłem do Carol z samego rana.

- Hej, nie pakuj się tak szybko - powiedziała mi, zasłaniając wejście ciałem. Na sobie miała nie sięgającą pępka koszulkę. Kiedy kobieta poruszała się, a uda tarły o siebie, słysząc było niepokojący szelest. Z majtek wystawała jej rękodzielnicza podkładka ze złożonego parokroć, grubego i szarego papieru toaletowego, jaki można kupić w gorszych sklepach, w innej dzielnicy. Wyciągnęła do mnie pięść, z zamkniętymi w niej pieniędzmi. Rozgrzały się i przesiąknęły Carol.

- Dostałam okres, a zapomniałam, że w domu nie mam tamponów. Czy mógłbyś...?

Mogłem. Skoczyłem do drogerii naprzeciwko po paczkę OB.

- Wielkie dzięki - powiedziała Carol, zamykając się w łazience. - Rozgość się.

Starałem się rozgościć, ale wtedy, jak i wcześniej, nie wychodziło mi to; odkąd przestaliśmy być dziećmi, kolejne mieszkania Carol - kobiety, z tymi wszystkimi ciuszkami, kremami, „Tao seksu” na półce - jednocześnie zawstydzają mnie i podniecały. Bardziej podniecały. Miałem ochotę pomyszkować i aż bałem się co znajdę. Lalkę Barbie z urwaną głową? Lśniące emulsją fotografie Carol, które wykonała aparatem z samowyzwalaczem dla swojego wymagowanego chłopaka? Gadżet z sex-shopu, który kobiecie pomaga przetrwać samotne wieczory? Dziennik, w którym się ze mnie nabija? Modlitewnik, który naprowadza ją na wąską drogę Katarzyny ze Sieny? Pistolet. Bałem się pistoletu.

- Zjesz ze mną śniadanie? - Wyskoczyła jak diabeł z pudełka. Wilgotne włosy, świeży opar perfum, sukienka z rodzaju tych, na które nie wiem skąd bierze pieniądze.

- Z chęcią.

- To chodź do kuchni.

Wyjęła z lodówki jajka i rozerwała celofan znad tacki z pieczarkami.

- Jajecznicza - powiedziała tajemniczo.

Cięła grzybki na połówki i ćwierci, a ostrze w takim tempie opadało na drewnianą deseczkę, że byłem pewny, że jeszcze chwila i Carol zatnie się w palec.

- Ty wiesz, że nie jem mięsa. Czasem zastanawiam się czy i nie powinnam zrezygnować z grzybów - westchnęła i zapaliła ogień pod patelnią.

Jadła szybko, nie gryząc, tylko połykając. Kradnąc mi z talerza co większe kawałki

pieczarek i popijając wszystko odstaną „wodą źródlaną”, przywiezioną Bóg wie skąd. Łaskawie pozwoliła mi zrobić kawę. Poparzyłem język pierwszym gorzko-atłasowym łykiem.

Słońce wyszło zza chmur i wzniosło się na swój najwyższy zimowy pułap. Zapowiadał się piękny dzień. Chłodny, ale przepełniony jasnością, którą można odnaleźć tylko w połowie grudnia pod tą szerokością geograficzną i jeszcze na bardzo mocno prześwietlonej kliszy. Błysk i koniec.

Zauważyłem, że nasza wiecznie spłoszona Carol, zwykle nieznosząca gwaru dnia, tym razem podciągnęła rolety. Zastanawiałem się, czy odsunęła też grube zasłony, które swego czasu dostrzegłem w sypialni.

Złapała moją rękę ponad talerzem, przy okazji trącając starą srebrną cukiernicę; ta zatańczyła wokół własnej osi, roniąc deszcz słodkich kryształków. Nabiła je na opuszek i oblizwała. Miała różowy, ruchliwy język syjamskiego kota.

- Chodźmy na spacer - powiedziała. - Chodźmy na spacer do parku.

Wyszliśmy. Ulice zasypane były śmieciami i „anielskim włosom”. Reklamowe „Jingle bells” wdzierają się w uszy. Na mrozie końcówki uszu Carol poróżwiały, tak, że chciałem wziąć je w usta i ogrzać.

Skęciliśmy do parku. Nagle, mały wróbel o wyglądzie świątecznego łobuza, sfrunął na ramię mojej towarzyszk. Nie mogłem w to uwierzyć.

- Nie uważasz, że to słodkie? - zasepleniła, bo ptasi urwis zawisł na jej ubraniu jak broszka i z głupia frant zaczął pchać dziób w jej wargi. Usta miała nie pomalowane i spieczone jak od gorączki; ptak złapał mikroskopijny, postrzępiony fałd skóry i szarpnął.

- Auć! - uciekł z relikwią w dziobie.

- Cholera, nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

- Moje usta! Nie sądzisz, że on chciał mnie skaleczyć?

- Wróbel?

Plac zabaw. Piaskownica była zasypana śniegiem, co nie przeszkadzało przemarzniętym malcom, leniwie pilnowanym przez latynoamerykańskie opiekunki, babrać się w tej brei - każdy niczym Bóg stwarzający z błota Adama.

- Huśtawki są zajęte - oznajmiła. - Ale zjeżdżalnia nie.

- Carol, nie boisz się, że przymarznie ci tyłeczki?

Roześmiała się:

- Mój zgrabny, drobny tyłeczek? - Skóra koloru kwiatu lili.

Ruszyła. Pobiegłem za nią.

Zjechałem pierwszy sprawdzając stabilność konstrukcji i brudząc sobie spodnie,

wszelkim syfem, który dzieci noszą na podszewkach swych małych butów. Dużo tego było.

Carol owinęła płaszcz wokół kolan i też zjechała. Srebrzysty śmiech.

Opiekunki patrzyły na nas jak na parę poronieńców; ale dzieci nie... Dzieci patrzyły z zainteresowaniem, jednak tylko na Carol, ja dla ich małych oczu nie istniałem.

- Chodźcie. Chodźcie do mnie! - zamachała.

Gromadka porzuciła piaskownicę jak zepsutą zabawkę; może to i dobrze, może Carol uchroniła ich od zapalenia płuc. Garnęli się do niej, jak do Królowej Śniegu. Dziewczynki wkładały głowy pod pachy jej kaszmirowego płaszcza i szeptały jak to dziewczynki potrafią:

- Jaka ona ładna.

Ich bracia węszyli powietrze wokół Carol i koniecznie chcieli otrzeć się o jej piersi.

Magiczne słowo „piersi”, dla każdego chłopaka od 1 do 100 lat.

Ustawiła się kolejka, o dziwo, bez zbędnych krzyków i przepychanek, jeden po drugim dzieciarnia zjeżdżała; a pośród nich Carol. Poczułem się odrzucony; poczułem, że chcę, aby ktoś im to natychmiast zepsuł.

- Chodź do mnie, Miriam. Wracamy do domu! - krzyknęła wysokim głosem jakaś zazdrosna, szeroko-biodra panna Sanchez czy Lopez. Od grupy oderwała się śniada dziewczynka w czerwonej czapeczce. Oglądała się raz po raz, nawet wtedy, kiedy opiekunka capnęła ją za rękę i zaczęła odciągać od placu zabaw. Gdyby mogła, zasłoniłaby jej oczy. Po chwili Sanchez zaczęła małpować cała grupa emigrantek i w jednym momencie zostaliśmy w błogosławiony sposób sami. Daniel i Carol.

- Chyba zgubiłam rękawiczki.

Pokiwałem głową.

- Co będziemy dalej robić? - spytałem.

- Och, Daniel, chcę wszystkiego. - W miejscu, gdzie dziobnął ją wróbel miała purpurowy strup, który wyglądał jak oko.

Wieczorem poszliśmy do kina.

Do studyjnego kina, grającego klasykę, gdzie stary plakat zachęcał natrętnym sloganem „Módlcie się za dziecko Rosemary!”.

Dziewczynka z kasy, kiedy ruszył film, weszła jakby nigdy nic na salę i świecąc po nielicznych twarzach małą latarką, proponowała zakup cukierków i orzeszków w czekoladzie - poczułem się jak ktoś przeniesiony w czasie. Carol podobało się. Jej usta, mogłem się założyć, smakowały toffi, na które wytrząsałem drobną monetę. A jeszcze bardziej kręciło ją, że jakaś para w ostatnim rzędzie rżnęła się zawzięcie i hałaśliwie.

- Oni chcą się zabić - powiedziałem. Rosemary na ekranie kochała się z Diabłem i

zachodziła w diabelską ciążę.

Znałem ten film prawie na pamięć, jeszcze lepiej od „Trzeciej części nocy” Żuławskiego.

W końcu para „z tyłu” skończyła szczytować po raz wtóry (co odnotowałem z zazdrością) i odpoczywała. Pot wysychał im na twarzach.

Brzuch Rosemary powiększał się i zniknął.

Poczułem lepkie palce Carol na dłoni. Ścisnęła mnie.

- Czy... - mruknęła. Cały seans uparcie milczała jak głaz, choć próbowałem tu i tam, pomiędzy nią a film wkręcić słówko.

Rosemary przełamała swój strach i obrzydzenie i zaczęła nucić kołysankę Antychrystowi. „Chwała ci, Rosemary! Chwała ci, matko!”. Upuszczony nóż lśnił w kącie - czy powiedział już ostatnie zdanie?

- Potrafiłbyś pokochać Diabła? - spytała Carol.

Weszliśmy do jej mieszkania. Już w korytarzu się uśmiechała. Tuż za progiem zrzuciła płaszcz, miał zaśnieżony kołnierz. Śnieg stopniał. Przyglądała mi się uważnie, kiedy się rozbierałem. Taka piękna. Kosmyki jasnych włosów wyrwały jej się z kitki i opadły na cienką czarną sukienkę z głębokim dekoltem. Myślałem o tym, dlaczego Carol nie jest zimno w taką pogodę. Myślałem o pieprzyku, który odcinał się od idealnej bieli półobnażonych piersi.

Obnażonych. Została w czarnych, welurowych pończochach przypiętych do paska; na którym fałdowały się koronkowe majtki. Nie nosiła stanika, na idealnej skórze torsu nie odbijała się żadna różowa pręga, żaden bieliźniany odcisk do których zdążyłem się już przyzwyczaić w moim wcześniejszym życiu kampusowego podrywacza.

- Zawsze to chciałeś zrobić.

- Przecież ty...

Przyciągnęła mnie do siebie. I pachniała miodem i perfumami, których nazwy nie mogłem spamiętać.

- Tak. Masz rację.

- Więc zrób to.

Wyłuskałem ją z czarnych koronek do końca.

- Dalej - jedynym dysonansem w magii wieczoru były obgryzione paznokcie u palców, którymi rozsunała wargi sromowe. Nagle przed oczami stanęła mi tamta mała dziewczynka.

- Dalej, na co czekasz? - Miód. Chrapliwy głos nienasyconej kobiety.

Zużyty tampon wyglądał na dywanie jak rozdeptana biała mysz.

Zaniosłem Carol na łóżko. Krople czerwonej rosy na pościeli.

- A gdybym ci powiedziała, że ja nigdy wcześniej... Nigdy dotąd nie kochałam się.

- Nie uwierzyłbym ci.

Zacisnęła uda na moich żebrach, aż straciłem dech. Wznosiłem się i opadałem nad „srebrzystą” w nocnej poświacie Carol. I uderzałem roztrzęsiony, coraz szybciej, instynktownie, w końcu na oślep. Miód, miód, miód - oblepił mój penis. Miód i zapach perfum, tych, których nazwy nigdy nie mogłem zapamiętać. Krzyknęła na początku, a mój jęk na końcu zamknął czas miłosnego zespolenia w klamrę.

- Przeszłam przez srebro i jestem odrodzona - jęczała, kiedy księżyc lśnieniem wkradł mi się pod powieki.

Była taka ciasną i napiętą, że prawie uwierzyłem, iż jest dziewicą, jakkolwiek było to niemożliwe. Carol.

Rozgrzana skóra podbiegła krwią. Teraz różowa. Serce bijące jak oszalałe zwalnia bieg. Zwalnia i zwalnia, prawie do milczenia. Skóra woskowuje - tylko piersi i podbrzusze wciąż napuchnięte miłością. Stróżka nasienia płynie w dół uda (i krew, oczywiście. Tyle, że już krzepnie - na nogach i na palcach).

Kobieta wstaje z łóżka, idzie do drzwi balkonowych. Ogląda się - przesyła niemy, czuły pocałunek śpiącemu kochankowi.

Otwiera okno. Różowe koła sutków stoją na baczność jak u kobiety karmiącej. Pod wpływem lodowatego powiewu, który wpuszcza firankę w głąb pokoju, podnosi się lisia kępka włosów na łonie. „Gęsia” skórka. Kobieta nie czuje zimna.

Czuje... Nie, nie ekscytację, nie euforię. Opanowuje ją poczucie spełnienia. Odnalazła swoje miejsce w Wielkiej Machinie Wszechświata. Wszechświatów. Miejsce poczesne.

MIEJSCE CÓRKI.

Jest na balkonie. Przed wirującymi płatkami śniegu wciąż osłania ją daszek. (Płatki śniegu są sześcioramienne. Ostateczny dowód na istnienie Narodu Wybranego. Na istnienie Boga albo... Królowej Śniegu. Kim jesteście, Kainami czy Kayami? - myśli). Nie ma wątpliwości, więc nie spogląda w dół. Gdyby jednak to zrobiła, zobaczyłaby sznur samochodów nieprzerwanie kręcący ulice miasta, nieprzerwanie - pomimo późnej pory... To miasto nigdy nie śpi. Czuwa. W tym mieście jest bezpieczna. Nie ma tu jednego człowieka, który spoglądałby sam z siebie w niebo. Z wyjątkiem tego mężczyzny, którego

„Jezus”.

Dźwięk zasysania. Krótki.

Linia na monitorze podskakuje, wypręża się jak raniony ptak i gaśnie. Wciąż i wciąż trwa - płaska i jednostajna.

Linia izo. Linia oddalająca „Tu i Teraz” od „Tam czyli Nigdzie”.

Pikanie zamienia się w syrenę przeciwłotniczą.

- Tracimy go!

Przez głośniki:

- Zespół Harveya proszony do sali reanimacyjnej numer 2.

„Pewno będą to powtarzać”.

Nie ma ani wrażenia unoszenia się ponad ciałem; ani czarnego tunelu z jaskrawym białym światłem na końcu. Żadnego przewodnika, żadnych otwartych ramion ukochanych zmarłych.

Zapaść i nicość.

Ojciec Turrini

Obudził się, to znaczy - ocknął.

Oddział intensywnej terapii podzielony był na pokoiki niczym na akwaria. Za każdą taflą szyby inny pacjent, inny uraz, inna walka. Inna śmierć.

Mężczyzna popatrzył w lewo. Dostrzegł leżącego sztywno jak kłoda potężnego mężczyznę (święty pień). Biel jego kwadratowej twarzy zlewała się z bielą prześcieradła. Bładość podkreślała strzecha czarnych włosów. Choć mężczyzna dobiegał pięćdziesiątki nie było pośród nich ani jednego siwego pasma. Z rzymskiego nosa sterczały plastikowe rurki podające tlen. Ramię nakłute kroplówkami, posiniaczone, wyglądało jak ręka ćpuna.

- Dobry Boże - najprawdziwszy piasek w zaskorupiałym od pragnienia gardle.

Polizał spierzchnięte usta.

Obserwowany mężczyzna zrobił to samo. Lustro. Ojciec Turrini zajmował narożny pokój, którego jedną ścianę maskowało zwierciadło.

Popatrzył w prawo. Identyczny biały stolik. Jeszcze więcej elektronicznego sprzętu niż u niego. Podwójny kontakt i dwa przedłużacze („Muszą mieć trzecią fazę, a na wszelki wypadek rezerwowego generator”). Nieoswojona pustka. Biały parawan szczelnie zasłaniający łóżko, które, dałby głowę, że jest zakratowane („Kto?”).

Weszła pielęgniarka, przerywając mu obserwacje.

Wyglądała na Chinkę, ale była Amerykanką i to raczej już w trzecim pokoleniu. Jej

dziadek, po Pearl Harbor, siedział pewnie w amerykańskim obozie, który państwo zaserwowało swym „żółtym” obywatelom. God Bless America. Ubawił się myśląc, że poznał to wszystko po tym jak dziewczyna energicznie rusza się na swoich potężnych stopach - zupełnie inaczej niż rówieśniczki w starym kraju. Nie uśmiechała się i starała się wyglądać na starszą i surowszą niż była. W milczeniu zmieniała woreczek kroplówki.

Turrini postukał paznokciem w stoliczek. Obróciła się. Na blacie leżał wyburzały święty obrazek. Miał ze trzydzieści lat, a sam był drukarską kopią XIX-wiecznego. NMP - eteryczna blondynka z długą twarzą i jasnymi oczami, patrzącymi pewnie na ciebie spod ciężkich różowych powiek. Błada i drobna. Drobniejsza od amerykańskiej Chinki.

Intrygujące było to, że Jej pierś była rozłupana. Na zewnątrz unosiło się płonące czerwone serce. Zwykle przedstawienie takie przysługiwało Jej Synowi („*Serce Jezusa zmiłuj się nad nami*”).

Szarooka Madonna miała na Turriniego hipnotyczny wpływ. Ta siła, ten spokój, ta uroda, ta odwaga. Żadnego bólu, żadnego zdumienia, że JEJ SERCE PŁONIE. („*Serce Najświętszej Marii Panny módl się za mnie...*”)

- Obrazek był w moim portfelu.

Chinka zaczerwieniła się.

- Kto jest w tamtym pokoju? - spytał.

- Pacjentka.

Kiedy stanęła przed szklanymi drzwiami, powiedział za nią:

- Dziękuję.

Lekarz zobaczył Krwawiące Serce i skrzywił się nieznacznie:

- Skoro pomaga...

Turrini znał takich, nie byli złymi ludźmi.

- Upadł ksiądz przed ołtarzem. Zawał połączony z pęknięciem tętniaka sercowego. Krew wlała się do worka osierdziowego, musieliśmy robić *tamponatio cordis*, a i tak skończyło się na...

Turrini, bliski omdlenia, przerwał mu:

- Proszę...

- Dobrze - mruknął lekarz, trochę rozczarowany. - Oszczędzę ojcu szczegółów.

Milczeli. Ksiądz dojrzał na szyi lekarza błysk srebrnego łańcuszka. Nosi na nim swój Znak Zodiaku? Lew? Nie, nie... Może Rak.

- Myśleliśmy, że ojciec z tego nie wyjdzie.

- Mam potężnych opiekunów.

- Tak, wierzę, ojcie Turrini, ale trzeba w końcu o siebie zacząć dbać.

- Patryk?

Rudowłosy lekarz przestał stukać długopisem o kartę pacjenta.

- Tak?

Turrini chciał go spytać, o ich wspólną pierwszą katechezę - młodego księdza i irlandzkiego szczawika, tak irlandzkiego, że jego zdjęcie można było zatknąć zamiast zielonej flagi.

- Pozdrów rodziców.

- Dobrze. Wie ojciec, że Sharon wyszła za mąż? Będzie miała dziecko.

- To zostaniesz wujkiem, doktorku. Będziesz miał komu marudzić...

Skinał głowę.

- Patryk, kim jest ta pacjentka obok?

Zawahał się:

- Smutkiem.

Koniec obchodu.

Na oddziale intensywnej terapii nigdy tak naprawdę nie robiło się ciemno. O dwudziestej drugiej światła przygaszały do niepokojącej żółci.

Turrini wpatrywał się w lampy; kiedy zamykał oczy, wciąż trwały pod powiekami w postaci swoich negatywów. Szpikowali go lekarami nasennymi bardziej niżby chciał; a mniej niż oni sami mieliby ochotę - jego serce było ruiną, którą po raz kolejny uratowano od rozbiórki. I tak trwał w letargu - przed oczami przemykały mu obrazki z dziecięcych wakacji - ten biegnący, spalony na brąz chłopiec z podrapanymi kolanami to on. Wokół pole kukurydzy ze swoimi zagadkowymi labiryntami. Trzask łodygi, która łamie się pod ciężarem dojrzałej kolby albo...

Zapach wody do układania włosów, którego jadowitą ostrość (piecze w oczy) próbują zakryć mgiełką kwiatowe perfumy. Zapach matki. Mamusi, która ondulowała ciemne włosy, miała niebieskie oczy, przezroczyście jak górskie jeziora i zmarła na raka tak młodo, że on - jej syn - ledwie zdołał ją zapamiętać.

Starał się modlić, ale prawdziwa modlitwa to nie tabliczka mnożenia, którą wybudzony recytuje na wrywki pośrodku nocy. Modlitwę trzeba rozumieć i trzeba przeżywać. Oszołomionemu, uciekały całe słowa, cały sens. Zdumiewało go to i przerażało. Miał na to sposób. Wyciągał palec i delikatnie głąskał nos, oczy, usta Najświętszej Pani na obrazku. Papier zaczynał od tego lśnić. Płonącego serca nie ośmielił się dotknąć jeszcze nigdy.

W prawo... Biały, papierowy parawan zasłaniał łóżko w sąsiednim akwarium tak jak i

dotąd.

Turrini nie potrafił ustalić, co go w tamtej towarzyszce niedoli tak intrygowało, tak ciekawiło? Czuł się głupi. Szklana tafla i parawan. Zmrużył oczy, kiedy zobaczył cień, który zbierał się pod papierem i krył metalowe nóżki. Nie, nie pełzł, raczej wrzał... Wrząca czerń. W pierwszej chwili „to coś” skojarzyło się księdzu ze spienionym morzem. Jednak szybko wychynęło ze swojej nory spod łóżka; dotarło do połowy pokoju, aż wreszcie pierwsze krople „tego czegoś” osiadły na dzielącej Turriniego od śpiącej pacjentki szybie. Turrini zobaczył, że to co brał na początku za czarne, w żółtym oświetleniu było purpurowe, w rzeczywistości zaś - czerwone.

Zaczął krzyczeć, kiedy przyływ krwi uderzał o ścianę, chcąc ją zmóc i zatopić Turriniego swym szkarłatem.

Przybiegła biała pielęgniarka i próbowała go uspokoić, ułożyć na łóżku, bo przerażony siedział, wrywając przy tym kropłówkę.

- Ma ksiądz koszmara. To nic. To efekt uboczny lekarstw.

Nic?

Do pielęgniarki doszusował murzyński pielęgniarz. Ojciec Turrini poczuł ukłucie i jego krzyk urwał się jak ucięty nożem. Mężczyzna zapadł się w prawdziwą, chłodną ciemność; za to bez koloru i bezwoną.

Królestwo Królowej Śniegu, pomyślał ojciec Turrini, kiedy pierwszy raz wszedł do szpitalnej łazienki.

Przeciagnął palcami po policzku - nie mógł narzekać, pielęgniarz golił go co rano. Co do sikania, pozwalano wypróżniać mu się do kaczki. Co było o niebo lepsze od cewnika, po którym długo czuł pieczenie w penisie. Brudne włosy: tego nie dawało się znieść. Wypożyczono mu powieść z biblioteki, „Pożegnanie z bronią” Hemingwaya. Ksiądz od dzieciństwa miał nawyk, że kiedy czytał, jedna dłoń przytrzymywała grzbiet książki, a druga błędziła w zamyśleniu w czarnej czuprynie. Odrywała się od swej wędrówki tylko po to, żeby przełożyć stronę. I o to właśnie chodziło - włosy były tak brudne, że łój przeniesiony na palcach plamił stronicę. Coś obrzydliwego. Turrini postanowił coś z tym zrobić. Kiedy stanął przed umywalką z wycieńczenia drżały mu kolana. Oparł się miednicą o sanitarną porcelanę, odpoczywał, unikając taktycznie wyniszczonego odbicia w lustrze i dopiero, silniejszy, zanurzył głowę pod wodę. Pod lodowaty strumień.

Przylizal ociekające strąki dłońmi. Zerknął w lustro i skrzywił się. Puścił cieplejszą wodę, żeby rozpuścić w niej resztki białej kostki mydła. Szło mu opornie. Okruchy wrzynały

się pod dawno zapuszczone paznokcie, żałośnie tkwiły we włosach. Wkurzył się, bolała go pierś. Spokój Turrini, nakazał sobie. I wtedy to zobaczył; znowu krew. Spuszczona woda zmieniła się w nią i wirowała schodząc do rur. A niech mnie!

Krew Chrystusa. Krew Chrystusa. Ciało i Krew Chrystusa.

Diabelskie lustro! Zamiast siebie zobaczył rozmyty portret młodej, blondwłosej kobiety. CÓRKI. Serce egzorcysty zatrzepotało w skrajnym przerażeniu. Dzięki Ci Panie Boże za Dar Poznania; (najbardziej szczególny z Darów; przeklęty).

Na korytarzu zagadnął jakiegoś gapowatego stażystę.

- Czy jest tu kaplica?

- Słucham?

Jak Cerber wypadła nań siostra oddziałowa. Siostra Rosita, postrach wszystkich na oddziale kardiochirurgicznym, na który przeniesiono go z OIOMu.

- Ojcie Turrini! - warknęła na niego jak na niegrzeczne dziecko. - Do cholery, ojcie! Nie wolno ci jeszcze wstawać!

- Kaplica?

Wzięła ręce pod boki i głęboko westchnęła.

- Poziom pierwszy, ojciec trafi bez trudności. Tymczasem stażysta gapił się na jego mokre, umydlone włosy i nic nie rozumiał.

To jesteśmy dwaj, pomyślał Turrini. Na razie.

Kaplica (którą istotnie znalazł bez trudu, jeśli nie liczyć potknięcia o sznur oraz przykrytych zielonymi prześcieradłami wózków ze zwłokami, czekających z przewiezieniem na poziom kostnicy) była bardziej pokojem kontemplacyjnym niż świątynią. Czarne krzesła ustawiono przodem do podwyższenia, na którym stał wyłączony mikrofon i potężny wazon ze sztucznymi (ze względów higienicznych) kwiatami. Wymalowana na jasno kaplica miała tuż pod sufitem graficzny ornament, gdzie w niewystępujący w naturze sposób splatały się pokojowo symbole największych religii świata. Jakby tego było mało, po bokach ktoś dowiesił portrety duchownych i mężów stanu. Wysuszony Ghandi sąsiadował ze stareńką Matką Teresą i Ajatollahem Chomeinim. Patrzył na to - z wysokiego parapetu - drewniany Śiwa w postaci błękitnego słońca.

Z pierwszego rzędu podniósł się kudłaty młodzieniec; napotkawszy wzrok Turriniego uklonił mu się. Właśnie odwiązywał rzemienie filakterii, które supłał na sposób aszkenazyjski. „Tefilin”, to jest właściwa nazwa, przypomniał sobie Turrini; tamta poprzednia oznaczała z grecka „opiekuna”.

- Bóg jest wszędzie - powiedział młody Żyd i podniósł ręce do piersi.

I jeszcze:

- Urodził mi się syn. Ma na imię Izaak.

- Gratuluję.

Młodzieniec kiwnął głową i cicho skierował się do wyjścia.

- Wiem - rzekł Turrini.

- Słucham?

- Wiem, że jest wszędzie.

Uśmiechnęli się do siebie.

Ksiądz odsunął krzesło i klęknął tuż przed podestem.

- Panie, wybacz, że nie chciałem uwierzyć.

- Dzięki Ci Panie za Twoje Dary i Znaki.

- Daj siłę Swojemu pokornemu słudze, który niegodny jest takiego Bogactwa i wielkości tej Próby.

- Ojcie nasz...

- Ojciec mnie wykorzystuje - powiedział płaczliwie.

- Ale w dobrej sprawie.

- A co to za różnica?

Milczeli.

Młody doktor potarł ręką nos, co zwykle robił w chwilach zażenowania, a potem uśmiechnął się cierpko, jak ktoś znacznie od siebie starszy. Może bardziej doświadczony.

- To samobójczyni. Właściwie samobójczyni wielokrotna, ale nie można powiedzieć, że z tych aktów uczyniła sztukę.

Pauza.

- Partoli je wszystkie. Leczymy ją, a ona próbuje znowu za każdym razem. Źle reaguje na leki psychotropowe.

Krzesło stojące naprzeciwko lekarskiego biurka skrzypnęło, kiedy Turrini poruszył się nerwowo.

- Boli coś ojca? - spytał troskliwie Patryk.

- Niektóre próby samobójcze wynikają z dręczeń diabelskich i...

Patryk machnął dłonią.

- Tym razem prawie jej się udało. Skok z wiaduktu. Dalej: pomyliliśmy się i podejrzewaliśmy ją o śmierć mózgową. Pacjentka jest samotna i bezdomna, więc zwróciliśmy

się do biura gubernatora z prośbą o zgodę na odłączenie respiratora...

- Dlaczego pomyliliście się?
- Dziwna rzecz - lekarz chrząknął. - Zeszłej nocy obudziła się.
- Ach, tak.
- Myślę jednak, że śmierć jest kwestią czasu.
- Jak zwykle, Patryku. Doktor nabrał powietrza do płuc:
- Takie przebudzenie jest prawie jak...
- ...cud. Mógłbym ją zobaczyć?
- Nawet nie wiemy, czy jest katoliczką. Nie może mówić, nie kojarzy, nie prosiła o ostatnie sakramenty.

- Ja proszę.

Cisza.

- OK, proszę księdza, może ojciec odwiedzić moją pacjentkę.

Doktor pomógł Turriniemu wstać.

- Namów siostrę, by ochrzciła dziecko. To pierwsza przeszkoda dla diabła - szepnął egzorcysta w piegowate ucho.

Nie potrafił określić wieku kobiety - mogła mieć równie dobrze lat czterdzieści jak sześćdziesiąt, ale raczej czterdzieści; ani jak z nią jest: dobrze czy źle. Wszystkie ślady upadku zniknęły. Oczy miała półprzymknięte, a spod wysuszonych powiek błyskały wywrócone białka, opuchnięte ręce leżały nieruchomo na szpitalnej pościeli. A więc to ty, pomyślał Turrini - i właśnie wtedy jedna z nieruchomych rąk złapała go jak w kleszcze.

Jęknął bezgłośnie, by nie wystraszyć tych, co zostali za drzwiami.

- Spokojnie - zanucił.

- Ona...

- Słucham? - zdało mu się, że się przestyszał.

- Ona... Ty wiesz... Przed ostateczną Paruzją...

- Pani nie może się męczyć - nie zrobił nic. Nie wstał, by pobiec po pomoc.

- Ja uciekam... Przed... Moja Pani przyszła... Ja... Boję się - jej twarz pozostała nieruchoma; prawie martwa.

Wewnątrz salki rozszedł się zapach lilii i fiołków, ciekawe czy tak mocny, by tamci na zewnątrz też poczuli? Umierającą i kapłana skrywał biały, papierowy parawan.

- Bóg ci wybaczył.

- Wyrzekam się złego ducha - łza rozpaczy spłynęła po policzku.

- Zaznasz spokoju.

Była odłączona od monitoringu, więc słyszał jej słabnący oddech.

- Ocal mnie przed CÓRKA.

- Musisz wyznać mi jej imię... Musisz. Wydawało mu się, że umarła, ale nie... W tej skorupie wciąż płonął ogień.

- O czcigodna Królowo nieba

i Pani Aniołów,

Ciebie, która otrzymałaś od Boga moc

i misję zmiżdżenia głowy szatana,

prosimy pokornie,

abyś zesłała nam niebiańskie zastępy,

aby na Twój rozkaz przepędziły złe duchy,

walczyły z nimi wszędzie,

stłumiły ich śmiałość

i zepchnęły je do otchłani.

Amen.

- CAROL... Antychryst ma na imię Carol - powtórzyła pełnym zdaniem.

Turrini pokiwał głową:

- Dziękuję.

- Ojciec? - jej palce pogłaskały jego dłoń. Reszta ciała była nieruchoma i sztywna. „Ile minut jej jeszcze pozostało?”, pomyślał. - Ojciec, wciąż się boję.

- Przeprowadzę cię. Oto plan ucieczki...

Zaśmiała się cichutko.

- Gdyby ojciec wiedział...

- Wiem.

Umieścił święty obrazek Płonącego Serca Maryi na zapadniętej piersi i zaintonował:

- Trwając w łączności z papieżem i biskupem, wspominając z wdzięcznością nasz chrzest i bierzmowanie, wyrzekamy się szatana; jego dzieł oraz czarów.

- Wyrzekamy się.

- O Maryjo, bez grzechu poczęta.

- Módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy.

- Święty Michale Archaniele, broń nas w walce. Przeciwno niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź naszą obroną. Niech Bóg go poskromi, pokornie prosimy, a Ty, Książę wojska niebieskiego, szatana i inne złe duchy, które na zgubę dusz krążą po świecie, mocą

Boga strąć do piekła.

- Amen.

Znużony wyszedł za parawanu. Doktor Patryk nie wlepił już oczu w szklane drzwi, tylko jakby od niechcienia flirtował z chińską pielęgniarką. Ksiądz wszedł między nich, oparł się o ramię wychowanka:

- Twierdziłeś, że nie może mówić?

3.

Potworny ból głowy. Migrena spaceruje pajęczkami po policzku, a potem wbija się w dziąsło. Skronie wyją.

Za dużo światła! Precz ze światłem!

Żołądek wywija kozła i w dzikim maratonie podbiega pod same gardło. Poranne mdłości. Takie było przebudzenie.

Obudził mnie odgłos wymiotów, którego nie mogła zagłuszyć puszczone z kranu woda. Miejsce na łóżku obok mnie było puste i chłodne. Wyobraziłem sobie Carol, jak nachyla się szarpana mdłościami nad umywalką. Pot rosi jej czoło. Pot i lodowata woda, lecąca z kranu, przyska na boki. Na ściągniętą twarz kobiety.

Owinałem się prześcieradłem i podszedłem pod drzwi łazienki. Zastukałem.

- Carol, kochanie, nic ci nie jest?

Chora dziewczyną ucichła; a po chwili przez wodę, rozległ się cichutki jęk.

- Carol?!

- Odejdź. Nic mi nie jest.

- Właśnie słyszę.

Zakręciła kran.

- Mam migrenę - powiedziała słabym głosem.

- Mogę ci pomóc?

- Jak?! - spytała, a za moment dodała. - Idź, pościel łóżko. Zaraz wychodzę.

- Już ci lepiej?

Dobiegł mnie jej śmiech:

- To przechodzi.

- OK - pomachałem „obronnie” rękami; tani gest dla siebie samego, bo Carol nie mogła mnie zobaczyć.

Do sypialni wróciła po dobrej godzinie. Błada i wymęczona; z podejrzaną plamą na koszuli, o której jej nie wspomniałem. Carol położyła się na gołym łóżku i zwinęła jak pogrążony w nieświadomym letargu embrion w brzuchu matki. Pomyślałem, że śpi. Przestraszyłem się, bo nie wiedziałem, co mam zrobić sam ze sobą, pośrodku jej intymności, pośrodku jej oddechu... W końcu położyłem się przy plecach Carol, myśląc o tym, że nie mogę nawet drgnąć. Bezruch i cisza.

- Nie śpię - powiedziała nagle Carol.

- Myślałem, że śpisz.

- Tak, ale nie spałam.

Odetchnęła głęboko:

- Opowiedz mi coś.

- Co ja ci mogę opowiedzieć - palcami odnalazłem jej szczupłe ramię i głaskałem je. Wygrywałem niczym pianista fugi na solniczkach obojczyków. Piersi wciąż nie odważyłem się dotknąć; zadowalała mnie wilgotna pacha. Jej cudownie wyprofilowane wgłębienie. - Znasz wszystko co ja wiem.

- Tak, ale ja nie chcę byś mnie zaskoczył, Daniel. Chcę, żebyś mówił.

Wychowaliśmy się razem, potrafiliśmy odtworzyć z pamięci nasze linie życia przecinające dłonie. Znaliśmy swoje upodobania i antypatie. Wspomnienia budziły te same kolorowe obrazy w naszych mózgach. Łudziłem się, że już nie można być ze sobą bliżej niż my byliśmy. Opowiedziałem jej o tym, jak matka kupiła mi wielkiego i żółtego pluszowego psa. Ogromnego z punktu widzenia trzylatka, jakim wtedy byłem. Z trudem zmieszczono go do mojego łóżeczka, ograniczonego drewnianymi szczobelkami. Pamiętam, że mama ze swoją matką, która akurat wpadła w odwiedziny poszły do kuchni, żeby coś przyrządzić. Założę się, że „coś” bardziej porywającego niż kleik dla niemowląt. Kobiety zapomniały o mnie. Wspiąłem się na grzbiet nowopoznanego żółtego kumpla. Po raz pierwszy łóżeczko nie stanowiło dla mnie ograniczenia. Balansowałem ciałem ponad barierką, aż w końcu przeważała dziecinna nieproporcjonalna głowa i wypadłem na dywan. Oszołomiony upadkiem, nie wybuchnąłem płaczem, tylko potoczyłem się pod łóżko. Kiedy matka i babka przypomniały sobie o mnie, w niebieskiej pościeli znalazły tylko żółtego psa. Mama była

przekonana, że mnie porwano. Zadzwończy na policję.

- I co? - spytała, jakby po raz enty nie wysłuchiwała tej samej historii.

- I nic. W końcu któraś wpadła na pomysł, żeby sprawdzić pod łóżkiem.

- Gdzie znalazła uśpionego aniołka. - Podciągnęła się i usiadła. Skrzywienie ust. - Muszę wypić jeszcze jedną aspirynę. Nie... Nie, może jednak lepiej będzie jak wyjdę na dwór.

Wzruszyłem ramionami.

- Kiepski z ciebie gawędziarz - powiedziała.

Nic nie zapowiadało burzy śnieżnej. Zerwała się bez ostrzeżenia, bez żadnej lodowej zadymki. Zamrożony ułamek kropli wody wpadł mi do oka i poczułem szarpiący ból, a potem wilgoć. Przerazony skierowałem palce do twarzy. Kropla ciepła. Oblizalem opuszki, zamiast spodziewanego gęstego i metalicznego smaku, poczułem sól na palcu. Odetchnąłem z ulgą. Kiedy znalazłem w sobie tyle siły by otworzyć załamane oczy, zorientowałem się, że moja towarzyszka zniknęła. Zupełnie jakby była utkana z burzowej zamieci.

- Carol! Carol! - wykrzykiwałem w biały mrok. Wciąż czułem zapach perfum, których nazwy nie potrafiłem zapamiętać.

Na język powrócił smak gęstego, dojrzałego miodu, który należy czerpać łyżkami.

Pierwsza śnieżka rozbiła się na pole mojego płaszcza. W środek niej wciśnięty był kamień. Oko zapiekło. Rozejrzałem się pośród bieli; ten zmarznięty na kość grubas biegł chybotliwie jak kaczką. Kaczka zasłaniająca się przed uderzeniami śniegowego świtu płachtą gazety.

Druga śnieżka trafiła mnie w skroń. Zachwiałem się.

- Kurwa mać - jęknąłem.

Nie miałem wiele czasu na rozpamiętywanie pierwszego bólu i pierwszego zaskoczenia; zapomnianego smaku dziecięcego upokorzenia, kiedy posypały się na mnie gromy. Gromy. Bez litości.

Twarde kule śnieżne uderzały ze wszystkich stron i bez chwili wytchnienia, jakbym miał stado diabłów za przeciwników. Łzy i lepki śnieg pokleił mi oczy, kołysałem się zgięty w pół, nie wiedząc, czy upaść na czworaki i czołgać się podobny do zranionego psa, czy w samobójczym odruchu, może nawet licząc, że przestraszę przeciwników, wyprostować się i zacząć rozdáwać pięściami próżne ciosy.

Wszystko ucichło równie nagle jak się rozpętało, niczym kaprys przyrody; ale nim nastąpiła cisza, usłyszałem cichutki chichot Carol.

CAROL?!

Podeszła do mnie jak gdyby nigdy nic. Policzki miała zaróżowione. I uśmiechała się.

- Jak widzę, przeszła ci już migrena - powiedziałem cierpko.

Nie wiedziałem na co się zdecydować: otrzepywać płaszcz ze śniegu czy tamować krew na rozciętym policzku. Chciałem ukryć nawet przed samym sobą, że byłem podniecony. Podniecony jak mały chłopiec.

- Chyba się nie gniewasz?

Nie odpowiedziałem.

Wzięła moją nieogoloną twarz w swoje zziębnięte od lodu ręce i pocałowała.

Dziewczyna mogłaby być nową wersją dziewczynki z zapalkami: wielkooka i pyzata. Zapłakana i przestraszona. Zgubiona. Mogłaby być bohaterką baśni Andersena, gdyby nie to, że wcale nie wyglądała na ubogą. Wystające spod czapki blond loki lśniły jak nawoskowane; wypielęgnowane koncentratem protein i ceramidów, czymś takim... Mała, w swoim jasnym futerku, nie wyglądała też na zmarzniętą. W dłoniach zamiast zapalek ścisnęła - co wydawało mi się kompletnie absurdalne - srebrny termosik. Dziewczynka z gorącą herbatą. Zamieć zmiotła patrolę policji do irlandzko-włoskich kafejek i tajskich restauracji skuteczniej niż gangsterska wojna, dlatego też nikt nie zwrócił uwagi na dziecko. Nikt poza Carol.

- Zgubiłaś się?

- Spytaj ją raczej, co smacznego ma w tym termosie.

- Mama nie pozwala ci rozmawiać z nieznajomymi? - Carol przyklękła na jedno kolano, teraz twarze jej i dziewczynki zrównały się. Popatrzyły na siebie. - Rozumiem twoją mamę, tylko, że ja nie jestem obca. Znamy się. Zapewniam cię, że znamy się od urodzenia.

Zadrzałem z zimna i jak ostatni frajer zacząłem rozglądać się za policjantem.

- To wszystko prawda. Spróbuj zgadnąć jak mam na imię.

Odwrociłem się ku nim. Wyglądały jakby świat poza nimi przestał istnieć.

- Carolina? - powiedziała mała.

- Prawie. Jestem Carol. A ty?

- Lucia.

- Co się stało, Lucia?

- Zgubiłam się. Wyszliśmy z rodzicami na zakupy i oni zaczęli się kłócić, bo mama chce, żebym miała braciszka, a tata mówi, że „wystarczy, wystarczy skończyć swoje zapędy na jednym... bachorze”. I spodobała mi się jedna wystawa, zaczął padać śnieg i...

- Zgubiłaś się.

Energiczne kiwnięcie głową, tak, że pompon przekreślił się z potylicy i uderzył o wysokie

czoło.

- Daniel, musimy ją odprowadzić - powiedziała Carol i puściła do mnie oko, jakby znowu świetnie się bawiła. Żywa reklama skuteczności kwasu salicylowego.

- Zaprowadzimy ją na pierwszy lepszy posterunek - miałem dość tego dnia.

- O nie, nie możesz być taki okrutny. Zaprowadzimy Lucie do domu.

Tylko gdzie Lucia miała dom? Oto jest pytanie. Pytanie godne filozofa. W każdym razie Lucia tego nie wiedziała. Wiedziała tylko tyle, że nazywa się Lucia Mendez. Jej ojciec ma na imię Antoni, mama jest mamą. Ma kotkę Persefonę i jest z pochodzenia Włoszką (choć nazwisko wskazywało inaczej), a Włochy to takie państwo, co ma kształt buta.

- Tata jest dziennikarzem.

- Pewnie sportowym - mruknąłem.

- Politycznym - poprawiła mnie Carol.

Miałem odwagę, żeby to zignorować. Nachyliłem się do dziewczynki.

- I naprawdę nie znasz adresu, pod którym mieszkasz?

Na bardzo dorosły sposób potrafiła wzruszać ramionami.

- Powinno im się zakładać takie identyfikacyjne obroże, jak pieskom...

- O co tyle hałasu? Znajdziemy - Carol wzięła małą za rękę i oddaliły się ode mnie.

Wydawałoby się, że dziewczynka skłamała i teraz jednak prowadzi - zwierzątko instynktownie odszukujące drogę do swojej norki. Nie była to prawda. Patrzyłem zaciekawiony na linię jej bordowych kozaczków z hiszpańskiej skóry i na buty Carol. Czubki tych ostatnich - czarnych - przy każdym kroku wysuwały się do przodu. Nadawały ton. Zdarzyło się, przy jednej czy drugiej przecznicy, że zatrzymywały się na dłuższy moment, żeby zwęszyć trop. A potem...

„Dziewczynka z termosem” mieszkała w centrum, w bogatej, starej dzielnicy niewiele oddalonej od ratusza. Dziewczynka przystanęła gwałtownie, tak, że szarpnięte ramię musiało Carol zboleć. Patrzyła swoimi wielkimi oczami sierotki na front białego, piętrowego domu. Przy kolumnadzie stała jakaś para i najwyraźniej się kłóciła. Wysoka blondynka w kaszmirowym płaszczu próbowała zejść po schodach, ale przytrzymał ją szczupły facet w samym swetrze.

- To mama i tata - oznajmiła Lucia. - Kłóć się.

- Raczej martwią się o ciebie.

- Tak myślisz, Carol? - w źrenicach dziecka zapaliły się niebezpieczne błyski.

- Nie powinniśmy jej dalej odprowadzać. Stąd trafi - powiedziałem.

Carol pokiwała głową:

- Idź, Lucia.

Bez rezultatu.

- Lucia, idź.

Blondynka zamachnęła się rękawiczką na męża. Nagle wydało mi się to okropnie zabawne i parsknąłem śmiechem.

Dziewczynka wciąż się ociągała z odejściem.

Wreszcie Carol popchnęła jej wątłe łopatki i Lucia ruszyła do rodziców. Nie czekając na kolejny krok, obróciliśmy się i ruszyliśmy przed siebie.

- Skąd wiedziałaś, że ta mała tu mieszka? - spytałem Carol

Wzruszyła ramionami.

Poczułem jak miłosne uczucie we mnie narasta, i byłem wdzięczny Panu Bogu, czy komukolwiek innemu za to, że żyję.

4.

Ja, Carol

Psy. Nie były to zwyczajne bezpańskie psy, które rozgrzebywały śmietniki przy tanich restauracjach albo rzucały się na ulicznego kota. Sfora dzikich psów. Wyszłam na nocny spacer, jak to miałam ostatnio w zwyczaju (sama, mój sługa spał). Szłam zamarzniętym chodnikiem, ślizgałam się po nim, jakbym miała sześć lat, a zza rogu miałyby wyjść tatuś i miałabym wpaść w jego ramiona - i było to przyjemniejsze od powietrznych spacerów. Zagalopowałam się, a kiedy wąska i ciemna ulica, jakby rodem nie z tego miasta skręciła w park, wypadła na mnie sfora czerwonoookich potworów. Przewodził im czarny doberman z nieprzyciętymi uszami, a jego królową była rottweilerka z mieniącym się tatuażem na łopatce (numer) oraz śladami ugryzień na pysku. Za nimi postępowały zdziczałe kundle i wilczury. Jeden pudel i dalmatynka. Dog. Dog, oczywiście... Warczały, na wszystkie możliwe tony, ale nie było w tym melodii ostrzeżenia. Weszłam na ich teren i teraz chciały mnie zabić. Rozszarpać. Głodne - wyssać szpik z moich kości.

Rzuciłam się do ucieczki. A że zawsze bałam się psów, ludzka część mnie spanikowała i nie mogłam wnieść się pod obłoki. Psia ślina opryskała moje łydki. A przecież pamiętałam, że jeśli widzisz wściekłego psa, nie możesz uciekać, bo bardziej go tym jeszcze rozjuszysz. Woń twojego strachu jest dostatecznym wyzwaniem. Bałam się.

Diabeł nie może się bać, jeśli chce zostać Panem tego świata. Diabeł nie może się zakochać... Wyobraziłam sobie szpecące blizny, ślady od ugryzień na moich nogach, a jeśli zdołałyby mnie przewrócić, również na twarzy, która była piękna i nieludzka. Zawrzał we mnie gniew. Psy musiały go poczuć. Moje uszy usłyszały drapania starających się wyhamować na lodzie pazurów. Przewodnikowi stada nie udało się to i podciąłby moje ciało, gdybym nie uniosła się w powietrze. Zaskomlał, a przez jego uszy przeszedł dreszcz.

„Zabiję cię”, pomyślałam. Pomyślałam i zrobiłam to. Jego wypielegnowana rękami hodowcy i stwórcy, grafa von Dobermana czaszka eksplodowała w smrodzie ugotowanego mózgu, dymu i ognia. Bezgłowe smukłe ciało zrobiło jeszcze dwa kroki do przodu, a potem upadło i natychmiast zaczęło przymarzać do gruntu. Rottweilerka zapłakała żałościwie, ale korzystając z nagle darowanej władzy dała znak reszcie sfory, żeby ta rzuciła się do ucieczki, co psy posłusznie uczyniły. Sama została minutę lub dwie - odrzuciła głowę do tyłu, aż na tatuaz i zawyła. Zawyła piękniej niż zabrzmiałby jakikolwiek renesansowy tren. Odbiegła.

Kiedy patrzyłam jak znika jej czarny grzbiet i mięsiste pośladki, wróciła do mnie pamięć ojca, który ratuje mnie wynosząc spod szczęk tamtych dwóch dogów, z którymi na łące, w pewien słoneczny niedzielny poranek pragnęłam się zaprzyjaźnić.

Choć starałam się jak mogłam, nie potrafiłam przypomnieć sobie twarzy taty. We wspomnieniu okalała ją mgła. Och tato, gdzie teraz jesteś?

Całkowity brak „pamięci do twarzy” odkąd pamiętam (i dokąd pamiętać będę) był gnębiącą mnie zmorą. Kiedy spotykałam, lub kiedy przedstawiano mnie mężczyźnie, który mi się podobał (a było to rzadko) starałam się namówić go, by pozwolił się dotknąć. Zawsze się zgadzali. Wtedy wyciągałam ręce i wędrowałam opuszkami palców po ustach, które pragnęłam, by mnie całowały. Po nosie, którego kształt mnie podniecał. Po powiekach skrywających oczy, a którym pozwalałabym się oglądać taką, jaką jestem. Po czole. Po brodzie, która świadczyła o mężczyźnie i po policzkach, w których kształcie wciąż ukryty był mały chłopiec.

- Czemu mnie dotykasz?
- Chciałabym zapamiętać twoją twarz.
- Dlaczego?
- Och, bo mój wzrok nie potrafi zapamiętać. Zwłaszcza twarzy.
- I ta twarz mi się podoba...
- I chciałabym zapamiętać kształt uniesienia...

Mężczyzn, w ogóle ludzi, a dalej anioły i demony zawsze potrafiłam rozpoznać po

zapachu - w pierwszym przypadku po ciemnym, piżmowym zapachu płci. W kolejnych: po różanym aromacie skrzydeł lub ciężkiej woni sierści, pachnącej jak mokre owcze runo. Owcze, bo legendarnego zapachu kozy i siarki nie czułam nigdy - nawet od siebie...

Potem, na jakimś wieczornym spacerze z Danielem (mężczyzną, którego twarz jeszcze poznawałam) trafiliśmy na polski kościół i żywą szopkę przed nim. Nie było zbyt zimno i zwierzęta wyglądały na zadowolone i spasione. Spasione słodyczami, rzecz jasna, które z nużącym nawykiem przynosiły dzieci mające za nic słowa, że jedzenie piernika niekoniecznie może być dobre dla osiołka.

„Święty Józef miał minę, jakby zdominowała go ogłuszająca ochota podrapania się po pośladkach, a „Miriam” przysypiała. To ostatnie było dobre - wynajęta z agencji statystka rzeczywiście wyglądała jak młoda kobieta znużona niedawnym porodem.

- „To najpokorniejsze stworzenie ze wszystkich, a ja jestem pyszny. Jest najbardziej posłuszna, a ja jestem najbardziej zbuntowany. Jest najczystsza, a ja jestem najbardziej splugawiony”.

- Co?! - spytał Daniel.

- Tak powiedział pewien egzorcyzmowany demon. Uważam, że kłamał. - Roześmiałam się. Ludzie wokół popatrzyli na mnie życzliwie, jakbym radowała się z bliskości świąt, a przede wszystkim z Narodzenia Pańskiego.

Popatrzyłam na zakatarzoną „Miriam” - nos miała jak skocznia narciarska.

- Założę się, że była ładniejsza - wskazałam palcem. Szmer. Szmerek zdeorientowanych głosów. Miriam ziewnęła.

- A dziecko?

- Jakie dziecko?

- Jezus.

- Nie ma żadnego dziecka.

Daniel popatrzył na plastikową lalkę udającą święte niemowlę i wiedziałam, że nie myśli o tym samym co ja. NIE MA ŻADNEGO DZIECKA. JEGO CZAS SIĘ SKOŃCZYŁ.

(nie wysłany list do Daniela)

Żałuję, że nie umiem grać na skrzypcach. Że nikt mnie nie nauczył. Nie szkolił od dzieciństwa serca, uszu, palców - że nie nabawiłam się od długoletnich ćwiczeń zgrubienia na brodzie.

Żałuję, że nie umiem rysować. Wychowałam się z albumem Michała Anioła (czy to nie rozkoszne?) pod poduszką, a nie potrafię nadać papierowi żadnej sensownej linii.

Żałuję, że nie umiem tańczyć.

Żałuję, że żaden mężczyzna ani kobieta nie nauczyli mnie żeglować.

Wiem, że kiedy Przemiana będzie pełna zdobędę te umiejętności jednym życzeniem wypowiedzianym w myśli. Czy przyjemność z nich płynąca będzie inna, niż gdyby były wypracowane? W końcu czy CÓRKA będzie miała czas na takie rozrywki? Czy nie powinna zająć się zdejmowaniem królów z tronów i prezydentów z foteli? Zastanawiam się, ile jest we mnie Carol, a ile Tamtej, wyczekiwanej przez świat. Chciałabym cierpieć na osobliwą schizofrenię, co by dodało moim losom odrobiny romantyzmu, ale tak nie jest. Jestem Jednością.

Przygotowana w sposób naturalny na Zmianę przyjmuję ją z rozkoszą, bez obaw i bez dąsów. Jestem silna i wiem, czego chcę - można mi zazdrościć. O co zapytam, będzie mi odpowiedziane. Trwam. Nie mam marzeń tylko plany i żadnych wątpliwości. Diabłu zawsze bliższa była twarda rzeczywistość od bujania w obłokach. Niedługo powstanie Mój Kościół, niedługo wybiorą Jedenastkę (jednego - Daniela - mam już od wieków) i nikt mnie nie powstrzyma. Kapłani, którzy chronili mnie od cielesnego urodzenia, modlą się do mnie teraz. I mam jeszcze OJCA, innego od ziemskiego, który ma na każdy mój gest, każdy oddech swoje baczenie. Panie! Panie! Panie! Panie! Panie! Głos jego nieśmiertelny płynie z mojej głowy. I jego śmiech. Śmiał się ze mnie, całkiem niedawno, kiedy zobaczył na moim biurku odbitkę sztuchu przedstawiającą Katarzynę ze Sieny w chwili, kiedy otrzymuje stygmaty. Czemu ona? Bo jak i ja, ona od dzieciństwa wiedziała jakie czeka ją zadanie. I spełniła je. Mogłybyśmy być siostrami, ale dobrze, że to nieprawda, bo w przeciwnym razie musiałabym ją zabić. Chciałabym ją zabić. Prochy Katarzyny czas dawno rozrzucił na wietrze. Katarzyna, święta czy nie, nie istnieje. Co by pomyślała, gdyby wiedziała, że jej portret w swoich szpejach przechowuje Antychryst? Straciłaby wiarę.

Muszę bardzo się nachylać nad rysunkiem, żeby wpatrzeć się w rany od gwoździ pośrodku jej rąk. Wejrzeć w nie jak w wydrukowaną otchłań zastarzałego tuszu. Mgła. Mam wadę wzroku, kiepsko widzę z bliska, ale nikt nie oczekuje ode mnie doskonałości - przynajmniej do czasu, kiedy nie wtrąci się w to wszystko Człowiek. Skrzypce, grafit lub sangwina, wyrachowany krok i obrót, żaglówka oraz oczy dobrze załamujące światło.

Moja matka nie oddała mnie przed urodzeniem świątyni; mojej matce zwiastowano, że urodzi Szatana. Czemu rozchorowała się zamiast być dumną?

Czasami jeżdżę w odwiedziny do matki (tak, moja matka żyje) i zawsze wygląda to tak samo. Daniel, spocony i przejęty odprowadza mnie na sam dworzec autobusowy, całuje w

usta, przytrzymuje za ramię. Zastanawiam się: czy on oczekuje, że będę drzeć?

Rozglądam się. I widzę parę, różne pary, ale dla mnie złały się w jednego dwugłowego potwora, parę archetypiczną, która liże się. Języki wykonują ekspresyjny balet w gościnnych ustach. Chłopiec - nawet jeśli jest grudzień i mróz jak teraz - podnosi partnerce sweter i wpycha ręce pod napęczniałe piersi. Dziewczyna, przestraszona czy aby na pewno nikt nie podgląda, ubija i uklepuje nabrzmiałą męskość w dżinsach. Trwa to i trwa, choć wstrzemięźliwość ani techniki opóźnienia orgazmu nie są najmocniejszą stroną młodych. Myślę, że ich pożądanie, ogień są tak wielkie, że szczytują raz za razem.

Daniel całuje mnie po raz drugi - czuję zapach jego taniej pianki do golenia. Kupuje bilet u kierowcy i troskliwie, jakbym była lalką z porcelany, odprowadza do miejscówki. Torba (niezbyt duża, jadę przecież na jeden dzień) ląduje na półce. Kierowca wyprasza gości i już odjeżdżam.

- Jestem z tobą - mamrocze Daniel, jakby było mi to potrzebne.

Osiem godzin później kierowca pozwala mi wysiąść tuż przed szpitalem. Nie idę tam od razu; pierwsze kroki kieruję do miasteczka, które było niegdyś bazą wojskową i w podoficerskim hoteliku melduję się. Recepcjoniście wydaje się, że mnie poznaje, a przecież przyjeżdżam tu dwa razy w roku, na święta (odpada Święto Dziękczynienia).

Mama czeka w oranżerii wybudowanej staraniem władz i w ogóle mnie nie poznaje.

- Cześć mammo. Wiesz kim jestem?

- Dlaczego tym kimś się stałam?

- Dlaczego pozwoliłaś?

- Dokonało się...

Patrzy gdzieś przed siebie. Przy nodze majta jej się pojemnik na mocz. Zawsze zacewnikowana. Zawsze na wózku. Od dawna niema i głucha.

- Hej! Jest tam kto?! - mam ochotę krzyknąć jej prosto w oczy. Skorupa. Widać po niej ślady dawnej urody jak po stłuczonej wazie z dynastii Ming.

Wczesny przypadek Alzheimera. Szybko przestała poznawać się w lustrach, za to zaczęła uciekać w miejsca, które zna i pamięta tylko ona - był czas, że musieli przywiązywać ją do łóżka. Później zapomniała, jak się je. Przyniosłam bułkę z jagodami; rozsmarowała ją sobie na szyi. Skóra zaczęła lśnić od lukru i kleić się. Co by zrobiła z hostią? Tak, ruina. Pustka.

Pchnęłam.

Pcham - po to tu jestem.

Pcham myślą, wyczekując jakiejś reakcji.

Głowa opada jej na pierś.

Odchodzę.

Skończyłam.

(Zapał się brzuch, który nosił Diabła. Ręce, które kołysały Carol).

Recepcjonista próbuje umówić się ze mną na randkę. Odmawiam. Daniel czeka.

Mam nową przyjaciółkę.

To Lucia, lat pięć. Kiedy mogę, to ją odwiedzam, ale zwykle nocą. Noc jest dobra.

Dzisiaj.

Okno było otwarte. Dziewczynka czekała. I uśmiechała się... Szeroko uśmiechnęła się na mój widok, kiedy cicho stanęłam na parapecie. Lucia - błękitne oczy i popielate włosy, jak u aniołka; duma włoskiej rodziny.

- Jako cień jesteś - zachichotała.

- Witaj, Lucio.

- Mamo, mamó, mamó.

Przycisnęłam ją do płaskiego łona. Była moja.

- A to kogo? - w półmroku dojrzałam opalizujący jak skrzydło ważki damski szal.

- To... mamy.

Przycisnęłam cienki materiał do ust. Pachniał krystalicznie i słodko Armanim. Zmysłowość uporządkowana.

- Choć - powiedziałam. - Bo jeszcze ich obudzimy.

Bez chwili zastanowienia podała mi dłoń. Bez obrzucenia - globusa, komputera, kojca z zabawkami czy nawet akwarium z wdzięcznymi skoczkami pustynnymi - nawet jednym spojrzeniem. Spodobało mi się to.

Wyobraziłam sobie jej rodziców, którzy pieprzą się i w tym wspólnym sapaniu próbują zapomnieć o porannej kłótni.

Chciałam, żeby wzięła płaszcz, ale potem zrezygnowałam.

- Pośpieszmy się dziecko - zrobiliśmy razem krok w powietrze. I znowu się uśmiechała.

- Bóg? - wskazała wolną piąstką na gwiazdy.

- A chciałabyś, żeby tam był?

- Tak.

- To może jest. - Zrobiłam pauzę. - Ale po co tak daleko szukać? Może jest tuż obok.

Włamywałyśmy się niczym mgła do sklepików, by Lucia mogła godzinami wyjadać lody z lodówki i podgryzać cukierki. Umazana czekoladą i śmietaną błada buzia. Oczy wółprzymknięte z wielkiej rozkoszy.

Raz czy drugi zabrałam ją do sklepu zabawkarskiego, żeby się pobawiła; ale płakała, kiedy mówiłam, że musimy już wracać, a ona nie może nic sobie zatrzymać. Zabawki nie da się zjeść, a ja nie chciałam, by dziecku zadawano niezdrowe pytania. „Skąd to masz, Lucia?” To ja wymyśliłam sobie przyjaciółkę i to ja ją stracę, kiedy przyjdzie na to pora.

- Boisz się? - spytałam, kiedy w płatkach śniegu tańczyłyśmy nad dachami domów. Kiedy pokonałyśmy wysokość najnowocześniejszych biurowców.

- Nie, mam. Mamo, mam, mam...

I wleciałyśmy jeszcze wyżej... W sumie to wcale nie chciałam mieć dzieci. Nie byłam Rosemary. Jedynym moim grzechem była nuda.

- Oj Lucia, Lucia, a może ty nie jesteś z mojej krwi.

Zadrzała. Była lodowata pod sukienką; jakby już zamarzła. Królowa Śniegu i Dziewczynka z Zapalkami. Pyszne, co za bajka!

5.

Daniel i ojciec Turrini

Ktoś ich śledził.

Odprowadził Carol do domu i wyłgał się urojonymi obowiązkami przed zostaniem. Nie nalegała. Podała mu usta do pocałowania, takie gorące, że aż zawahał się, czy dobrze robi odchodząc.

W każdym razie, jeśli chodzi o „pierwsze” nie mylił się. Mężczyzna stał naprzeciwko domu Carol i zadzierał głowę, patrząc, gdzie zapalają się światła. Stał jak kołek, nawet nie próbując się ukryć; nie uskokzył też przed ciosem, który zadał Daniel.

Nieznajomy rozładował impet pięści młodzieńca, błyskawicznie łapiąc ją przy samym nadgarstku. Daniel poczuł na pulsujących krwią żyłach dotyk pergaminowej skóry, starej i suchej jak pieprz.

Starość i szybkość, ruchów zwykle nie szła w parze.

- Czemu za nami łazisz?

- Jestem księdzem.

Nagle obu mężczyznom ta odpowiedź wydała się niesłychanie śmieszna.

- Chodźmy stąd - ksiądz zabrał Daniela spod okien, tłumiąc narastający w nim, zmęczony chichot. - Nie będzie dobrze, jeśli nas zobaczy razem - szepnął.

- Czy wśród księży nie ma zboczków? - spytał Daniel, puszczając słowa tamtego pomimo uszu.

- Wstydzę się.

- Więc może powinienem cię uderzyć?

- Przecież próbowałeś - skrzywił się w uśmiechu. Wciąż bolała go blizna na piersi.

„Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, błogosławionaś pomiędzy niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twego, Jezus...”

- Jestem ojciec Turrini.

- Jak masz na imię, ojczcie Turrini?

- A ty? Nazywam się John. To osobliwe imię, osobliwe jak na włoskiego księdza. Zawdzięczam je swojemu ojcu: pierwszą rzecz, jaką zrobił po wyemigrowaniu z Sycylii, było zakochanie się w westernach z Johnem Waynem. Dopiero w drugiej kolejności zakochał się w mojej matce.

- Musisz być młodszy niż myślałem.

- Myślałeś...?

- Daniel Leiber.

- Daniel. Twoje imię - powiedział, trącając drzwi irlandzkiego pubu, który właśnie mijali. Knajpa miała zaparowane szyby, na których smętnie zwisały różnokolorowe lampki - ... *Dâni'el* oznacza „Bóg jest sędzią”... To imię biblijnego proroka, który przeżył w jamie pełnej lwów. W każdym razie, przyjdzie ci synu stanąć przed trudnym wyborem. *Mane, thekel, fares.*

- Więc, czemu chodzisz za nami? - zapytał ponownie Daniel, kiedy czarnoskóry kelner postawił przed nimi dwa ciemne piwa.

- Chodzę za tamtą dziewczyną.

- Carol?

- Carol jest piękna... I „Carol” nosi na sobie pieczęć. Jest jej Skutkiem i Przyczyną. Przykre, mój synu, ale twoja przyjaciółka jest Diabłem.

Ave Satani. Świece z drogerii z naprzeciwiaka, dwadzieścia cztery sztuki, Ponacinane w pionowe wzory, pomarańczowe, czerwone, różowe (nie ma białych) pachnące stearyną i dodanym do niej - dla pobudzenia zmysłów - olejkiem brzoskwiniowym.

Carol zwinęła dywan i nadludzkim wysiłkiem - nadludzkim jak na tak drobną dziewczynę - przesunęła łóżko do kąta. Teraz na niedopasowanych, drewnianych klepkach, w załamaniach których kryją się koty kurzu, ustawia świece. Układa je w krąg - tak szeroki, by mogła się w nim ułożyć i rozkrzyżować ręce. Rozłożyła nogi. Ogień przy stopach, ogień przy głowie. Zużywa dwadzieścia cztery zapalki, ani mniej, ani więcej i już płomienie kołyszają się na knotach, jakby szeptały pomiędzy sobą.

Carol zdejmuje koszulę i naga wchodzi do kręgu. Deski pod potylicą, łopatkami, łokciami, pośladkami, piętami.

Och! Coś na kształt prądu elektrycznego przywiera do jej pępka i ta Noc nie ma już ani Końca, ani Początku.

Carol unosi się nad podłogą; jedna stopa, dwie, trzy. Dziewczyna lewituje. Wystarczy wyciągnąć delikatne, wychudłe palce, by dotknąć sufitu. Wystraszony pająk krzyżak, „pan” domu, ucieka po nitce pajęczyny do klosza zimnego żyrandola. *Ave Satani.*

Daniel i ojciec Turrini

- Szybko biegasz, mój synu - powiedział zasapany.

- Odwal się!

- Daniel, czy przyszło ci do głowy, dlaczego uciekałeś?

Cisza.

- Chodź ze mną, synu. Nie będziemy przecież rozmawiać na takim mrozie.

Daniel posłusznie ruszył za wychudzonym, a wciąż zwalistym księdzem. Ulica, którą szli była niedostatecznie oświetlona, więc raz czy dwa Daniel wpadł na plecy swojego przewodnika.

- To wymarła dzielnica, a ja poszedłem skrótem. Ufam, że nikt nie napadłby tu na Sługi Pana. Kiedyś mieszkali tu pobożni emigranci; dziś pomiędzy zaułkami i zakosami przybysze mnożą się jak muchy. Jak muchy, bo brak wiary sprawił, że nie są już błogosławionymi pszczołami na kwiatkach.

Daniel drgnął.

- Słyszałeś synu opowieść o Deborze?

Daniel poczuł, że ma uszy zaklejone jak woskiem, a serce bije mu głośno i nieregularnie. Słyszał napierającą na skronie krew.

Wyszli z zaułka na pustą przestrzeń, którą jarzyły odbite światła wielkiego miasta.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie ma jak dom, słodki dom - Turrini zaśmiał się nerwowo, kiedy stanęli przed małym kościołem przycupniętym na skraju placu. Skrzypnęła furka.

Świątynia była białym kubikiem, z fasadą łudzaco (i karykaturalnie, czego Turrini nigdy głośno nie przyznał) przypominającą kościół Il Gesu w miniaturze, wzniesioną bynajmniej nie barokowym rozmachem, tylko zapalem rąk i serc ubiegłowiecznych Irlandczyków.

Turrini wyjął pęk kluczy:

- Nie podoba mi się, że żyjemy w czasach, kiedy kościoły trzeba zamykać poza godzinami mszy. Ja jestem tu sam, a wiernych tylko garstka, więc rytuał Przemienienia odprawiam trzy razy dziennie.

- Nie ma ksiądz wikarego ani pomocników?

- Czasem przyjdą jakieś stare kobiety z kwiatami do ozdobienia ołtarza... Bóg o nas pamięta, Danielu - pokłonił się, adorując Serce Chrystusowe, którego wizerunek zamykał główną nawę. - Chodźmy. Do moich prywatnych pokoi przechodzi się przez zakrystię; jest tam mała dobudówka czepiająca się błagalnie murów. Nikt nie kłopotał się budową probostwa. Może to i dobrze, choć czasem onieśmiela mnie ta gwałtowna obecność Pana; jakbym wciąż i wciąż słyszał jego puls.

- Księdzu powinno to odpowiadać.

- Życie w obliczu świętości to wielki trud, ale i potężne błogosławieństwo.

- Ojciec - Daniel zatrzymał się gwałtownie. - Nie tędy prowadzi droga do zakrystii.

- Owszem, do starej zakrystii, przy ołtarzu NMP - i pchnął drzwi.

Ktoś musiał zadać sobie trud, by ukryć tę część kościoła, tak by nie była widoczna na planie. Daniela zaszczypało w oczy.

- I co widzisz, synu?

- Obraz.

- Jaki?

- Portret. Wizerunek Marii... I on...

- Co?

- Jej oczy, krwawią...

- Te oczy leją łzy. Na ramie ołtarza jest inskrypcja, fragment z Wulgaty. Potrafisz ją przetłumaczyć, Danielu?

- Nie, oczywiście, że nie - ciężko oparł się o klęcznik, w przeciwieństwie do Turriniego, w którego jakby wigor wstąpił.

- „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiądzzy ci głowę”. Bóg potępia węża w Księdze Rodzaju. Wąż począł ścigać Niewiastę obleczoną w słońce; a skoro nie dostał jej, zaczął dręczyć jej dzieci... NMP nie może na to pozwolić; jest największą pomocą egzorcysty. Jak myślisz, dlaczego Pani płacze?

- Dostrzegła tu Diabła - wykrztusił Daniel. Gwałtownie wyprostował się: - Nie, nie wierzę w to!

- Przynieś mi coś, co należy do Carol.

Drzwi wejściowe do kościoła trzasnęły, ktoś przyszedł pomodlić się nocą.

Daniel

Ręce miał związane majtkami Carol. Były skąpe - wstążki i wrzosowe koronki; wrzynały mu się w skórę. Czuł mrowienie w cierpiących palcach. Poruszył nimi i skrzywił się, słysząc trzask jedwabnych nitek.

- Rozmawiałeś z nim? Czuję, jak węży.

- Carol?

- Ciągłe tylko węży! - szarpnęła się, przesunęła palcami po piersiach wydrapując głębokie „X”. Opuchnięte zadrapania natychmiast podeszły krwią.

- Carol! - wrzasnął, wybijając ją z transu. Jego błyszczący, śliski członek sflaczał. - Carol, trzeba to przemyć...

Dała się posłusznie zaprowadzić do łazienki.

- Może szczytać - woda utleniona pieniała się na różowych rysach.

- Przepraszam, Danielu - Carol wzięła jego ręce w swoje i pocałowała.

Daniel otworzył pierwszą szufladę antycznego, żaluzjowego biurka, które „od zawsze” należało do Carol. Od razu znalazł to, czego szukał, ale spocił się jak mysz; i choć Carol zostawiła go samego w mieszkaniu (poszła po drobne spożywcze zakupy) bał się, że jest obserwowany.

Daniel i ojciec Turrini

Czuł się nieswojo, patrząc na krwawiący obraz. Trząśnięcie.

Pierwszy raz bał się kobiety.

Dwóch kobiet...

Ojciec Turrini przyglądał mu się uważnie.

- Przyniosłeś? - zapytał. Jego buty wzniecały kłęby kurzu. - Może ktoś powinien tu w

końcu posprzątać - powiedział w zamyśleniu.

- Od jak dawna ojciec ukrywa obraz?

Turrini nie przejął się zmarszczonymi brwiami Daniela. Czuł, że nawet jeśli nie znalazł w mężczyźnie sojusznika, to przynajmniej kogoś, z kim można podzielić się tajemnicą.

- Od lutego 1979 roku.

- Niech ojciec spojrzy, co przyniosłem - wyjął z torby ramkę. Ktoś oprawił czarno-białe zdjęcie może dwuletniej dziewczynki, spacerującej pomiędzy naśladowującymi słońce główkami mleczy. Nagle szybka pękła, ale szkło nie wypadło na podłogę. - To na pewno różnica temperatur... Taki ziąb... A w kaplicy duchota od tych wszystkich świec...

- Chciałbyś, żeby tak to wyglądało.

Ręka Daniela zsunęła się i zaczepiła o szkło, które głęboko rozdarło dłoń. Krew w zetknięciu z fotografią skwierczała i zamieniała się w czarny dym, który słupem unosił się ku stropowi.

- Spółkowałeś z nim? Spółkowałeś z Carol? Daniel zobaczył wirujący kłęb „ciem” przed oczami.

- Przyniosłeś coś jeszcze?

- A jak myślisz, święty ojczy?

- Daleko mi do świętości, a ty, Danielu, proroku, jesteś nieczysty.

- To - powiedział głucho i wyciągnął brudne, wrzosowe majtki.

- Kazała ci to wziąć?

- Nie.

- Czy kazała...?

- Nie.

- Daj.

Daniel poczuł, że zapada się w sobie. To uczucie...

- Nim zostałem kapłanem, byłem żołnierzem i też miałem kobiety. Wszystko jest kwestią wyboru. - Zbliżył się z fatalaszkiem Carol do świętego obrazu, lecz nim przekroczył linię wyznaczoną przez klęcznik, z oczu NMP wytrysnęła błękitna iskra i uderzyła we wrzosową koronkę, popieląc ją do cna.

Ojca Turriniego nawet nie osmalilo, jego ręce poczuły tylko skondensowany chłód górskiego strumienia. Rozsypał popiół po posadzce, mającej wzór szachownicy.

Ojciec Turrini

Telewizor cicho szemrał. Ojciec Turrini przeciągnął ręką po szpeciniastym policzku -

musiał golić się dwa razy dziennie: rano i wieczór. Brzytwa, modlitwa i spokojny sen, pomyślał. Och; jeszcze film na TMC, z Katherine Hepburn - „Złoto Szejenów”. Turrini nie potrafił przełknąć dawki przemocy i seksu na komercyjnych kanałach, emitujących nowości. Zwłaszcza nie potrafił przełknąć piguły seksu. W szufladzie pod Biblią i Modlitewnikiem trzymał zdjęcie Marilyn Monroe. „To” zdjęcie ze „Słomianego wdowca”, gdzie podmuch metra zadziera aktorce sukienkę, ukazując białe, bawełniane majteczki.

Majteczki z wrzosowej koronki. Poruszył się niespokojnie - łóżko zaskrzypiało.

- John?

Ledwo powstrzymał się od wrzasku. Stała tam pod oknem, a poświata księżycowa prześwitywała przez jej nagie ciało jak przez szkło.

- Rozczarowany? Przykro mi, ale Marilyn nie mogła przyjść. Jest trupem.

- Wynoś się stąd!

- Nie za mało przekonania jak na egzorcystę? - Carol założyła ręce za głowę i napięła mięśnie tak, że piersi zadrżały.

- Apage Satani!

- Zwykle tak krzyczysz na dziewczyny? Nie dziwię się, że musiałeś zostać księdzem...

Właśnie! Ta myśl uderzyła go jak błyskawica. Był księdzem. Księdzem! Kapłanem namaszczonym przez Boga; kapłanem namaszczonym Bożą Miłością i Miłosierdziem.

- Carol...

- Nie jestem Carol. Carol śpi koło tego nędznego pastuszka Daniela. Są bardzo, bardzo zmęczeni. Ty też tracisz dech, ojcze?

Odwróciła się tyłem i spoglądając na księdza figlarnie zza ramienia, zaczęła się leniwie zaspokajać. Idealna poza pin-up girl z plakatu na żołnierskiej szafce.

- Odejdź, sukkubie! Jesteś niewolnicą Carol i ojca jej, Szatana, z którym jest połączona w jedno; ale niczym są oni w obliczu Pana Naszego Boga w Trójcy Jedynej, bo on zgniecie ich i ukarze, kiedy przyjdzie na to Czas, jak od Początku Stworzenia mocą swoją dozwolił im żyć.

Mglista ręka z długimi, polakierowanymi na karmin paznokciami zatrzymała się w jamie ciała.

- Ty obleśny koźle! Ty hipokryto!!!

Odrzucił kódrę, licząc na to, że wybrzuszenie w spodniach od jego piżamy zdążyło zwiędnąć. „Wybacz Panie, niegodnym Twojego Królestwa”.

Nie zważając na sukkuba ukląkł i począł odmawiać modlitwę do św. Michała Archanioła - Generała Anielskich Zastępów.

*Święty Michale Archaniele broń nas w walce.
Przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha
bądź nam obroną.*

*Niech Bóg go poskromi, pokornie prosimy,
a Ty, Księżę wojska niebieskiego,
szatana i inne złe duchy,
które na zgubę dusz krążą po świecie,
mocą Bożą strąć do piekła. Amen.*

Kiedy wyrwał się z transu, światło. Z grzesznych rzeczy nie zostało się nic.

6. *Sic Luceat Lux.*

Woda lśniła jak klejnot, stojąc w zwykłej, niklowanej miseczce, którą poprzednik Turriniego używał do golenia - misa miała rysę od brzytwy, gdy ta, upuszczona z dłoni, przebiła niegdysiejsze mydliny i okaleczyła białe dno.

Woda pachniała chlorem i daleko jej było do krystalicznej czystości, ale kapłanowi, jak oceniłem, zdawało się to nie przeszkadzać. Nabraliśmy ją z łazienki na plebanii.

- Liczy się czystość duchowa, młodzieńcze - rzekł John Turrini i przystąpił do modlitwy.
Skłoniłem głowę.

- „Egzorcyzmuję cię, stworzenie wody, imieniem Ojca Wszechmogącego i imieniem Jezusa Chrystusa jego Syna, ażeby wszelki duch nieczysty i opętanie przez Szatana było z ciebie precz usunięte, ażebyś stało się wodą oczyszczoną od złego, zdolną oddalić od zwierząt wszelką chorobę i zawiść ludzi złych, tudzież wszelkie pojawienie się Nieprzyjaciela, i byś mogło tegoż Nieprzyjaciela, unicestwić”.

Turrini wziął wcześniej przygotowany papierowy lejek, wtrącił jego cienką końcówkę do kryształowej karafeczki, która dumnie prezentowała na piersiach pięknie wyłobiony krzyż; z tyłu zaś papieskie insygnia.

Widział, że się nią interesuję.

- Przywiozłem z Rzymu.

Wziąłem miseczkę i zacząłem zlewać z jej dna wyegzorcyzmowaną wodę do butelki, drżąc, by nie uronić ani jednej kropli z jej oczyszczającego bogactwa.

Po wieczornym spacerze...

Słyszałem jak mówi z pokoju: „ale zmarzły mi stopy” i wyobraziłem sobie, jak zsuwa delikatnie, by nie podrzeć, czarne pończochy, których pięty pachną solą i wnętrzem włoskiego buta. Jak masuje zaróżowione nogi, chcąc przywrócić krążenie krwi. Jak mimowolnie bawi się drugim palcem, znacznie dłuższym od palucha, przez co jej noga ma wygląd stopy greckiej, jak tej w sandale Nike z Samotraki.

Usłyszałem perlisty śmiech Carol: „Jak tam moja kąpiel?”

Zmusiłem głos, by nie łamał się, kiedy odpowiadałem: „Za chwilę, kochanie, się rozgrzejesz”. Siedziałem przy uchylonych drzwiach w łazience, przez które uciekały obłoczki pary, a i tak od gorąca perlił mi się pot na czole. Strachu nie czułem.

Wrzątek lał się ze stylizowanego na stary kranu do czarnej, marmurowej wanny, idealnej do kręcenia wyuzdanych scen porno. Na dnie rozpuszczały się bez śladu dwie kolorowe, kosmetyczne kuleczki, niegdyś pełne różanego olejku do kąpeli, który teraz pływał pawimi oczkami po powierzchni wody.

„Danielu?”

„Tak?”

Po zastanowieniu odkręciłem jednak „najeżony” kurek z napisem „Cold”. Strumień przybrał na sile, poczułem orzeźwiającą rosę na policzku i ledwo dotarło do mnie, że Carol mówi w pokoju obok: „Kocham cię”.

Wyjąłem z kieszeni spodni kryształową karafkę. Nie patrząc na krzyż wyszarpnąłem szklany korek, który wyszedł z niedosłyszalnym (taką miałem nadzieję) puf; a potem wlałem wyegzorcyzmowaną wodę do wanny.

„Kąpiel gotowa, Carol”.

Długo nie wychodziła z wanny.

Z braku lepszego pomysłu poszedłem zaparzyć kawę, tak jak lubię, po turecku. Wściekle mocną. To mogła być długa noc.

Wsypałem arabicę do czarnego tygielka. Zalałem wrzątkiem z elektrycznego czajnika i wszystko to razem położyłem na zapalonym najmniejszym palniku. Kawa wydawała monotonne: pyk, pyk. Na jej powierzchni pękały banieczki powietrza, a gorący napój minuta po minucie zamieniał się w smołę. Szukałem po szafkach cukru, żeby osłodzić ją tak, aby wewnątrz szmaragdowego kubka (do którego ją wlałem) stanęła łyżka. Szafka nad głową po lewej, po prawej. Schylić się (trzaśnięcie w kolanach), żeby sięgnąć do szuflady na dole - dopiero wtedy poczułem, że ktoś mnie obserwuje i to już od dłuższego czasu. Gorejący wzrok

istoty rozgrzał moje plecy do temperatury starożytnego hutniczego pieca. Moje palce zsunęły się z blatu jak wystraszone kraby. Obróciłem się.

Carol stała, wokół jej nóg zebrały się dwie kałuże wody poróżwiałej od krwi. Twarz miała jak wyciosaną z kamienia.

- Przeziębisz się - powiedziałem, co było kompletnie bez sensu.

Ciało, które miało kontakt z wodą ściemniało. Zobaczyłem odkryte mięśnie i tłuszcz w miejscach, gdzie odchodziła skóra niby łuszcząca się farba. Wyobraziłem sobie umykające jeszcze przed moim wzrokiem kościane tarcze łopatek. Tu i ówdzie zachowały się natłuszczone różanym olejkiem, nienaruszone miejsca, więc Carol błyszczała jak wąż. I kiedy to sobie pomyślałem wąż skoczył.

Kły, pazury, pięści. Moja pierś zapadła się pod jej uderzeniami, żebra zatrzeszczały jak łamane przez burzę gałęzie. Mało nie wydlubała mi oka, co i tak nie zmieniało zbytnio bilansu strat. Wzięła mnie, wyprostowała rękę (zobaczyłem z dużo bardziej bliska sufit niż jestem przyzwyczajony) i rzuciła mnie na przeciwległą ścianę. Rąbnąłem z siłą ofiar samochodowych wypadków wypadających przez szybę w zabójczy mur. Mieszkanie zatrzęsło się, echa uderzenia rozchodziły się po konstrukcji jak kręgi na wodzie. Dymiący kubek z gorzką kawą poruszył się najpierw w miejscu, a potem przeskoczył z blatu na kafelki. Carol podniosła mnie, przepchnęła do ściany i zaczęła kopać, przytrzymując, jak najgorszy chuligan. Moje podbrzusze dostało z bólu spazmatycznych skurczy. Ani teraz ani wcześniej nie potrafiłem wydać z siebie żadnego krzyku; jękliwej prośby, jakby moje struny głosowe zostały pozrywane. Dostawałem za swoje, bo byłem winny. Zdradziłem ją.

Puściła mnie i wściekła, robiąc krok w tył, spojrzała na mnie jak na łajno.

Splunęła krwistą śliną. Wydawało mi się, że widzę w niej małe kijanki. Naczynia krwionośne popękały w moich oczach, więc te zamieniły się w zachodzące słońca. Nawet jeśli nie wydarzy się już nic, zmatowieją. Jedną dłonią wymacałem, by się podeprzeć, podłogowy kafelek i uderzył mnie jego chód, który zmroził pozbawione paznokci, pokruszone palce. Zsikałem się. Zapach moczu przerażonego człowieka ściał powietrze. Zaszczypały obtarte uda i wszystko to, co teraz było niczym, a kiedyś świadczyło o mnie jako o mężczyźnie i o przyszłym ojcu. Ciepła strużka ogrzała wypaloną glinę. „Terakota”, przyszło mi do głowy, w której nie potrafiłem zebrać myśli.

- Popatrz - powiedziała Carol i obróciła się do mnie plecami.

Patrzyłem.

Patrzyłem, jak rany na plecach kobiety zaczęły się w cudowny sposób zabliźniać.

Biała skóra o różano-liliowym odcieniu, pachnąca perfumami, których nazwy nie potrafię

zapamiętać. Oraz olejkiem różanym z kąpieli. Gdybym miał siłę złapać ją jeszcze za rękę, wyslizgnęłaby mi się. Upadłem.

Leżałem jak martwy (czemu przeczył dotkliwy ból), a nocne światła miasta wpadały przez odsunięte żaluzje i dzieliły połamane ciało na plastry.

Krew sączyła mi się z uszu i ust. Płakałem.

Kawa wystygła na kuchennych kafelkach, a potem chyba wyparowała, bo widziałem tylko poklejone, lekko migotliwe fusy. Tylko fusy - nie mogłem się poruszyć.

Fusy - jakaś część mnie umierała.

Zamknąłem oczy i znowu odpłynąłem, Bóg czy Diabeł wiedzą dokąd.

„Daniel?”, goła stopa z drugim palcem, znacznie dłuższym od pierwszego, dotknęła mojego poszarpanego policzka. Później przekroczyła przeze mnie. Usłyszałem (zaskakująco dobrze, zważywszy na wypełniające uszy skrzepy), jak Carol zbiera skorupy szmaragdowego kubeczka, dziwnym trafem znajdujące się poza zasięgiem mojego wzroku. (*Fusy*).

„Lubiłam go”, mruknęła do siebie.

Serce pompowało krew (pewnikiem z odpryśniętą igłą kości, która załatwi sprawę ostatecznie) coraz wolniej i wolniej, wewnątrz rozlewały się we mnie rzeki i rzeczutki wylewów, wszystkie dążąc do morza. Tamy pękały. Umierałem z powodu obrażeń i szoku. Jestem kryształowy i stłukłem się.

„Pamiętasz, co do ciebie powiedziałam?”

Uklękła i wzięła moją zeszytniałą głowę w obie ręce i ucałowała. Zanim zdołało przeminać agonalne uderzenie serca, Carol uleczyła mnie. Nim umarłem, zmartwychwstałem.

7.

Głos ojca Turriniego przemawiający wszędzie i nigdzie; w całkowitej ciemności w głowie Daniela: DEBORA.

Mój synu, Pieśń Debory jest najstarszym ustępem w Biblii - zdarzyła się przed wszystkim i po wszystkim. Bibliści mówią, że napisała ją szczególna poetka i prorokini około 1125 roku przed Narodzeniem Chrystusa. Imię jej znaczy „pszczoła”. [Teraz skrećimy w lewo, w ten zaułek i już prawie będziemy na miejscu. Uważaj, tu wystaje coś z chodnika. Kiedyś stał tu uliczny hydrant]. Händel napisał kiedyś oratorium o niej. [Słuchałeś go?] Niesamowita kobieta, jeśli mogę tak powiedzieć. Widziałem jej duszę ponad twoim

ramieniem synu. [Jak podoba ci się „mój” kościół? Jest pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego. Serce Jezusa zmiłuj się nad nami!]

Debora sprawowała sądy nad Izraelem. „Zasiadała ona pod Palmą Debory, między Ramą i Betel w górach Efraima, dokąd przybywali Izraelici, aby rozsądzać swoje sprawy”. Izraelici byli w stanie wojny z Kananejczykami, których generałem był Siserą. Pewnego dnia Debora posłała po niejakiego Baraka, by przekazać mu orędzie Boga dla Domu Izraela. [Nudzę cię?] Kazała zabrać mu dziesięć tysięcy mężów, a mocą Pańską odda mu zwycięstwo. Rzec miała wypełnić się przy potoku Kiszon.

Barak nalegał, by prorokini towarzyszyła izraelskim wojskom. „Pójdę więc z tobą - odpowiedziała mu - lecz chwała nie okryje drogi, po której pójdziesz, albowiem przez ręce kobiety Pan wyda Siserę”. [Czy wiesz po co ci to, Danielu, opowiadam? Nie zasypiaj, mój chłopcze, droga długa przed nami, choć stoimy u celu. Widzisz - fasada kościoła to kopia kontreformacyjnej bazyliki Il Gesu...] Wiesz jak dokonał żywota Sisera? Debora opisała to tak:

„Prosił o wodę, a mleka mu dała,
w naczyniu odświętnym podała mu mleko.
Lewą ręką sięgnęła po palik,
prawą - ciężki młot.
Uderzyła Siserę, zmiażdżyła mu głowę,
skroń mu przebiła, przekłuła.
U nóg się zwalił, upadł zabity.
U nóg jej się zwalił i upadł:
tam gdzie się zwalił, tam upadł martwy”.

Kobieta namaszczona przez Oko Debory zabiła generała, kiedy złożył głowę w sen, zmęczony przegraną bitwą. [Martwią mnie kościoły zamykane na klucz...]

- Zjesz ze mną śniadanie? - wyskoczyła jak diabeł z pudełka. Wilgotne włosy, świeży opar perfum, sukienka z rodzaju tych, na które nie wiem skąd bierze pieniądze. Moja Carol. Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol.

- Z chęcią. - Odpowiedziałem na jej uśmiech. Usta miała pomalowane czerwoną pomadką, nie zrobiła tego pędzelkiem, bo kolor wyszedł poza kontur warg i rozlał się po

bladej twarzy. Guarlein, pomadka matowa o oburzająco wiele mówiącej nazwie KissKiss, odcień Rogue Rogue - odcień ostateczny. Wargi wyglądały jak zrana krwią rana; chciałem tę ranę, najwyraźniej przyrodzoną tej kobiecie - scałować.

Domyślałem się, że pod gorseem sukienki ma podobnie pomalowane sutki.

- Chodź. - Odgadła moje myśli. Szła pierwsza, ja za nią, patrząc na rysujące się pod śliską tkaniną wzgórze pośladków ze starotestamentową doliną pomiędzy nimi...

- Mówiłeś coś?

Pokręciłem głową. Zdradzał mnie oddech, który za chwilę mógł zapłonąć. Jednak dobrnęliśmy do kuchni - Carol wyjęła z lodówki jajka i rozerwała celofan znad tacki z pieczarkami.

- Jajecznicą - powiedziała tajemniczo.

- Jajecznicą z jajka Faberge.

- Co?

- Nic.

- Właśnie.

Uśmiech skrzywdzonej Mony Lizy nie schodził jej z rozmazanych ust.

Cięta grzybki na połówki i ćwierci, a ostrze w takim tempie opadało na drewnianą deseczkę, że byłem pewny, że jeszcze chwila i Carol zatnie się w palec. Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol.

- Ty wiesz, że nie jem mięsa. Czasem zastanawiam się, czy nie powinnam zrezygnować i z grzybów - westchnęła i zapaliła ogień pod patelnią.

Potem powróciła do cięcia. I cięta i cięta, jakby od tego zależało jej życie. I dawno nie było już pieczarek, deska była poryta, „aż do kości”, a ostrze noża świstało w powietrzu. Nagle wbiło się głęboko w kciuk kobiety. Trysnęła zielona, diabelska krew. Opadła na mnie.

Twarz Carol zamieniła się w twarz kozła. Kozioł płakał z bólu: „Czemuś mnie opuścił?” I, Bóg wie skąd, wiedziałem, że ofiara Carol została dopełniona. Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol, Carol.

To były sny.

8.

Poszliśmy do drogerii po drugiej stronie ulicy, obok mieszkania Carol. Niosłem

plastikowy koszyk, a ona zatrzymywała się przy półkach i od czasu do czasu - raczej rzadko - coś doń wrzucała. Podnosiłem go wtedy do góry, by było jej łatwiej trafić, by nie stłuc czegoś, choć wątpiłem, że może chybić. Ograniczyliśmy rozmowę do prostego „nie” i skomplikowanego „tak”. „Proszę” i „dziękuję”. „Podaj mi tamto...”. „Jest na górnej półce”. Czułem się podłej niż porzucony pies, a z drugiej strony w głowie kotłowało mi się tyle budzących lęk rzeczy. Lęk i nadzieję, po równo, cokolwiek miało to znaczyć.

Z uniesioną głową minęła półki z tanimi dezodorantami. Zaopatrzyła się w pastę do zębów i szczoteczkę. Nie skomentowałem tego, że odpięła od stojaka test ciężowy. Kokardę do włosów oplecioną na gumce, która bardziej pasowałaby tandetnej dziewczuszcze niż jej. Proszek do prania i mydło Palmolive.

- Danielu, weź świece.

Pociągnąłem nosem: woń stearyny, barwników i olejków. Zdecydowałem się na paczkę świec bezwonnych i cylindrycznych. Bez koloru.

Wstrzymała moją rękę.

- Białych nie bierz.

Wziąłem paczkę czerwonych jak krew; zielonych jak nadzieja; żółtych jak gorycz; błękitnych jak niebo.

Później poszliśmy do kafejki, prawie pustej, bo minęła już pora śniadań, a do lunchu czasu było jeszcze sporo. Carol zamówiła „dwa razy espresso”. Wolałbym cappuccino, ale milczałem. Popatrzyła na to moje milczenie.

- We Włoszech cappuccino pije się tylko rankiem. Gdybyś je zamówił teraz, popatrzyliby na ciebie, Danielu, jak na kogoś, kto zamawia płatki śniadaniowe na obiad.

- Nie jesteśmy we Włoszech.

- Fakt.

Podszedłem do kontuaru i kupiłem kwadracik jabłeczniaka z bitą śmietaną, by Carol mogła przegryźć czymś ten potop gorzkiej kawowej lawy.

Patrzyłem jak kawałki szarlotki znikają w jej różowych, wilgotnych ustach; okruszki osiadają na łakomych wargach niczym statki na mieliźnie. Miałem ochotę wysunąć palec i zebrać je wszystkie z ust na pulsujący opuszek. Oblizać palec.

- Nie winię cię.

- Co?

- Nie winię cię za to, co mi zrobiłeś. Chrystus miał swojego Judasza, więc i ja musiałam zostać zdradzona przez najbliższą mi osobę.

- To nie tak...

Nasze dłonie spotkały się w połowie blatu.

- Tak musiało się stać. To Przeznaczenie. Moje... Przeznaczenie.

Zachciało mi się płakać.

- Zaprowadź mnie do niego. - Otarła serwetką usta. Zmiała ją w kulkę i palcem wskazującym wcisnęła do filigranowej filiżanki po kawie espresso.

- NIE.

- To nie było pytanie, Danielu. To był rozkaz.

Ja, Carol

Coś straciliśmy. Obydwoje.

Judasz wydał Chrystusa, kiedy w jego ciało wszedł Diabeł. Kapłani Świątyni dali mu trzydzieści srebrników, by wskazał swojego Mistrza. Później chciał je oddać, ale nie przyjęto ich - w świętym skarbcu nie mogło znaleźć się nic splamionego krwią... Gnębiony wyrzutami sumienia Judasz powiesił się.

Nie chcę, żeby to spotkało Daniela. „*Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma*” - miłość.

Płatki śniegu spadają i topią się na mojej twarzy. A dzień jest krystalicznie czysty, jakby dopiero co się narodził. Mróz zaciska obręczą czoło, ale to nie przeszkadza. Jestem rozgrzana od środka. Niecierpliwość łączy się w jedno z błogością.

Wciągam Daniela do bramy.

Drży i jęczy, nie wiedząc czego się spodziewać.

- Chcę się z tobą kochać - mówię, opierając się o mur i rozgarniając poły płaszcza.

Daniel nie potrafi zogniskować na mnie wzroku.

- Carol... Ja nie mogę.

- To ja, wciąż ja - podtykam mu swój intymny zapach na dłoni.

Mężczyzna milczy.

Obracam się, przykładam wilgotne palce do rozporoka. Ciało wciąż reaguje. Myślę o czerwonej pomadce, którą mam na ustach, o kozuszkowych botkach z wysokimi obcasami, o tym, że pragnę tego mężczyzny ponad wszystko. A on mi odmawia.

Unosi ręce. Reklamówki dziwacznie sterczą mu po bokach. Jego szyja i ubranie pachną kawą.

Penis: mydłem, i trochę moczem - tak.

Kłęczę, nie zważając na to, czy ktoś nas obserwuje. Męskie ciało trąca moje zęby; na granicy z włosów łonowych pozostawiam czerwoną obwódkę KissKiss.

Słony smak łączy się z pudrowym aromatem kosmetyków.

„Nie chcesz mnie?”

Celofan szeleści, a później jedna reklamówka uderza o śnieg.

- Carol...

„Chcę mieć cię w środku. Zapamiętać na ten krystaliczny, niewinny dzień”.

Mały wybuch wulkanu. Smak narasta, robi się nie do zniesienia... Zbieram nasienie z warg.

Podnoszę reklamówkę, a Daniel poprawia się.

- Nie chciałem tak.

- Kłamiesz. Zabieramy się stąd.

„Kiedy topnieje śnieg, co się dzieje z bielą?”

William Szekspir.

Wszystkie poranne gazety donoszą o zniknięciu dziewczynki. Takiej ładnej dziewczynki... ZNIKNIĘCIE CZY PORWANIE?

Jej młoda matka, chlipiąc, przekłada pluszowe zabawki przesiąknięte potem małej. Blond włosy, niebieskie oczy, mała buzia, nadąsane usta kogoś starszego - takie dziecko powinno mieć szczęście. Oprócz pożądania budzi miłość.

- LUCIA cierpi na ataki somnambulizmu - mówi matka reporterom telewizyjnym, koczującym na mikrym i zaśnieżonym spłachetku „trawnika” przed domem. „LUCIA - dziewczynka uprowadzona z dziecięcego pokoju”, pojawia się komputerowy napis na górze ekranu; dzienniki TV wyemitują naprędce zmontowany materiał. Będzie widać jak matka Lucii płacze, zamiast odpowiadać na zadawane pytania; a jej ręce podobne do białych krabów zabawiają się świątecznym wianuszkiem zdjętym przez nieszczęście z wejściowych drzwi.

Gazetowe ziarno psuje zdjęcie. Zdjęcie dobrej jakości, wykonane cyfrowym aparatem przy okazji jakiejś domowej uroczystości. Tłusty druk sprawia, że buzia sfotografowanego dziecka wygląda jakby rozpadała się trawiona dziwnym, atramentowo-papierowym rozkładem. Psują się włosy, psują oczy, psują nadąsane usta jakby należące do kogoś starszego. Czerń i biel i Lucia. Obok apel redaktora Antoniego Mendeza (Włocha wbrew

nazwisku):

„Oddajcie naszą córeczkę. Nie skażcie niewinności wiedzą o podłości świata. Lucia wierzy w bajki, które jej czytam na dobranoc - w złe królowe i dobrych rycerzy. Bądźcie tymi rycerzami, ale i bądźcie prawdziwi. Wspaniałomyślni, nie róbcie mojej córce krzywdy. Jest żrenicami naszych oczu i pragniemy z żoną odzyskać ją ponad wszystko.

Podajcie cenę. Odezwijcie się!

Niech Bóg ma ją i was w swej opiece.

Lucia, tatuś i mamusia kochają cię, dziecko...!”

Stanęliśmy przed kościołem, którego fasada nieudolnie naśladowała front Il Gesu. CO TERAZ?

Carol wyczuła moje wahanie. Pchnęła drzwi, które ustąpiły z cichym jękiem nieoliwionych i zamokniętych zawiasów.

Nie było nic ponad ten głuchy i przeciągły jęk. Żadnych bożych piorunów, zapachu przysmażonego diabelskiego mięsa, siły, która odepchnęłaby niewiernych od świątyni. Zdumiało mnie to, ale i poczułem ulgę.

- Nie idziesz? - spytała retorycznie Carol i zagłębiła się w półmrok i zapach kadzidła z kurzem, który jakby przybrał na sile.

Ojciec John Turrini już na nas czekał. Dziwne, bo wydawał mi się jednocześnie starszy niż pamiętałem, ale i robił wrażenie bardziej krzepkiego. Przygotował się do roli, którą przyszło mu odegrać.

- Wiedziałem, że będziesz musiał przyjść, Antychryście.

- Ja przyszłam.

Chciałem, żeby wyciągnęła do Turriniego spoconą rękę i powiedziała: „Jestem Carol”, ale nie... Minęła go jakby był tylko kupką suchych liści, popiołem, jednym jałowym liźnięciem pustynnego wiatru. Zmierzała prosto do ukrytej kaplicy.

- Matko Boża, módl się za nami.

Ruszyliśmy ku odgłosom cichnących kroków. Zrównaliśmy się z nimi na chwilę przed tym, jak zamilkły. Carol postąpiła jeszcze jeden krok: do ołtarza. Ślady damskich pantofli na spatynowanej podłodze. Krwawe łyzy, które przybrały na sile i zamieniły się w strumień. Potop rozpaczy.

- Kobieto, kogo opłakujesz? - spytała Carol.

Nie zdołaliśmy jej powstrzymać.

Rzuciła się ku płaczącemu obrazowi, potrącając przy tym biodrem jeden z ciężkich hebanowych klęczników, który zachwiał się i upadł. Huk zatrzęsł kaplicą.

Carol przesadziła niewielką barierkę, która powinna dzielić wiernych od ołtarza, ba, wspięła się na ten ostatni i pazurami rozcapierzonymi na kształt pragadziego szponu wbiła się w lejące krew oczy.

Rozszarpała płótno, raniąc się przy tym dotkliwie. Słyszałem jak trzaskają stawy w jej palcach. Maria Panna została oślepią. Strzępy materiału, łuski opadającej farby.

Krew przestała płynąć...

- Teraz sobie popłacz, matko - powiedziała Carol.

I obróciła się ze smutnym uśmiechem do nas, bez śladu satysfakcji.

Turrini zbielełymi ustami zaczął mamrotać modlitwę.

9.

Czytam uważnie

I panuję nad sobą,

Dopóki nie usłyszę zza rogu ulicy,

Jak rozstrojone, nudne pianino

Rzępoli pospolitą, ograną piosenkę,

Która płynąc ogrodem w zapachu hiacyntów

Przynosi mi wspomnienie pragnień innych ludzi.

Czy jest w tych myślach sens, czy nie ma?

T. S. ELIOT „Portret damy”

wiosna 2001.

Martha Abramsky

Niemłody patolog ciągnie doktora Patryka McConaugheya w dół, w mrok, do swojego

królestwa. Półbuty Irlandczyka podbite cielecą skórą, ślizgają się po kamiennej rampie, pamiętającej początki ubiegłego wieku. Klnie, kiedy nieopatrznie wdeptuje w plamę spirytusu albo innej mieszanki, która dziwnym trafem nie zdołała wyparować. Lekarze nie znoszą kostnic, każda z nich jest przepełniona dowodami przegranej wojny. Wojny, nie bitwy. Śmierć nie ma zamiaru ustępować. Nie da rady z nią wygrać. Patolog uśmiecha się głupkowato:

- Nigdy dotąd...

Nigdy dotąd, właśnie.

- Musi pan to zobaczyć doktorze...

Mirra, drzewo sandałowe, piżmo, goździki, cynamon, wanilia, róże, fiołki, irysy, kwiat jabłoni, morze, letni powiew, łąka, brzoskwinia, gorzka pomarańcza, zielona herbata... Zapach.

Od progu widzi odkryte, niemłode ciało swojej pacjentki; prześcieradło zrolowano na biodrach, ukazując szycie w kształcie krzyża na klatce piersiowej. Woskowatość skóry, rozluźnienie mięśni, zapadnięte gałki oczne - kobieta była martwa od co najmniej trzech dni. Umarła na jego nocnym dyżurze; tak cicho jak cicho żyła. Nigdy nie słyszał jej głosu. W zasadzie na OIOMie usłyszał go tylko inny pacjent, kapłan, ojciec Turrini. Oddział zachował podziwu godną dyskrecję w sprawie odbytych egzorcyzmów, na które doktor McConaughy wydał zgodę. Stan pacjentki po nich ustabilizował się tylko na krótko. Z głębokiego snu znowu weszła w komę. Odłączone od respiratora serce biło jednak miarowo, pierś regularnie podnosiła się i opadała. Na ustach zagościł uśmiech.

Policyjne śledztwo wykazało, że nazywała się Martha Abramsky.

Martha okazała się być bardzo zdyscyplinowana - kiedy minął okres, w którym służba zdrowia była skłonna godzić się na zajmowanie przez nią dość potrzebnego łóżka, a ubezpieczyciel łożył bająnskie sumy na podtrzymywanie iskry jej życia - umarła.

Do szpitala przywieziono ją po nieudanej próbie samobójstwa.

- Musi pan to poczuć.

Lekarz pociąga nosem. *Oto kakofonia pięknych zapachów, która w swoim ostatnim tchnieniu zyskuje ostateczną harmonię.* Jest tak, jakby ciałem świętej (Patryk nie ma wątpliwości co do tożsamości kobiety) zajął się boski balsamista.

Zwłoki, które za życia nie miały krewnych ani przyjaciół, po śmierci nieczujące i nieruchome, są teraz (znowu?) niepotrzebnym balastem dla społeczeństwa. Zajmie się nimi miejski grabarz, dla takich jak one czeka komunalna krypta. Pełno w niej martwych wariatów, kloszardów, NN i tych, którym w inny sposób powinęła się noga. Będą trwały - na koszt

miasta - nie zmieniając się ani na jotę, pośród zapachu, który nie przeminie. Nikt się nie zorientuje, nikt go nie poczuje, bo nikt tam nie chodzi.

- Głupi żart - mówi Patryk. - Albo sprzątaczkę przesadziły z ilością płynu do mycia podłóg.

Patolog próbuje coś powiedzieć, ucisza go zdecydowanym gestem. Nie lubią się. Zwykle nie witają się nawet w szpitalnym barze, teraz będą się tolerować jeszcze mniej. *Święta Martho, módl się za nami...* Patryk dotyka swojego czoła - głowa mu płonie od narastającej gorączki.

- Nie umieszczę tego w protokole sekcji. Nie jestem idiotą - mówi patolog. - Doktorze McConaughey?

- Tak?

- Rozczarował mnie pan.

Z poziomu zero na poziom pierwszy winda jedzie bardzo krótko. Doktor Patryk McConaughey wchodzi do kompletnie pustej kaplicy. Jego dyżur skończył się, pager wciąż milczy.

W niespotykanej ciszy zaczyna się modlić. Słowo do Słowa, myśl do myśli, Miłość do Miłości.

Dr Patryk McConaughey

Siostra Sharon. „Moja siostra Sharon”. Patryk nie potrafił ukryć miłosnego uśmiechu w każdej chwili, kiedy na nią patrzył; nawet teraz. Ścięła na krótko włosy, przez co uwydatnia się jeszcze jej podobieństwo do piosenkarki Sinead O'Connor. Zrobiła to, bo po ciąży zaczęły jej wypadać garściami włosy. Krótkie cięcie ma wzmocnić cebulki.

Patrzy na jej podpuchnięte oczy:

- Mały nie daje ci spać?

- Leo? Och tak, Leo ma lekki sen, w dodatku mało go potrzebuje. - Miała dziewiętnaście lat. Kiedyś.

- A gdzie twój mąż?

- Musisz być taki sarkastyczny?!

- Słucham?

- „Twój mąż” - przedrzeźnia. - Mówisz to takim tonem...

- Jakim tonem? Chciałem być dla ciebie miły! Więc gdzie jest Robert?

- W pracy. Musi dzisiaj odpracować jedną zmianę. Późno wróci.

Mąż Sharon, Robert, jest kierowcą autobusu. Ponadto potrafił „strzepać” dziecko

osiemnastoletniej siostrze Patryka, przez co, przynajmniej na razie, musi pożegnać się z dalszą nauką. To śmieszne w jej obecnej sytuacji, ale Sharon chciała zostać biologiem. Żyją z mężem w komunalnym mieszkaniu, w dzielnicy robotniczych slumsów. Robert „ambitnie” nie chce korzystać z pomocy jej rodziny (z pomocy Patryka). Według niego McConaughey wyrodził się z własnego środowiska i to jest wystarczający powód, by nim pogardzać. Nie pogardza za to opieką społeczną i piwem. „Zmarnuje moją siostrę, jeśli jej stąd nie zabiorę”, myśli Patryk.

- Radzisz sobie? - Głupie pytanie.

- Nie widać?

- Sharon?

- Co?

- Kocham cię.

Cisza.

- Ja ciebie też kocham. I wiesz, Leo będzie miał rude włosy po naszej rodzinie.

- Prawdziwy lew. Pomóż mi to zakończyć...

Cisza.

- Nie.

Po nabraniu oddechu:

- Nie mówiłem ci o tym, ale spotkałem ojca Turriniego.

- Gdzie?

- W szpitalu. Jego serce nie jest już takie jak kiedyś. Nie mógłby już grać z nami w piłkę.

- Ze mną nie grał.

- Bo nie byłeś chłopcem.

- Prawda.

Spoglądają sobie w oczy.

- Mówiłem mu, że spodziewasz się dziecka.

- Nie był zdziwiony?

- Trochę... Wtedy, w tym szpitalu, coś się wydarzyło. Coś, co pozwoliło na nowo mi uwierzyć.

- Proszę cię, Patryku!

- Ojciec John prosił, abys ochrzciła swoje dziecko. Jest coraz mniej czasu... Dla nas mniej.

Sharon zaczyna cichutko płakać:

- Chcesz go zobaczyć? Chcesz zobaczyć Leo? Nie ma ogonka. Nie zaniosę go do

Turriniego. To bez sensu.

Brat przytula ją do siebie:

- Kupię ci szampon na porost włosów.

Śmieją się. Oboje mają teraz po dziesięć lat, ta historia na to pozwala.

Leo

Gdzieś tam - za ścianą, w innym pomieszczeniu - słychać głosy. Jeden poznany jeszcze przed urodzeniem. Głos matki.

Mama. Mama to ten głos i ciepło, ciemność i mleko. Pochylająca się, rozmyta blada twarz.

Wszzechogarniające bicie serca. Pompowanie krwi, przez które nie dociera nic innego. Pamięć wprost z łona.

Niemowlę - chłopiec - leży nieruchomo w starej, jakby znoszonej czy raczej „zleżanej” kołysce. Jego wciąż jeszcze błękitne oczy, jak u małego psiaka czy kotka, błędzą po suficie. Brakuje im ostrości. Światu brakuje konturów, wiele jeszcze wody upłynie nim zyska realne kanty i linie.

Do brzydkiego żyrandola przymocowano na lince, drewniane ptaszki, by cieszyły wzrok dziecka. By miało do czego wznosić ramiona. Ptaki są drobne i kolorowe. Mają pstrokate skrzydełka i nie przypominają żadnych świergotów występujących w naturze; zresztą milczą.

Błysk. W tym błysku za wiele lat powróci do chłopca coś na kształt wspomnienia: mama wchodzi na kuchenny taboret i opiera drewnianą zabawkę o żyrandol. Łączy jedno z drugim i mówi: éwir. „Ćwir”. Choć jest młoda nie zeskakuje z taboretu, tylko z trudem ześlizguje się po nim, jakby wciąż bolało ją miejsce po szwach.

Dzieją się jeszcze inne rzeczy godne zapamiętania, rzeczy decydujące o przyszłości.

Zbłąkany zajęczek odbity od maski przejeżdżającego samochodu rozświetla brudny sufit. Błysk! Dziecko wyciąga rączki, gulgocze radośnie. Po przeciwległej stronie niż ta, do której dostawiono łóżeczko, lśni srebro. Srebrzysta ciecz gęsta jak miód, który spływa po lepkich plastrach.

Dr Patryk McConaughy

Chwilę potem, kiedy Patryk wychodzi z domu siostry, spotyka psa. Szczeniaka. Myśli, że spodobałby się Sharon, która w głębi duszy pozostała wciąż małą dziewczynką, a psiak wygląda jakby stworzony specjalnie dla dziecka. Springer spaniel o mocnym ciele z masywną klatką piersiową i krótkimi, mocnymi nogami. Czarne, kędzierzawe ucho, wyglądające jak

przeszczepione od większego psa, ociera się doktorowi o nogawkę spodni. Śliczny piesek, mamrocze Patryk i coś zaczyna mu chodzić po głowie. Pies nie ma obroży, ani żadnego identyfikatora. Z majtającego, przyciętego ogonka o kolorze „pieprz i sól” sterczy niewyciągnięty, wrastający szew. W ciemnych oczach szczeniaka pozostały jeszcze plamki niemowlęcego błękitu. Skrawki łożyskowego nieba. Ile pies może mieć tygodni? Sześć? Osiem? Patryk nie jest wielkim psiarzem, ale to zapaskudzone szycie wcale mu się nie podoba (tak jak nie podobało mu się depresyjne znamię w każdym gościu siostry. Młodo-starej kobiety. To „baby blues”, depresja poporodowa). Patryka zdumiewa i zastanawia ta granica dzieląca „bycie” od „nie bycia”, czy może należałoby to nazwać dojrzewaniem istnienia. Jego siostrzeniec, śpiący dziś tak słodko, do niedawna był plamą na USG brzucha swojej matki. Piesek, który wziął się za obgryzanie sznurowadeł, a sześć tygodni temu był wybrzuszeniem na ciele pewnej suczki. Niczym więcej. Raczej ideą psa niż psem.

Patryk pochyla się i głaszcze go po grzbiecie; z biegiem czasu wystąpią na nim czarne plamy. Ściemnieje. Springer spaniel - „wiosenny” pies, trudno było tej nazwie odmówić celności, szczególnie, że kiedy wciągnęło się mocno powietrze do płuc, czuć już było nieuniknioną wiosnę. Chodź piesku, zajmę się twoim ogonkiem - Patryk schyla się, by wziąć zwierzę na rękę, kiedy z dachu pobliskich garaży spada na nich, niczym ognisty anioł, biały kot. Tak biały, jakby całymi dniami nic nie robił tylko na tę okazję pucował swoje futerko. Pazury omijają łydkę mężczyzny o włos. Dwa zwierzaki zaczynają się kotłować. Skomlenie i kropelki krwi, drobne jak woda ze zraszacza do kwiatów, pryskają na wszystkie strony. Patryk stoi jak sparaliżowany, jakby dziwna siła zabroniła mu brać udział w tej odwiecznej walce. Ruszy się dopiero wtedy, kiedy pies i kot rozłączą się - rozdarte psie ucho będzie plamić kocie futerko. Zwierzaki wciąż naskakując na siebie, jakby spanielowi nie wolno było oddać pola, znikają za garażami i dopiero wtedy Patryk przełamuje odrętwienie. Biegnie za wojownikami.

10.

Znaleźliśmy się nagle pod wodą. Czystą jak mleko matki, słoną jak lzy. Turrini, Carol i ja... Poczulem na policzku łaskotanie bąbelków powietrza. Serce przyśpieszyło, ciśnienie zamknęło uszy. Było tak, jakby rzucono nas znienacka na głębiny. Byliśmy dziećmi, które despotyczny dorosły podtapia, by w zwierzęcym przerażeniu obudziły swój instynkt małych

ssaków i nauczyły się pływać. Woda była symbolem ojca Carol. Moje oczy pozostały otwarte. Obok widziałem walczącego z żywiołem księdza. Nogawki jego zbyt szerokich czarnych spodni trzepotały, jakby zabawiał się z nimi wiatr; był lalką poruszaną w powietrzu przez tornado. Widziałem światło ponad powierzchnią wody. Płynące ze świetlika w suficie, tuż obok obłąkającego, kiczowatego fresku Dobrego Pasterza. Dobry Pasterz miał osiem lat i wciąż ssał pierś matki. A podpierał się laską niczym starzec. Na pastwisku rosły krzewy róż. Każda owieczka miała wokół oczu czarną maseczkę, więc wyglądała wypisz wymaluj jak owieczka Zorro. Gdyby któreś znudziło się takie życie, mogłaby uciec przez wspomniany świetlik... Krótkie włosy Turriniego zlepily się i zobaczyłem wytarte starością miejsce na głowie, tonsurę. Widziałem je, bo wyglądało na to, że John wpadł w jakiś wir, który wyginał jego ciało w dół pod nieprawdopodobnym kątem, nie dając mu wypłynąć. Czułem ból w płucach, nos piekł mnie jakbym wsadził w niego pieprz. I zobaczyłem rękę... Carol spłynęła po mnie. Mała syrenka, topielica, Ofelia, Antychryst...

Bez wahania złapałem rękę. Uśmiechnęła się lekko otwierając usta, ale nie wyskoczyły żadne pęcherzyki powietrza...

Światło na górze przygasło, a ja zorientowałem się, że tonę w roztopionym srebrze. Przyjąłem ten stan z wdzięcznością i właśnie wtedy wróciło powietrze. Leżałem na posadzce pomiędzy nimi, a na języku czułem zatęchły kurz.

Turrini przeskoczył ponad moim rozciągniętym ciałem.

„On jest chory”, pomyślałem o Turrinim w tamtej chwili. Nie zrobiłem nic, żeby go powstrzymać! Jak mogłem przyprowadzić tu Carol? Turrini doskoczył do kobiety i uderzył ją na odlew w twarz dłonią, wokół której zawinięty był różaniec. Policzek natychmiast nabiegł krwią, brązowe paciorki znalazły swoje odbicie na żywej tkance.

„Tymczasem ludzie, którzy pilnowali Jezusa, naigrywali się z niego i bili Go. Zastaniali mu oczy i pytali: <Prorokuj, kto Cię uderzył>. Wiele też innych obelg miotali przeciw Niemu”.

- Ty morderco - powiedziała Carol do Turriniego.

Wspomnienie, które przywołała stało się udziałem nas wszystkich.

Wojskowy dzip z uszkodzonymi reflektorami pruje po szosie. Niesie się za nim smród

benzyny niby odór za jakimś starym, rannym zwierzęciem. Na niebie nie ma Marsa, ani żadnej innej planety, ani gwiazd. Księżyc w nowiu skrył się za chmurami. Stare zwierzę pewnie, bo instynktownie bieży do swojej nory. Nagle słysząc trzask. Kierowca dżipa czuje wibracje od uderzenia, które niesie się przez maskę do jego kolan, ud i ramion. Potrącone ciało wyskakuje w górę, za sprawą ziemskiej grawitacji upada parę metrów dalej. Głuche uderzenie i trzask łamanych kości.

Kierowca nie ma wątpliwości, że kogoś zabił; w końcu to usłyszał. Wysiada, idzie te parę kroków do śmierci po omacku.

Zapala zapalniczkę, płomień Zippo jest duży i nieruchomy. Pewny siebie. Oświetla twarz najwyżej piętnastoletniego chłopca - już nie dziecka, ale jeszcze nie mężczyzny. Nad górną wargą ciemny meszek zarostu, w kąciку ust krew - i to tyle.

Jednak... - pod kurtką martwego coś się rusza.

Za uchylonym zamkiem błyskawicznym pokazuje się ruda główka, długi pyszczek - lisek. Mężczyzna sięga wolną ręką ku zwierzątku i łamie mu kark.

Nie mogła się tu znaleźć, bo okna były zamknięte; szyby nie zostały rozbite, nie było żadnej szpary, komina... Nie mogła się tu znaleźć, ale znalazła się - żywa mozaika z oszalałych koników polnych. Szarańcza. W jednej chwili trafiliśmy do wnętrza śnieżącego telewizora. W hałasie młota pneumatycznego, wrzasków na boisku, porodowego krzyku. Szczęki koników polnych, ich skrzydełka nie chciały przestać się ruszać. Obsiadły nas, obsiadły wszystko wokół. Zaczynały zżerać kościół. Poczułem ból, w odkrytych częściach ciała - najpierw w palcach, w szyi. Na twarzy miałem owadzią maskę. Chciałem krzyknąć z obrzydzenia. Czemu nie dały mi spokoju? Czy dlatego, że zdradziłem?

Nie mogły się tu znaleźć, bo okna były zamknięte. Dałyby radę zbić szybę, ale powietrze wolne było od zapachów krwi. Odłamki młotniczych szyb nie lśniły jak kwarc pośród piasku. Była za to intensywna woń pierza. Mokrego, niby umoczonego w jeziorze Genezalet, zmoczonego łzami aniołów. Białych gołębi nie powinno tu być, a jednak znalazły się i na naszych oczach prowadziły straszną wojnę z szarańczą.

Szarańcza dawała im odpór, oblażąc od dziobów do ogonów i obgryzając z piór - do pustych wewnątrz kości, niczym fujarka pastuszka.

Po stronie ptaków była jednak przewaga. Były większe, mniej łakome i bardziej okrutne.

Tak okrutne, jak tylko potrafią być gołębie. Ujrzałem, jak konik polny próbował wspiać się po ubabranych guanem pazurach. Stracił równowagę; wtedy z prędkością błyskawicy spadł cienki i krótki dziób. Rozbijał owada niczym ziarno ryżu. Pszenicę prymitywnym żarnem na mąkę. A potem wszystko nagle rozpląnęło się w powietrzu jak dym; jakby szarańcza i ptaki były tylko długą i realistyczną halucynacją. Pełną kolorów, zapachów, drzeń.

Carol i ojciec Turrini

- Och, John, John - szepnęła Carol, ani na jotę nie rozczarowana, że jej owady przegrały. Korzystając z jego oszołomienia podkraśla się cicho jak wąż w wilgotnej trawie i wzięła głowę księdza w swoje blade dłonie gotyckiej Madonny. Była oszałamiająco piękna; sądziłem, że chce mu skrócić kark, ale ona tylko przesunęła palcami po policzku, który już zdążył ściemnieć od zarostu. - Wychowałeś Patryka McConaugheya, jak ten młody doktor mógł nie powiedzieć ci całej prawdy? Nie wierzę, że nie wiedział; robili ci przecież wszystkie badania w szpitalu, a ja twoją śmierć czuję przez gołą skórę.

- Czego mi nie powiedział? - Otworzył usta i zaraz je zamknął, wydobyło się z niego raczej westchnienie niż słowa. Carol przesunęła ręką w górę. Opuszek wskazującego palca pieścił lewą skroń. Skroń nad sercem, które biło tak szybko jak serce wziętego nocą, w strumień reflektorów, królika.

- Guz mózgu. Nowotwór złośliwy. Wielkości trzy na trzy centymetry. Odrośnie po wyłyżeczkowaniu. Obrzydliwy i bezduszny niczym Szatan, jakim chciałbyś go widzieć. Daję ci jakieś trzy miesiące. Jeśli operacja i radioterapia się uda, może zyskasz jeszcze rok.

- Po co mi to mówisz? - spytał.

- Żebyś się bał. Tak jak boję się ja, Carol.

Nagle obydwójce - Carol i John - padli na kolana. Wyrzucili ręce ku sklepieniu kościoła i zanieśli jednym głosem błaganie; może nawet do tego samego Boga.

- Wspomóż mnie!

Łączyłem się z jednym i drugim, a moje serce szeptało:

- Wyzwól mnie! - bo chciałem śmierci; myślą przyznawałem rację Turriniemu, kiedy jednocześnie moja dusza była duszą Carol.

„Dla Pana nic nie jest niemożliwe, o wszystkim wie i wszystkiego dosięga, tako na ziemi, jak i w niebie, pochwalony niech będzie przez wieczność całą”.

Dwa splecione ze sobą w magiczny pentagram ciała. Dwa rodzaje włosów: jasne i ciemne, proste i sfalowane; dwie jakości ciała. Piersi jak połówki owoców, zadziorny penis... Kobieta, mrucząc, układa się na plecach. Łopatkami jak skrzydła ptaka przycina sobie włosy. Wciska ręce pomiędzy uda i rozsuwa fałdki warg: <Chodź>. Mężczyzna jakby tylko na to czekał; już jest w środku. Z każdym następnym ruchem wygina się coraz bardziej w łuk, ale jego twarz zamiast marszczyć się zmienia się w uspokojone oblicze dobrotliwego mnicha. Inaczej ona - każde pchnięcie tłucze coś w jej wnętrzu, coś delikatniejszego od porcelany. Uderzenia są tak silne, że szoruje plecami po gładkiej podłodze. Szarpie włosy, które przykleiły się do spoconych pleców. Czuje napięcie w cebulkach włosów, czuje, że mięśnie szyi już - już eksplodują i wtedy wilgoć rozlewa się w jej wnętrzu. Ścisza się pierścień, który zatopiony nosi w sobie i to jest to, na co czekała. Mężczyzna skomli. Jego twarz zastyga w maskę, tylko szeroko otwarte oczy błyszczą.

I oto stało się...

Najświętsza Maria Panna, Niepokalane Poczęcie, Święta Dziewica, Miriam, Matka Chrystusa, Królowa Niebios, Nasza Dobrodziejka, Biała Lilia, Najświętsza Pani stanęła za plecami Carol. Przyniosła ze sobą chłód, który obniżył o parę stopni temperaturę w kaplicy. Oddechy zamieniały się w parę. Wyglądała jak mgła, jak cień, jak lód. Przezroczysta skóra, pod którą można było zobaczyć cały świat - każdą śmierć i każde narodziny. Lodową pustynię i gorące piaski. Oczy, to niebieskie - jak na obrazku Turriniego - to czarne, jak te, które pojawiają się niektórym w snach. Włosy raz złote, utkane z księżyca, raz granatowe - jakby farbowane; a wszystko to jednocześnie. Szata mieniąca się na niebiesko niczym błona, która odgradza skórę od mięśni każdego stworzenia, którego dzieci ssą piersi.

Niepokalane Poczęcie położyła dłonie na ramionach Carol. Powiedziała coś

niezrozumiałego i jedna z kościelnych ław oderwała się od swoich towarzyszek (drzazgi wystrzeliły w niebo), wzniciając tabuny kurzu przesunęła się po pomieszczeniu, aż pod nogi kobiety. Miriam usadowiła na niej Carol. Tamta nie broniła się, nie zrobiła nic ponad ugięcie kolan. To samo uczynił Jezus Chrystus, kiedy przybijano go do karłowatego rzymskiego krzyża.

<Oto wam ją daję. CÓRKE. Oto krew moja. Oto ciało moje. Jedzcie i pozostańcie syci, nim przeminie krzyk i chamsin na pustyni> - powiedziała objawiona postać.

„Następnie wziął chleb, odmówiwszy dziękczynienie połamał go i podał mówiąc: <To jest Ciało moje, które za was będzie wydane: to czyńcie na moją pamiątkę> Tak samo i kielich po wieczerzy, mówiąc: <Ten kielich to Nowe Przymierze we Krwi mojej, która za was będzie wylana>”.

Postać zniknęła, ale nim to nastąpiło, musnęła przelotnie lewy policzek Carol i szepnęła:
<Śpiewaj. Całe życie uczyłaś się tej piosenki.>

I Carol zaśpiewała, gdy tymczasem Turrini nakładał stułę i ustawiał buteleczki ze święconą solą i olejami na brzegu zaczarowanej ławy. Daniel nie mógł płakać, nie mógł się śmiać - był w jaskini lwów, które nazaczył jego Bóg. I Twój Bóg.

*To jest piosenka o paryskich dziewczętach;
co lubią tańczyć i pić na nóżki dwie.
Więc nie odmawiaj, ta noc jest zaklęta;
postaw kielicha i zacznij tę grę!*

*To jest piosenka o paryskich dziewczętach
ciepłych i świeżych jak wiosna.
I niech to będzie dla wszystkich zachęta,
ty następną kolejkę mi postaw!*

*Nie znajdziesz takich na świecie całym,
nigdy ci z nimi nie będzie źle,
Wygrzeb z kieszeni jakiś grosz mały,
i baw się z nami w pijackim śnie”.*

Zaraz egzorcysta dotknie stułą szyi opętanej, prawą rękę położy na jej głowie; tych puszystych jasnych włosach. *Ecce cruce Domini*. Położy palce na oczach i zacznie odginać

jej pożyczowane, opuchnięte powieki, by zjrzeć w białą wieczność.

EXORCIZO TE!

- Ojcie Turrini - Daniel chwyta brzeg stuły kapłana. Jest śliska, wysuwa się spomiędzy palców. - Mówisz, że ona jest Antychrystem. - Carol siedzi na ławie. Oczy ma półprzymknięte, widać zwrócone w głąb głowy białka, ręce są splecione na podolku. - Jeśli to prawda, kogo chcesz z niej wypędzić?

- Duszę - odzywa się kobieta głosem starego mężczyzny i zaczyna się potępieńczo śmiać. Jest odcięta od nich, od swojego ciała, od całej tej rzeczywistości. Letarg, w którym się znajduje jest przerażający. Daniel już wie, że nie jest w stanie tego znieść. Nie! Nie! Nie! Choćby tego żałował, musi ją pozostawić. Drzenie przechodzi wszystkie jego mięśnie.

- Kto tu jest opętany? - pyta Turrini. - Kto? - Wyplątuje się z motylego uścisku i odprowadza Daniela do drzwi. Otwiera, popycha plecy młodego. To dotknięcie jest jak skurcz porodowy, nieuchronne zaczęło się i dziecko nigdy już nie wróci do macicy. Kiedyś zaopiekuje się nim inna ciemność.

- Pamiętasz gąsienicę? - mówi Carol w momencie, kiedy po raz wtóry szczęka kłamka.

Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar, Shalimar - w olśniewającym błysku, który trwa krócej niż oddech, mężczyzna przypomina sobie nazwę jej perfum. Perfum, które pachną jak pierwsza rosa pomiędzy udami śniącej królowej. Zapach, który paraliżuje go i oplata nim gotów jest jeszcze skończyć.

<Pocałuj mnie>

12. *Coś w tym wszystkim jest.*

Jest taki obraz meksykańskiej malarki Fridy Kahlo „Samobójstwo Dorothy Hale”. Przedstawia, no właśnie... samobójstwo. Dorothy Hale rzuciła się z okna Hampshire House

Building. Było to 21 października 1938 roku, o godzinie 6 rano.

Martwa kobieta namalowana jest z godnym uwagi naturalizmem: rozrzucone stopy, odrzucona ręka, krew ciekąca z ucha; bukietek żółtych kwiatków przy gorsie czarnej, jedwabnej sukienki... Doroty Hale jest w swej śmierci piękna.

Piękna, młoda kobieta i martwa.

Śliczna dziewczynka i zimny trup - Lucia Mendez. Pokazali ją w telewizorze, który wisiał w knajpie nad kontuarem. Najpierw zdjęcie znane z gazet, potem najświeższy materiał. Lucia - Dorothy. Dziecko zostało zrzucone z pułapu odpowiadającego wysokości Hampshire House Building; jakby sam anioł wypuścił je z rąk. Policja przypuszczała, że psychopatyczny porywacz wypchnął je z awionetki; jakby samolot mógł przelecieć po miejskim niebie niezauważony. Oto była wigilijna Tajemnica. Zduśłem śmiech. Rozrzucone stopy, dłoń odrzucona i zaciśnięta w pięstkę, podkasana pędem wiatru nocna koszula, chude kolanka. Jasne loki, które nad wytrzeszczonym błękitnym okiem nabrały koloru czerwieni. Co pan na to, panie Mendez? Pomyślałem sobie, sącząc ciepłe piwo, że to okropne, co teraz wolno pokazywać w telewizji. Do moich uszu dobiegły dźwięki kolędy.

Tu w knajpce (dla samotnych i nocnych marków) na rogu Fifth Avenue i 72 ulicy, o północy, zawieszony pomiędzy końcem a początkiem dnia; pomiędzy wigilią a świętem, usłyszałem głos Carol. Ukochana była w mojej głowie: „Eloi, Eloi, lema sabachthani”.

CZEMUŚ MNIE OPUŚCIŁ?

DNI BOWIEM MOJE JAK DYM ZNIKAJĄ,

A KOŚCI MOJE PŁONĄ JAK W OGNIU.

MOJE SERCE WYSYCHA SPALONE JAK TRAWA,

ZAPOMINAM NAWET O SPOŻYCIU CHLEBA.

OD GŁOSU MOJEGO JĘKU

MOJE KOŚCI PRZYWARŁY DO SKÓRY.

JESTEM PODOBNY DO KAWKI NA PUSTYNI,

STAŁEM SIĘ JAK SOWA W RUINACH.

CZUWAM I JESTEM JAK PTAK

SAMOTNY NA DACHU.

KAŻDEGO DNIA ZNIEWAŻAJĄ MNIE MOI WROGOWIE,

SROŻĄC SIĘ NA MNIE PRZEKLINAJĄ MOIM IMIENIEM.

ALBOWIEM JAK CHLEB JADAM POPIÓŁ

I Z PŁACZEM MIESZAM MÓJ NAPÓJ,

NA SKUTEK OBURZENIA TWEGO I ZAPALCZYWOŚCI,
BOŚ TY MNIE PODNIÓSŁ I OBALIŁ.
DNI MOJE SĄ PODOBNE DO WYDŁUŻONEGO CIENIA,
A JA USYCHAM JAK TRAWA. (...)

Carol i ojciec Turrini

Ciało Carol uniosło się ponad podłogę; jednym zrywem obróciło. Coś na kształt gwałtownego podmuchu powietrza sprawiło, że kobieta najpierw potylicą, a za moment plecami uderzyła o sufit. I pozostała tam, u stropu. Spocony Turrini (pot gęsty jak święte oleje lśni na pociętym zmarszczkami czole) usłyszał trzask pękających kości. Z nosa i uszu Carol poszła krew. Czerwone krople jedna po drugiej zaczęły spadać na kapłana. Kolejną musiał zetrzeć z ust. Były gorące niczym łzy. Naszła go upiorna myśl, że czuje się jak podczas przelotnego wiosennego deszczu. Carol wyglądała na suficie jak ukrzyżowana. Śmiertelnie blada twarz. Ból. Oddech jak ostatnie tchnienie.

Turrini opadł na kolana:

*(...) SIŁA MOJA W DRODZE USTAŁA,
DNI MOJE ULEGŁY SKRÓCENIU.
MÓWIĘ: BOŻE MÓJ,
NIE ZABIERAJ MNIE W POŁOWIE MOICH DNI:
TWOJE LATA TRWAJĄ POPRZEZ WSZYSTKIE POKOLENIA.
TY NIEGDYŚ ZAŁOŻYŁEŚ ZIEMIĘ
I NIEBO JEST DZIEŁEM RAK TWOICH.
PRZEMINĄ ONE, TY ZAŚ POZOSTANIESZ.
I CAŁE ONE JAK SZATA SIĘ ZESTARZEJĄ:
TY ZMIENIASZ JE JAK ODZIENIE I ULEGAJĄ ZMIANIE,
TY ZAŚ JESTEŚ ZA WSZE TEN SAM
I LATA TWOJE NIE MAJĄ KOŃCA.
SYNOWIE TWOICH SŁUG BĘDĄ MOGLI OSIĄŚĆ NA STAŁE
I POTOMSTWO ICH BĘDZIE TRWAŁO WOBEC CIEBIE.*

(Psalm 102, Prośby wygnańca)

Carol zaczęła się śmiać.

Przyjął komunię. Ciało Chrystusa opornie rozpuszczało się na wyschłym języku. Mdły

smak niesolonej mąki.

I Carol, wciąż przyklejona do sufitu. Wyobraził sobie, że jakimś sposobem ściąga ją w dół. Okręca różaniec wokół szyi kobiety i zaciska. Dusi. Żółć podeszła mu do gardła, a jednocześnie podbrzusze pokryła gęsia skórka... Nie!

Rozchylone usta, zachodzące mgłą oczy, wilgoć... Nie!

Zaczął się zastanawiać, czy aby chce przetrwać tę wojnę pomiędzy Dobrem i Złem; wtedy zobaczył szeregowca Dolla.

Stał w progu, w zmiętym mundurze koloru khaki. Śmierć nie przywróciła mu urwanej zuchwy.

Carol dostrzegła to i zapłakała.

„Niemożliwe jest wierzyć”.

„Wątpienie jest częścią wiary”.

„Łatwiej poruszyć górę niż mieć wiarę”.

- Ktoś pójdzie z tobą. Nie zostawię cię samego - powiedział Turrini do Dolla.

Myślał o sobie czy myślał o niej? Popatrzył na Carol i przez moment ujrzał dziewczynkę, jaką niegdyś była. O ile była... O ile oni wszyscy istnieli. *Prosty nos, cofnięty podbródek; całość regularnych rysów znamionuje przyszłą piękność. Już teraz jest skupiona wyłącznie na sobie i to osobliwe „bycie samym” ją zaspokaja.* Turrini odwrócił głowę ku drzwiom, ale szeregowy Doll już zniknął.

Carol milczy. Jest ciszą. Nawet oddech jest ciszą.

Jakby samo z siebie ciało opada na brudną posadzkę. Nad klatką piersiową unosi się dym. Turrini obnaża kobietę, której pożądał - ciepło wydobywa się z zaróżowionego punktu tuż nad jej sutkiem. Egzorcysta dotyka aksamitnej skóry, ciszy skrytej pod nią jak zrozpaczone zwierzątko. *Jakbym siedział w kompletnej ciemności pośrodku lodowato zimnej rzeki. Bardzo chcę wyjść na któryś z jej brzegów, ale problem w tym, że żaden brzeg nie istnieje, tylko ta rzeka...*

Serce Carol nie wytrzymało i pękło.

Sharon

Na nocnym stoliku leży otwarte Pismo Święte. Sharon nie czytała go jednak. Otworzyła tylko na Księdze Psalmów, bo zawsze lubiła poezję; tym razem nie potrafiła się jednak przełamać.

Wsłuchuje się w warczenie samochodów za oknami - to Miasto nigdy nie śpi. Światła samochodów odbijają się od sufitu i rozjaśniają pokój oraz kartki książki.

Wsłuchuje się w chrapliwy oddech pijanego męża. Dziecko śpi.

A JEDNAK CISZA.

Nagle pies - springer spaniel przyniesiony przez brata - zaczyna gwałtownie ujadać. Tupot łap, nietłumiony nawet przez linoleum. Drapanie w drzwi. Boedina (tak ma na imię suka) koniecznie chce się dostać do sypialni.

- Ucisz tę kurwę - mamrocze Robert.

Sharon wstaje. Za drzwiami pies zaczyna szarpać za nogawkę jej starej pizamy, wyraźnie ciągnie ją do pokoju dziecka.

- Leo? Czy stało się coś? Leo? Dziecko nie oddycha.

Sharon przypomina sobie wszystko, co słyszała o „zespolu zgonu niemowląt”, czy jak kto woli niemedyczne zwroty: „zespół śmierci łóżeczkowej”.

„Lilith przyszła po Twoje dziecko”.

Pies ujada jak wściekły, szczeka, kiedy ona bierze syna na rękę. Na litość boską! Nikt nie wie - śmierć przychodzi cicho i zabiera niemowlęta. Leo ma jeszcze gorące łapki, ale czółko zroszone kropelkami potu, miejsce pod nosem, usta gwałtownie sinieją. Matka próbuje go ukotysać, matka próbuje napełnić mu płuca swoim powietrzem. „Tyle zmieniłeś w moim życiu, to już, błagam, zostań”, myśli.

NIE, NIE, NIE! Wściekła, nagle zaczyna uderzać dzieciaka pięścią po plecach. Pies wyje i wbija zęby w jej łydkę. Sharon nie czuje bólu.

Nawet nie czuje ulgi, kiedy po którymś dudniącym uderzeniu niemowlę krztusi się i nabiera niosącego życie powietrza. SYNKU.

Boedina piszczy z radości; kikutem przyciętego ogona majta tak energicznie, aż zachodzi irracjonalna obawa, że za chwilę go sobie urwie.

Kiedy Robert obudzi się bladym świtem, pędzony kacem zostanie w kuchni taką scenę: pies będzie opierał pysk na gołej, bladej i piegowatej stopie Sharon. Drugą nogę żona

podciągnie pod pośladek. Z rozpiętej, wyblakłej od częstego prania piżamy wysunie pierś. Leo będzie ssał sutek. Sharon odegnie głowę do tyłu, w stronę okna. Nieśmiałe słońce będzie rzucać różowo-złote plamy na jej twarz.

Robert O'Hara pomyśli, że jego żona wygląda jak Najświętsza Pani. Zawstydzi się niestosowności tego porównania.

Leo, syn Sharon, urodził się 25 grudnia 2000 roku.

Minęła północ.

13. 25 Grudnia, Anno Domini 2000.

Za oknami, na horyzoncie zarysowała się jasna linia; Światło zostało oddzielone od Ciemności. Wschodziło słońce.

Wciągnąłem smrodliwe powietrze w obolałe płuca. Nic. Wydawało mi się wyjałowione, jak po wybuchu bomby atomowej. Dotąd naładowane, iskrzące, teraz... Bezruch - jakby jakaś siła, która była tu jeszcze przed chwilą, zniknęła - raz na zawsze.

- Możesz ją zobaczyć, chłopcze - drzwi od pokoju otworzyły się i stanął w nich wynędzniały Turrini.

Przepuścił mnie, ale poszedłby za mną, gdybym nie dał mu znaku.

- Tak, tak, rozumiem... - opuścił głowę. Czuję zapach potu nicującego czarną koszulę księdza.

„Och, Carroll...”. Zwłoki leżały na łóżku, aż po szyję okryte prześcieradłem. Szybko stygły. Ściągnąłem płótno.

Ręce miała złożone i związane surowym, mnisim różańcem. Obgryzione paznokcie podchodziły błękitem nowego dnia. Żyłki, które nie chciały się schować, prześwitywały przez białą skórę szarością świtu. Mysia szarość malowała dwie podkówki pod zamkniętymi oczami - już zacząłem zapominać, jaki miały kolor. Były niebieskie czy zielone? Moje biedne maleństwo, moja zmęczona ukochana. Pocałowałem pieprzyk, tuż ponad lewą, głuchą teraz pierś, a moje usta zetknęły się z lodem całego świata. Przesunąłem twarzą w dół.

Rozsunąłem kolumny nóg, by dostać się tam, w kącik... Nic, ani miodu, ani zapachu perfum, których nazwy nie potrafiłem zapamiętać; ani nawet drożdżowej woni dojrzałej kobiety. To nie była moja Carol, to było puste ciało. Posąg.

Turrini czekał posłusznie pod drzwiami, jak skarcony psiak.

- Ojczy - powiedziałem. - Nawet jeśli była samym Diabłem, to chciałbym żeby żyła.

- Przemawia przez ciebie egoizm i brak pokory, Danielu.

Wzruszyłem ramionami:

- Kochałem ją.

Wymamrotał coś. Coś, co zabrzmiało jak: „i zostanie ci wybaczone”.

Zostawiłem go samego z trupem; wyszedłem gonić oddalającą się noc. Moje stopy tonęły w gęstej jak mleko, jak nasienie, mgłę.

I wtedy to poczułem. Zapach. Cudowny aromat, który owiał najpierw twarz, by przeniknąć do każdej komórki mojego ciała. „Shalimar” i miód.

*Panie Jezu, Ty przyszedłeś po to,
aby uzdrowić serca zranione i udręczone,
proszę Cię, abyś uzdrowił
urazy powodujące niepokoje w moim sercu.*

*Proszę Cię w szczególny sposób.
abyś uzdrowił tych, którzy są przyczyną grzechu.*

*Proszę Cię, abyś wszedł w moje życie i uzdrowił mnie
od urazów psychicznych,
które mnie dotknęły w dzieciństwie
i od tych ran, które mi zadano w ciągu całego życia.*

*Panie Jezu, Ty znasz moje trudne sprawy,
składam je wszystkie w Twoim Sercu Dobrego Pasterza.
Proszę Cię, odwołując się do Twej wielkiej rany,
otwartej w Twoim Sercu,
abyś uleczył małe rany mojego serca.
Ulecz rany moich wspomnień,
aby nic z tego, co mi się przydarzyło,*

nie przysparzało mi cierpienia, zmartwień, niepokoju.

Ulecz, Panie,

*wszystkie te urazy, które w moim życiu
stały się przyczyną grzechu.*

*Pragnę przebaczyć wszystkim osobom,
które mi wyrzuciły krzywdę.*

*Wejrzyj na te urazy wewnętrzne,
które mnie czynią niezdolnym do przebaczenia.*

*Ty, który przyszedłeś uleczyć serca strapione,
ulecz moje serce.*

*Ulecz, Panie Jezu, moje wewnętrzne urazy,
które są przyczyną chorób fizycznych.*

Oddaję Ci moje serce.

Zechciej je przyjąć, Panie, i oczyścić.

Napełnij mnie uczuciami Twego Boskiego Serca.

Pomóż mi być pokornym i cichym.

Ulecz mnie, Panie,

z bólu, który mnie przytłacza

z powodu śmierci drogich mi osób.

Spraw, bym mógł odzyskać pokój i radość

dzięki wierze, że Ty jesteś Zmartwychwstaniem i Życiem.

Uczyń mnie prawdziwym świadkiem

Twego Zmartwychwstania,

Twego zwycięstwa nad grzechem i śmiercią,

Twojej obecności jako Żyjącego wśród nas.

Amen.

Namunyak (Błogosławiona)

Wysuszona trawa sawanny szeleściła w podmuchach wiatru. Ziarenka piasku zawirowały i opadły. Lwica o imieniu Błogosławiona stała i wietrzyła. Rana na jej płowym boku ledwo co zdołała się zasklepić. Kocica była ociężała, pełna mleka. Młoda i silna, parę dni temu starła

się z samicą, która zagrażała jej terytorium - bardziej doświadczoną i dużo sprytniejszą. Przegrała więc. Trójka przerażonych kociąt z pierwszego miotu rozbiegła się w panice, a Błogosławionej nie udało się ich odnaleźć. Zaginęły. Nastął czas wędrówki.

Otworzyła pysk. Wiatr przywiał na język zapach cielaka antylopy. Smak jego wilgotnej, nagrzanego słońcem skóry, przesyconego aromatem soków matki. Zwietrzałym, niepokojąco cichym w tej krzykliwej mozaice woni określających tożsamość i hierarchię. Ofiarę i drapieżnika.

Lwica w kilku skokach znalazła się przy ukrytym w trawie cielęciu. Nie poruszyło się, nawet nie drgnęło na widok kota. Muchy brzęczały wokół jego ogromnych, mokrych oczu. Odlatywały od czarnych źrenic, by przebiec po krótkim, płowym pysku.

Lwica pochyliła się. Szczęki wciąż miała rozsunięte. Powietrze zafurkotało w jej gardle. Schyliła łeb i szorstkim, mięsistym językiem zaczęła zmywać piasek z uszu antylopy, głowy, nosa. Ułożyła się obok i okryła je własnym cieniem.

Antylopa trąciła kolano Błogosławionej, podciągnęła się wyżej w miejsce, które równocześnie kojarzyło się ze strachem i nadzieją. Pachniało tajemnicą. Cielak objął wywiniętymi, brązowymi wargami opuszczony przez lwiątko sutek. Trysnęło mleko o obcym smaku. Błogosławiona jęknęła, a później zamknęła powieki i odeszła w spokój. Cielę ssało, część mleka wypływała mu z pyska i użyźniała suchą ziemię.

Nadszedł wieczór, więc zwierzęta podniosły się i ruszyły dalej przez sawannę. Lwica nie polowała, antylopa była zmęczona, ale trwały dla siebie. I na przekór sobie.

Gdy Błogosławiona poczuła, że może z głodu stracić mleko, ukryła cielę w suchych trawach i odeszła na poszukiwanie padliny. Czegoś, co upolowały hieny.

Rozchyłony pysk, wygięty jęzor, wietrzenie.

Olbrzymi lew o czarnej, gęstej grzywie postępował za nimi od dawna; czając się w krzewach, ustawiając pod wiatr.

Błogosławiona odeszła na odległość krzyku, kiedy Czarnogrzywy zatopił kły w adoptowanej antylopie. Sawanna wypełniła się szeptanym, jednostkowym cierpieniem. Lwica powróciła.

Samiec postanowił nie oddawać tego dziwnego stworzenia, pachnącego i cielakiem i kotem. Błogosławiona nie miała z nim żadnych szans.

Krew młodej antylopy spływała po trawie, barwiąc ją na rdzawo.

Później lwica trąciła pyskiem naznaczoną kępę, położyła się w miejscu największej plamy, która czerwienią weszła w jej odsłonięty brzuch. Trwała tak.

W końcu wstała, znaleźć inne cielę. I jeszcze jedno, i jeszcze, i jeszcze...

Namunyak, co znaczy Błogosławiona.

Zapisano bowiem w Biblii, że kiedy nastąpi Dzień Pański, to niewinny schroni się pomiędzy łapami drapieżnika, a lew będzie doglądał jego spokojnego snu.